

AUGUSTYN NECEL

ŁOSOŚ WSZECHWŁADNY

Węgorz jest chytry, flądra — zarozumiała, łosoś — szlachetny. Naszym nadmorskim Kaszubom od dawna o tym wiadomo. Nie bez przyczyny więc ta właśnie ryba znalazła się, mimo zakusów podstępnego węgorza na to zaszczytne stanowisko, w herbie rybackiego Pucka, dokąd sławny “Pan Czor- liński” po sieci jeździł, a dawniej jeszcze za Krzyżaka rezydował Fischmeister diabelskiego Zakonu. Zrazu zdawało się, że złość zatryumfuje nad dobrym. Dusił się już i ginął z głodu zacny łosoś zdradziecko opleciony węgorzowym cielskiem, ale lew, władca zwierząt, przybył napadniętemu z odsieczą. Walka o miejsce w herbowym polu miejskiego godła została sprawiedliwie rozstrzygnięta.

Tak przynajmniej głosi jedna ze starych bajek Przymorza. W każdym razie Jego Królewska Mość Łosoś odegrał potrójną chwalebłą rolę w życiu rybaków z Rozewskiej Kępy, Międzymorza i brzegów Małego Wiku. Wspaniałomyślnie uczył ich zgody, jedności, gromadzkiego trudu, wzajemnej pomocy, szczerze karmił ich i wzbogacał. Wreszcie: chronił i bronił w potrzebie. Cenili go za to mali i wielcy. Prawdopodobnie dla jego poławiania w zamierzonych czasach zrodziły się pierwsze wspólnoty Pomorzanie zaciągających łososiowe niewody w toniach naszego morza. Pewne jest natomiast, że od wieków wraz z jesiotrem i szczupakiem należał do “ryb książęcych”, że nieodmiennie “szlachcił pańskie stoły”. Zajrzyjmy do pożółkłych dokumentów, do zakurzonych książek.

Gdański Świętopełk, aby zapewnić sobie “po żywocie rajski przebyt”, którymś z pobożnych nadań przykazał rybakom

znad niedużej rzeczulki Kaczej, wpadającej w Orłowie do Bałtyku, słać co roku pobożnym mnichom z kościoła w Świętym Wojciechu “u Dębu” trzysta łososi w daninie.

“Kiedy masz łososię kupić, uważ wpierw, czy ci na śledzie stanie” — przestrzegał w Satyrach imię pan Opaliński.

“Gdy w mieszkju jeno lin, niechaj łosoś na stole nie bywa” — grzmiał w Reformacji obyczajów polskich złotousty kanonikus Szymon Starowolski.

“Najprzedniejszą i najszacowniejszą rybą” nazywał łososię Krzysztof Kluk, zasłużony przyrodnik z XVII stulecia.

Od wiosennych połowów łososię zależało, czy głód, czy dostatek zagości w kaszubskich checzach. Dlatego też przystępowano do tych łowitw z zabobonna czią, czego ślady przetrwały w tutejszej obyczajowości. Na wszelkie sposoby starano się zapewnić sobie przychylność wysokich

niebios, uciekano się nawet do magii. Gawędzić o tym można by bez końca.

Podczas odnawiania maszoperii na zimowej zabawie ma- szopskiej piwo lało się strumieniem, wierzono bowiem, że “im więcej rybacy pili, tym więcej bili” później srebrnołuskich łososi w sezonie trwającym od kwietnia po święty Jan, kiedy to na mierzei, na kępach rozjarzały się smolne beczki i sobótkowe ognie. Ksiądz, który czy to w domu szypra, czy na strądzie święcił laskorn, otrzymywał za to pierwszego łpso- sia wyjętego z sieci po pierwszym zaciągu. Przed wyciągnięciem niewodu przepędzano z wydm zaciekawione kobiety i dzieciaki, gdyż mogły rzucić urok. Również członków innych maszoperii nie dopuszczano do matni.

W Mechlinkach złowione łososie skrzętnie kryto albo po prostu przysypywano piaskiem, by nikt obcy nie zdołał ich zobaczyć. W Jastarni układano je łebkami w stronę sosnowego lasu, aby nie opuszczały przybrzeżnych wód i zawsze dążyły ku półwyspowi. Poza tym warto wspomnieć, że jedynie szyper, głowa maszopskiego bractwa, miał prawo zabijania ich sękatą karkulicą — symbolem swojej patriarchalnej władzy.

Cóż, należały się królewskie przywileje morskiemu dobroczyńcy. Wieść o tym, że gromadniej niż zazwyczaj pojawił się w pobliżu wybrzeża ściągająca u schyłku ubiegłego wieku Kaszubów nieraz aż zza oceanu. Przykładów na to nie trzeba daleko szukać. Nie kto inny, lecz ojciec autora tej książki dowiedziawszy się z “Gazety Grudziądzkiej” przesłanej nad Wielkie Jeziora Ameryki Północnej, że nadciągnęły pod jego

ojczysty brzeg srebrne ławice, rzucił krainę nieograniczonych możliwości i wrócił do rodzinnego Chłapowa, gdzie dzięki łososiowym zarobkom rybacy zaczęli kupować od Szwedów pierwsze kutry i zakładać pierwsze kutrowe maszoperie.

W kaszubskim rybołówstwie dokonał się wielki przełom. Augustyn Necel pisał o nim w najwcześniejszej ze swych książek — w Kutrach o czerwonych żaglach. Tym razem przedstawia najmniej dotąd znaną z trzech “dziejowych” zasług herbowej ryby Pucka. W opowiadaniach, z których jedno dzieje się u schyłku zaborów, a reszta w latach okupacji, przypomina nam, jak to łosoś bronił Kaszubów przed pruskim żandarmem Wilhelma Suchorękiego czy brunatnymi prorokami “Nowego Ładu” i “Tysiącletniej Rzeszy”.

Wszystkie te wspomnienia mówią o sprawach prawdziwych, nieraz całkiem jeszcze nieostygłych w pamięci naocznych świadków, jest w nich jednak niekiedy nastrój i zapach dawnych powiastek o przemyślnych Kaszubach, co zawsze potrafili ogłupić, przechytrzyć, zapędzić w kozi róg samego diabła.

Łosoś wszechwładny... Książę Świętopełk ufał niegdyś, że, obdarzając nim klasztory Pomorza, otworzy sobie drogę do nieba. A dziś? Dziś jakże żywe jest na Jantarowym brzegu rodzime, potwierdzone doświadczeniami ostatniej wojny przysłowie:

— Łososiem zaprowadzisz każdego Niemca choćby prosto do piekieł.

Franciszek Fenikowski

Sześciu rybaków zgarbionych pod karznięmi pełnymi ryb stanęło przy checzy pokrytej słomianą strzechą. Zdjęli z pleców kosze z dzisiejszym połowem. Popatrzeni na morze zadymione przez cesarską flotę. Okręty jej już od roku lizły na gdańskiej stoczni rany zadane im w jutlandzkiej bitwie. Teraz płynęły ku zachodowi, chyba po nowe guzy.

— Godale kwekrze, że za dwa miesiące Anglikom le- no oczy do płaczu zostaoaą — powiedział Józef Żelk ojciec Jana i Józefa, rybaczący w maszoperii z Janem Boldem i jego dwoma synami. — Nic z tego nie wyszło! Wi- hś się jeszcze szamoce, ale wkrótce diabli wezmą jego yojenne kurpy. Nastanie sprawiedliwy pokój i Polska. Suchoręki będzie zbierał szyszki na opał.

— Masz rację, Józefie — pokiwał głową Jan Bolda. — Spełni się przepowiednia, że kaiser ze suchą ręką stanie z czterema chłopmi, resztą potężnej armii, pod jednym dębem. Zadzwoń nam dzwony wolności.

Gdy tak wpatrywali się w niemieckie krążowniki mijające Rozewski Przylądek, usłyszeli głośny lament. Od Żelk owej chaty biegła żona Józefa z rozszarpaną kurą w dłoni.

— Patrz, chłopie! — wołała do męża. — Znów nam zaszczuli jedną kurę. Trudno wyżyć z takimi sąsiadami! Boga w sercu nie mają! Od czasu jak czytają “Danziger Neueste Nachrichten”, przewróciło im się w głowach.

— Szwabki! — Żelk gniewnie splunął w bok.

— Ich Tuli zagryzł naszą kwokę.

— Nie mają dla tego ,psa innego żarcia? — Żelk jeszcze raz spojrzął na rozszarpanego ptaka i szybkim krokiem poszedł w kierunku domu, gdzie mieszkała z dwiema dorosłymi córkami wdowa po Hasie.

Była to w całym Chłapowie jedyna checz, do której listowy przynosił codziennie niemiecką gazetę. Dora Has, starsza córka wdowy, smukła brunetka, której twarz ostatnio zeszpeciły blizny pozostałe po chorobie nabytej w Gdańsku, czytała tę gazetę od deski do deski i zapewniała chłapowian przychodzących do studni na Sikorki po wodę, że na frontach się “nic nowego” nie działo. Ale jak tam było naprawdę, sąsiedzi Hasów wiedzieli mniej więcej z artykułów “Gazety Grudziądzkiej”.

Dora nie tylko tym się zresztą pyszniła, że potrafi po niemiecku czytać. Lubiła opowiadać również o innych swoich życiowych sukcesach. W roku 1910 pojechała do Gdańska szukać służby, a że była ładna, znalazła posadę w oficerskim kasynie “Czarnych Huzarów”. Wkrótce potem dowódcą pułku oznaczonego trupimi głodami na czapkach cesarz Wilhelm II mianował swego syna, Fryderyka Wilhelma. Wścibski kronprinc zaglądał do każdego kąta, zwłaszcza tam gdzie pracowały kobiety. “Wdał się iw ojca” — mówiono o hulace. Pewnego dnia wszedł do kuchni kasyna. Kucharką była tu córka jakiegoś gdańskiego szewca, Dora Has jej pomagała. Następcę troiu ucieszył widok ładnych kobiet. Z półmiska ściągnął ofo- załą flandrę. Ogryzł ją łapczywie. Ości cisnął w kąt. Db- mie otarł w

sukienkę Dory. Potem pogłaskał ramię dziewczyny i wrócił do sali. W kasynie nie było dam, kazi więc przyprowadzić piękne kucharki. Hasówna opowia dając rybaczkom o wielkich zwycięstwach nad Somm* czy pod Verdun zawsze szczyciła się, że dowodził tam kroniprinc, ten sam, z którym kiedyś tańczyła we Wrzeszczu. Z tego powodu zaczęto mówić na nią w Chłapowie: — “Kronprincessa!”

Dziś drzwi checzy Hasów były zamknięte, u ich progu siedziały dwa psy. Na wszystkie kundle wołano we wsi Psota lub Burek. Jedyne u Hasów psy miały dostojne miana: — Tuli i Princ.

Drugiego z nich “ochrzciła” sama Dora na cześć wysoko urodzonego dowódcy Husarenregiment — -swego tancerza.

Żelk dochodząc do zagrody podniósł kamień. Cisnął go w Tulego. Zawyły psiska. Trzasnęły drzwi. Na dwór wyskoczyły trzy kobiety. Każda miała jakąś “broń” w ręku. Stara Hasowa, pękata, przygarbiona od dźwigania karzni, trzymała miotłę z gałęzi żarnowca. Jej córka Olga, wysoka blondynka marząca o tym, że gdy w miastach ustanie głód, ona pojedzie do Berlina i zostanie tam zamożną mieszczańką, podnosiła metrowy łom. Dora dzierżyła ostre nożyczki.

Trzy wiedźmy natychmiast przystąpiły do akcji. Pierwszy cios zadała Żelkowi Olga, ale — o dziwo — żelazo nie wylądowało na głowie przeciwnika! Furknęło w powietrzu jak bumerang i jego właścicielka padła na ziemię. Krew trysnęła jej z ust na świeżą, zieloną trawę. Kronprincessa dysząc zemstą skoczyła, by utopić nożyce w oku sąsiada.

— Rette mich! Ratuj mnie! — zawołała do matki, waląc się z nóg, a ostrza jej broni wryły się głęboko w ziemię.

Stara Hasowa jak wilczyca rzuciła się w obronie córek. Wysoko wzniosła miotłę chcąc zadać cios napastnikowi, ale Żelk wykręcił się szybko na pięcie i lekkim pchnięciem powalił czarownicę. Dora z rozwichrzonym kokiem zerwała się z pobojuwiska.

— Nasza nenka zabita! — krzyczała wniebogłosy.

O nożyczkach zapomniała. Żelk cało więc wrócił do ma- szopów, chociaż ścigały go klątwy Olgi d jej “zabitej” matki:

— Popamiętasz nas, Żelku! Nie wyjdiesz z więzienia na boży świat! Mówiłeś, że Niemcy przegrają wojnę! Gadałeś, że powstanie Polska! Głupkiem zwałeś naszego cesarza!

— Zgubiłeś, Józefie, mucę — załamała ręce Żelkowa, widząc męża bez czapki.

Zawrócił zwycięzca po zgubę.

— Idzie, żeby nas zabić — pobite jęknęły chórem i rozpoczęły gwałtowny odwrót.

Zaszumiały kiecki. Psy zaczęły skomleć. Zazgrzytał klucz w zamku. Checz Hasów zmieniła się w warownię.

Józefa zaś, ledwie podniósł czapkę, otoczyła gromada chłapowian. Winszowali mu zwycięskiej rozprawy z trzema babami znieawidzonymi przez całą wioskę.

— Poczekaj, czorcie! — ujadaly równocześnie trzy rozwścieczone głosy zza firanek. — Kto gadał, że Niemcy mordowali w Czersku ruskich jeńców? Ty! Kto powiadał, że nasi dzielni żołnierze grabią w Królestwie Polskim? Ty! My ci pokażemy! Szkalowałeś, że kajzer to wariat, że sam widziałeś jego wariactwo. Nie darujemy ci naszej krzywdy! Ty doch robisz propagandę, że Polska powstanie! Za to już dawno powinieneś siedzieć, a teraz będziesz wisieć! Wisieć! Wisieć!

Rybacy drwili z bab. Wszyscy byli po stronie Żelka i jak on oczekiwali zmartwychwstania Polski i nikomu awi w głowie nie postało, by donieść żandarmom w Pucku, co im Józef nieiraz opowiadał o swych prawdziwych i zmyślonych przygodach na cesarskim jachcie “Hohenzollern”.

Żelka skierowano na ten statek, kiedy służył w wojennej marynarce. W jednym z portów Bliskiego Wschodu zaproszono cesarza wraz z małżonką Augustą Wiktorią na uroczysty bal. Kaszubie wraz z pięcioma urodziwymi marynarzami przypadło nieść długi tren cesarzowej. Pod koniec już niemal tego arcydostojnego pochodu Żelk udał, że mu się zakręciło w głowie. Puścił “ogon” sukni. Nastąpił nań marynarskim butem. Cesarzowa wywróciłaby się jak długa, ale jeden z dygnitarzy podtrzymał ją w ostatniej chwili i uratował od kompromitującego upadku na oczach Azjatów. Potem oficer służbowy przesłuchał winowajcę, iktóry tłumaczył się gęsto, że po prostu zemdłał. Cesarz przeczytawszy raport miał jakoby z pychą oświadczyć, że nie tylko Polacy, ale cały świat mdleje na jego widok. Dzięki temu Józefowi uszło na sucho. Nawet do Soldbuch nie wpisano mu przestępstwa. Tyle, że musiał opuścić pokład cesarskiego jachtu.

Tym razem mogło być gorzej. Trzy bowiem wiedźmy, całkiem ochryple od krzyku, ipobiegły do chłapowskich gburów z prośbą, by zawieźli je do powiatowego lekarza, a potem na posterunek żandarmerii. Stukały, błagały... Nikt się jednak nie kwapił zaprzęgać koni do wozu. Rodzony zaś siostrzeniec Hasowej zagroził babom różgą, jeśli nie zamkną gęby. Nie posłuchały dobrej rady. Pie szo z zakrwawionymi twarzami ruszyły w długą podróż do Pucka.

Żelk zaś pomaszerował do swego imiennika Józefa Detlafa. Zapukał do chałupy “Kulawego Krawca” — najmądrzejszego z chłapowianów. Stary majster pilnie czytał “Gazetę Grudziądzką”, znał wiele polskich książek, wygrywał wszystkie procesy. Sam Hanemann, znany hakatysta nie dał sobie z nim rady w okręgowym sądzie iw Kwidzynie.

— Musisz żandarma oślepić! — oświadczył z miejsca, gdy maszop zwierzył mu się ze swego kłopotu. — W sionce pod pułapem powieszysz błyszczącego łososia. Od jego blasku kweker rozum postrada. We łbie mu się zaćmi i sprajwa zostanie umorzona.

Żelk tego dnia nie miał co prawda łososia w swej karz- ni, ale uczynny sąsiad chętnie mu pożyczył złowionego króla Bałtyku. Józef zawiesił u stropu sieni tuż koło drzwi izby okazałą rybę, po czym dalej radził z przyjaciółmi i świadkami zajścia.

— Przede wszystkim nie możesz się przyznać, że wszedłeś na grunt Hasów — tłumaczył mu sąsiad świadomy pruskich praw. — Musisz twierdzić, że to one napadły cię na ziemi Potrykusa.

— Tak będą zeznawać moi synowie.

— Inaczej Kronprincessa wygrałaby sprawę.

— Dora jest sprytna i umie szwargotać po niemiecku.

— Ale wszyscy zaczną zeznawać przeciw niej. Haski nie znajdą świadka, co by cię widział na ich gruncie!

Żelk nabrał rezonu. Ogolił się, wysmarował mydłem czarny was, podkreślił go na wilhelmowską modłę. W końcu stanął za firanką i wypatrywał żandarma. Przyjazd jego obwieścił popłoch dzieci i gęsi. Opustoszała droga. Po bruku zadudniły podkowy gniadego konia. Jeździec w błyszczącej pikelhaubie zatrzymał się przed chałupą i dalejże wołać gospodarza:

— Żelke, Żelke!

Odpowiedziała mu śmiertelna cisza. W chacie nikt się nie poruszył. Żandarm obejrzał się na cztery strony świata. Chciał znaleźć kogoś do przytrzymania wierzchowca. Na próżno. Chłapowo wymarło. Ciężko zgramolił się z siodła. Przywiązał wodze do pnia krzywej jabłoni, trzy

mając w jednej dłoni rewolwer, drugą dzwoniąc kajdanami pchnął drzwi wołając groźnie:

— Jest tam kto?

Pierwszą rzeczą jaką ujirzał był wspaniały, srebrzysty łosoś wiszący pod niskim pułapem.

— Feiner Lachs. Ładny łosoś — zmierzył oczyma rybę od głowy do ogona, przejechał językiem po wargach. Uśmiechnął się, wpuścił do torby kajdany, pistolet schował do skórzanego futerału. Przeczesał palcami bródkę i siwy wąs, powtórzył łagodniej i uprzejmiej:

— Jest tam kto?

Drzwi izby uchyliły się. Żelk pozdrowił wachmistrza, który zaraz, nie odrywając oczu od łososa srebrzącego się w półmroku sionki, zapytał:

— Co się tu u was najlepszego dzieje? Czemu, panie Żelk, te wasze sąsiadki tak się na was zawzięły?

— Bóg to chyba jeden wie, Herr Wachtmeister — Kaszuba wzruszył ramionami. — Bywałem daleko w świecie. Służąc na “Hohenzollernie” pływałem z jego cesarską wysokością aż do dzikiej Azji. Poznałem różne ludy, ale w takim niebezpieczeństwie jak dzisiaj nie byłem jeszcze nigdy w życiu.

— Służył pan na “Hohenzollernie”?

Józef wyjął z kieszeni Militarbuch i wręczył ją Prusakowi.

— W porządku — wachmistrz przewertował wojskową książeczkę. — Powiedzcie wszystko od początku. Jak doszło do tej waszej wojny z kobietami?

— Chowam kilka kur, żeby mieć świeże jajka dla dzieci. Sąsiadki trzymają dwa psy. Nie dają im żarcia, więc kundle tuczają się moimi kurami. — Żelk podniósł z kąta izby poszarpaną kurę.

Żandarm obejrzał “dowód rzeczowy”. — I co było dalej, panie Żelk?

— Chciałem im powiedzieć, by nie karmiły parszywych psów kurami, gdy cesarscy żołnierze cierpią głód na froncie — wyprężył się marynarz Wilhelma II. — Nim doszedłem do ich domu, już dopadły mnie dwa zgłodniałe kundle. Ujadały, jakby mnie chciały żywcem zeżreć. Za nimi wyskoczyła Frau Has z obiema córkami. Uzbrojone w żelazny łom, w nożyce krawieckie i miotłę, rzuci

ły się na mnie jak oszalałe, ale nie byłbym matrosem jego cesarskiej mości, gdybym się dał pokonać byle białkom.

— Jeszcze jedno pytanie? Czyście stali na ich gruncie?

— Nie, panie wachmistrzu. Byłem na polu Potrykusa, gdy mnie te białki napadły.

— A macie, panie Żelk, na /to świadków?

— Chłopacy mego sąsiada wszystko dokładnie widzieli, co zaszło. Jam Bołda, ich ojciec, też widział, jak mnie zniecka napadnięto, ale trudno mu zeznać, bo nie umie po niemiecku!

— Pójdę zatem do waszych sąsiadów — zdecydował wachmistrz i pomaszerował do zagrody Bolidów.

Jan i Gust, dwaj synowie sąsiada, czekali już na przesłuchy.

— Czyście widzieli dzisiejszy zatarg Żelka i Hasów? — zapytał ich wachmistrz.

— Widzieliśmy — odpowiedzieli zgodnie.

— Gdzie się to odbywało?

— Na ziemi sołtysa Potrykusa — śmiało zeznał Jan. — Haski wpierw poszczyły psy, a potem rzuciły się na Żelka. Ale on, jak to marynarz, wywinał się im zgrabnie i każdej wsunął po jednym zwyczajnym kuksańcu.

— A może słyszeliście, jak Żelk buntował ludzi przeciw naszemu cesarzowi albo też gadał, że Polska przyjdzie?

— Dwa lata już rybaczę z nim w jednej maszoperii, co dzień nas odwiedza, spotykamy się na morzu i na lądzie, ale takich słów nigdy od niego nie słyszałem.

— Gut — żandarm zaczął spisywać protokół.

Srebrny łosoś wciąż chodził mu po głowie. Idąc do

chaty trzech wieźm, wyobrażał sobie, jaki zapach rozejdzie się po mieszkaniu, kiedy żona poda mu na stół ten przyrządzony już, znakomity przysmak.

— Nie kłam — rzekł ze złością, gdy Kronprincessa zaplątała się w zeznaniach.

— Ja bym miała kłamać? — oburzyła się. — We mnie sam kromprinc się kochał! Tańczył ze mną i robił do mnie słodkie oczy.

— Niesłychane! — ryknął wachmistrz. — Tego jeszcze nie było jak świat światem! Czy wiesz, że znieważylaś naszego kronprinca, przyszłego cesarza? Będziesz za to odpowiadać! Zgnijecie w więzieniu za obrazę majestatu.

Hasowa uderzyła w płacz.

— Dora mówi szczerą prawdę. Zapytajcie następcę tronu, czy kłamie moja córka! Napiszcie do Berlina! Przekonacie się!

— Zwariowałaś chyba, kobieto?! Tą sprawą zajmie się prokuratura. Nawarzyłyście sobie piwa, będziecie je długo pić.

Prusak trzasnął drzwiami i wrócił do Żelka.

Koń stał u jabłoni, jak go zostawił, ale do siodła ktoś przywiązał podłużną paczkę. Żandairm popatrzał na nią, dosiadł wierzchowca i odjechał stępą w stronę Pucka, pewny że nikt i nic nie zdoła naruszyć pruskiego porządku na tej ziemi.

Czas dowiódł jednak, że rację miał Żelik. Wiluś lękając się zemsty własnego ludu dał drapaka do Holandii. Powstała Polska. Zdetronizowana Kronprincessa wraz z matką i siostrą jak niepyszna wyniosła się do Gdańska. Tam Haski poczuły niemiecki bicz i czym prędzej wróciły na Kaszuby. Wstydziły isię jednak zamieszkać w Chłapowie. Osiadły w Brudzewie, raz na zawsze nawrócone i wyleczone z niemczyzny.

Król Bałtyku okazał się silniejszy od kronprinca i jego gdańskiej tancerki.

IDZIE NOC...

Był pogodny świt 11 września 1939 roku. Na purpurowym wschodzie krwawo wypłynęła z morza kula słońca. Stada wron i szpaków chmarami przelatywały nad morskimi wsiami ku morzu, jakby tam szukały schronienia przed nadchodzącym od zachodu coraz to głośniejszym terkotem karabinów maszynowych. Gromada chłapowian zebrawszy się przed domem Jana Jęki śpiewała u trumny Otylii Jęki pożegnalną pieśń: Zmarły człowiecze, z tobą się żegnamy... Głos dzwonu z pobliskiej kapliczki Świętej Barbary, patronki chłapowskich rybaków, unosił się żałośnie nad koronami klonów, strzechami checz i gliniastymi wąwozami Rozewskiej Kępy.

— Hej hop, hej hop! — maszopi na komendę, jak łódź z morza, wciągnęli trumnę ina wóz.

— Spieszmy się, dresize! — naglił Adam Jeka, brat zmarłej. — Nieprzyjaciel coraz bliżej. Musimy szybko pochować nieboszczkę, a potem uciec na Hel, jak chłopci z okolicy D om a t owa i Kairlikowa. Słyszałem od nich, że hitlerowcy zabijają każdego, kto im wpadnie w ręce.

Matka zmarłej, Marcjann#, pokropiła trumnę święconą wodą, odłożyła wilgotne kropidło.

— Taka młoda i rosła — lamentowała. — Mogła jeszcze długo żyć.

— Lepiej naszej Tyli niżli jej dwom braciom, co walczą jz Niemcami — pocieszał strapioną syn. — Ma już spokój. A oni? Albo my? Bóg wie, jaki nas los czeka!

Furman szeroko przeżegnał wóz i konie. Z pieśnią Kto się w opiekę kondukt pogrzebowy, ruszył ku Swarzewu na

2 — Łosoś wszechwładny ·*. i

mentarz. Wiejski dzwon jeszcze jakiś czas jęczał w dali. Nagle jednak umilkł w terkocie cekaemów.

— Wróg we wsi! — przestraszył się młody Filk Bolda, syn Modraczka.

— Nie ma chwili do stracenia! — krzyknął Feliks Hin- cka, sąsiad Jęków. — Prędeż, dresze! Prędeż!

Furman zaciął konie. Pogrzebnicy prawie biegiem pospieszyli za karawanem. Doścignął ich jednak pomruk samolotów.

— Cała eskadra na nas wali — zawołał Józef Żelk. — To Niemcy. Mają czarne krzyże pod skrzydłami. Do rowów, ludzie!

W okamgnieniu rozpierzchnął się żałobny orszak i tylko wóz z trumną został na opustoszałej szosie. Biały skulone w przydrożnych rowach odmawiały Pod Twoją obronę.

— Straszna godzina — szeptał ten i ów.

Kiedy jednak stwierdzono, że bombowce skierowały się nad Wielką Wieś, pogrzeb podążył znów w drogę ku widocznej w oddali wieży swarzewskiego kościoła.

— Nie śpiewajmy — ostrzegł przezornie syn Marcjan- ny. — Odmawiajcie różaniec, a ja pobiegnę do księdza Pronobisa. Poświęci trumnę, spuścimy ją do grobu i...

Przerwały mu detonacje. Wszyscy spojrzeli na północ. Nad Wielką Wieś buchnęły czarne kłęby dymu.

— Bombardują, mordują wielżanów — pobladł Hin- cka. — Zdrzeta, ile tam tych diabłów lata!

— I na nas lecą trzy — Filk, a za nim reszta chłopów ponownie uciekła z szosy, jeden tylko Teofil Zalewski został przy wozie ściskając bezradnie pięści.

Lotnicy opuścili się całkiem nisko. Trzy razy okrążyli trumnę i odlecieli nad Małe Morze.

Zbliżał się front. W stronie Łebcza i Gnieźdżewa siekły kulomioty. Mimo wszystkich tych niebezpieczeństw kondukt w końcu dotarł do cmentarnej bramy. Postawiono trumnę nad dołem obwalonym żółtą gliną. Proboszcz pokropił wieko. Płacz najbliższej rodziny zmieszał się z pogrzebowym hymnem. Dzwony swarzewskie milczały. Na dzwonnice wdarli się już bowiem hitlerowcy.

— Hände hoch! — Ręce do góry! — w bramie cmentarza błysnęły bagnety.

Struchleli Kaszubi. Nie było ucieczki. Gdzie spojrzeć między drzewami, krzyżami, nagrobkami zieleniły się mundury niemieckiej piechoty.

— Mamy was, wy Heckenschützen!* — Hauptmann z pistoletem w dłoni podbiegł na czele kompanii do bezbronnych żałobników.

— Chowamy zmarłą — odezwał się ksiądz Wojciech Pronobis.

— Maul halten! Zamknij pysk! — ryknął oficer. — Tyś jest hersztem tej partyzanckiej bandy! Verfluchte Pol-lacken! Strzelaliście do nas!

— My... — Filk chciał odeprzeć to kłamliwe oskarżenie, lecz jeden z żołdaków kopnął go i kazał mu milczeć.

Wypchnięto pojmany na szpse, ustawiono ich w dwuszereg, naprzeciw postawiono karabin maszynowy. Potem odłączono płaczące kobiety, a dwudziestu dwóch rybaków z księdzem odprowadzono do Swarzewa. Tam nastał już sądny dzień. Rozbestwione żołdactwo przetrząsało zagrody, strzelało do bydła, kur, gęsi, okładając kolbami pędziło schwytanych mężczyzn, by posłużyć się nimi jako osłoną podczas natarcia na ziejącą ogniem karabinów maszynowych Wielką Wieś. Pogrzebników ominął ten los. Wraz z księdzem Pronobisem załadowano ich na jeden z krytych samochodów.

— Chyba szatani się odziali w niemieckie mundury — szepnął Józef Żelk. — Czego oni chcą od niewinnych, spokojnych ludzi?

Samochód ruszył w kierunku Pucka.

— Wiozą nas jak Babilończycy Żydów do niewoli — zaczął narzekać Jeka.

— Do niewoli? — zachnął się Feliks. — Mogą nas zamordować! Słyszeliście, jak ten kweker wrzeszczał, że jesteśmy partyzanci. Całe życie pływałem po burzliwych morzach i nie zginąłem po to pewnie, żeby dziś zginąć razem z wami tu, na twardym lądzie.

— Hitler gorszy od lucypera — przytaknął Filk. — Zrobił z Niemców stado diabłów posłusznych

piekłu. Ale kara ani jego, ani ich nie minie.

— Ruhig! Cicho! — krzyknął konwojent w stalowym hełmie.

* W dosłownym tłumaczeniu: strzelający zza płotu.

Umilkli. Auto zadudniło na moście Płutnicy, dojechało do skrzyżowania dróg, skręciło w prawo. Więźniowie byli pewni, że Niemcy wiozą ich do darżlubskich borów na egzekucję. Tymczasem gdy dojechali do Połczyna, na podwórzu połczyńskiego folwarku należącego do któregoś z Hanemannów kazano im wysiąść. Eskorta ustawiła ich w szereg, tak aby słońce prażyło nieszczęśliwym prosto w oczy. Z dworu wyszedł dziedzic w mundurze niemieckiego kapitana.

— Pokazał junkier swoje rogi — Zalewski szeptał Filkowi do ucha. — Za polskich czasów żył sobie jak pączek w maśle. Teraz się nam za to odwdzięczy.

Niemiec z szyderyczym uśmiechem przeszedł w asyście oficerów wzdłuż niewolniczego szeregu.

— Trzeba ich raz na zawsze unieszkodliwić, żeby mieć wreszcie spokój — rzekł do hitlerowców.

— Nie bójcie się — pocieszał strapionych ksiądz Pro-ńobis. — Was tylko nastraszą i puszczą, ale mnie chyba zabiją.

Po tym przeglądzie iznów zapędzono cywilów do samochodu. Zawarczał motor.

— Będą nas wozić po całych Niemczech i pokazywać jako polskich bandytów, co to niby z za węgła strzelają do dzielnej armii flihrera — powiedział Alfons Grabowski murarz z Wielkiej Wsi, którego dołączono do chłopowian w Połczynie i który przypadkiem słyszał przedtem rozmowę dziedzica z dowódcą eskorty.

— A na ostatku czeka nas kula w łeb — westchnął Jeka.

Po wsiach, przez które przejeżdżali, kobiety i dzieci żegnały porywanych ojców, synów, braci. Koło S-ławu- tówka dwóch Niemców klęczało pod przydrożnym krzyżem.

— Modlą się? — zdziwił się Jan Wrosz.

— Gdzie tam! — odparł Murasz. — Na klęczkach piłują krzyż!

Boża Męka zachwiała się i runęła. Niemcy zdążyli odskoczyć. Zaśmiali się, zatarli ręce.

Nieco dalej na krzyżówce leżała w gruzach ceglana kapliczka. Zabytkową figurkę z jej wnęki porąbano na drzazgi.

— Idzie noc na nasz kraj — pochylił głowę proboszcz swarzewski — ale po nocy przyjdzie dzień zmartwychwstania.

— Nie chciałbym siedzieć w niemieckiej skórze, gdy Hitler przegra wojnę — powiedział Filk. —

Tego co tu z nami wyrabiają, świat im nigdy nie przebaczy.

Ulicami miasta prowadzono gromady aresztowanych: młodych i starych. Wśród nich było dużo kobiet. Za Wejherowem na lęborskiej szosie uwięzieni Kaszubi spotkali kolumny zmotoryzowanej artylerii ciągnącej w kierunku Oksywia. Spodziewali się, że w Lęborku skończy się ich dzisiejsza podróż, ale i to miasto minęli bez zatrzymania. Nadszedł wieczór.

— Wiozą nas do lasu — zatrwożył się Zalewski. — Chcą nas po kryjomu wymordować.

Kolumna samochodów wjechała w bór i stanęła między barakami otoczonymi łańcuchem posterunków. Kaszubi spędzili tu noc głodną i chłodną. Następnego ranka powiększyła się ich grupa o sześćdziesięciu rybaków i chłopów porwanych z Wielkiej Wsi. Ci opowiedzieli" chłopowianom o masakrze, jaką wczoraj urządzili Niemcy w tej miejscowości. Wszyscy wielżanie stali już pod murem, ale na szczęście nadjechał jakiś starszy oficer, podobno z Lęborka, i wstrzymał rzeź. Nie uratował się jednak Pomieczyski ze Swarzewa i Julian Detlaf, syn "Starego Bosmana", który zginął na oczach Józefa Necla.

— Myślałem, że Niemcy to ludzie — opowiadał świadek zbrodni. — Gdy ustała strzelanina, wyszedłem wraz z Julianem z ukrycia. Jego zastrzelili z miejsca. Mnie żgali bagnetami i prowadzili pod mur. Żeby nie ów oficer, zginąłbym i ja. Zginęło wtedy wielu wielżan i wszyscy s war ze wianie, co ich Niemcy pędzili przed sobą jako osłonę, cudem ocalał tylko Teodor Skoczke, pędzony przez hitlerowców przed pierwszym szeregiem szturm. Ocalał, ale nie wiadomo czy na długo, bo i jego przygnano tu razem z nami.

Tyle tylko zdążył powiedzieć, bo znów sformowano transport. Esesmani ustawili Kaszubów w czwórki, owiazali grupki linami, które pojmani musieli trzymać w dłoniach, i pod gęstym konwojem uzbrojonych po zęby strażników zaprowadzili kolumnę na lęborski dworzec.

Tłumy Niemców podjudzanych przez porucznika SS, zaczęły ciskać w Kaszubów kamieniami i grudami ziemi.

— Powiesić ich! Zastrzelić ich! — wyli partyjnicy w żółtych ubraniach z plugawymi krzyżami na rękawach. — Mordercy! Mają na sumieniu tysiące naszych rodaków i żołnierzy!

Nieszczęśliwcy pół żywi dotarli do- pociągu. Na peronie odłączono od nich księdza Wojciecha. Załadowano wagony. Zatrzaśnięto drzwi. Rozpoczęła się krzyżowa droga na Zachód. Esesmani nie pozwalali im na żadnym postoju wysiadać. Na większych stacjach pokazywano ich urągającym tłumom jako zbrodniarzy. W Szczecinie jakaś staruszka chciała Polakom podać bochenek chleba, natychmiast jednak została zbita przez rozwydrzoną ciżbę i zabrało ją SS. W Berlinie na Stettiner Bahnhof esesmani otworzyli znów drzwi wagonów, aby berlińczycy mogli zobaczyć "polskich bandytów". Filk wyciągnął dłoń przez otwarte drzwi. Na miגי poprosił kolejarza z ciężkim młotem w ręce, aby przyniósł choć trochę wody. Wtedy z tłumu wyskoczył tęgi drab. Wyrwał kolejarzowi młot i zamachnął się wściekle. Jeka w ostatniej sekundzie zdołał wciągnąć sąsiada za ścianę, ratując go od niechybnej śmierci, młot bowiem uderzywszy w podłogę wagonu wybił w niej dziurę. A tłum obywateli niemieckiej stolicy pluł, wył, szalał i groził nieszczęśliwym pięściami.

W Lipsku było nieco lepiej. I tu wprawdzie zebrali się rzesze, ale jednak niektórzy Niemcy patrzeli obojętnie i milcząco na osłabłych, śmiertelnie zmęczonych więźniów.

— Nie wierzą w kłamstwa Hitlera — szepnął Zalewski.

— Nie wierzą? A tamtych Szwabów widzicie? — rzekł Grabowski wskazując na grupę opasłych Niemców. — Słyszycie ich? Krzyczą, że cała Polska jest zamieszкана przez bandytów.

— Ja tam już niewiele widzę i słyszę — dyszał Hincka. — Ciemno mi się robi przed oczyma.

— Ma kitoś z was ch-leb? — zapytał Grabowski.

Franek Bolda podał Hince kromkę chowaną na czarną

godzinę.

Tymczasem agitacja opasłych Niemców skutkowała. W miarę przedłużania się postoju, rosły wrogie, pełne nienawiści krzyki.

— Innym głosem będą krzyczeć, gdy to ich zaczną bić — mruknął Józef Żelk. — Mój ojciec przepowiada, że tym razem wojna się skończy w Berlinie. Przyjdzie taki dzień, że nasi przemaszerują “Pod Lipami”.

— My tego chyba nie doczekamy — odparł posępnie Leon Potrykus z Wielkiej Wsi.

Zmordowani nieludzko przestali liczyć stacje swej męki, stracili rachubę czasu. Nie wiedzieli, jak długo już trwa ta straszna podróż. W końcu pociąg zatrzymał się o brzasku w Norymberdze. Tutaj kazano im opuścić cuchnące klatki wagonów. Rzęsisty deszcz chlustał po dachach pustawych peronów.

Jeszcze ulewa nie ustała, a już zaczęły się schodzić gromady Niemców. Woda z nich ciekła strugami, lecz nie ostudziła ich “świętego gniewu”. Szczelnie zapelnili perony, dworzec, przyległe ulice. Stali pod parasolami. Podnosili kołnierze płaszczy i kurtek, niektórzy przecierali szkła okularów. Cierpliwie czekali na zapowiedziane widowisko. Deszcz zmienił się w mżawkę. Wyprowadzono skazańców.

— Auf die Galgen! Auf die Galgen! — Na szubienicę! Na szubienicę!

— Polen verrecke! Niech zdechnie Polska!

Patriotyczne uniesienie tłumu wzrastało. Ktoś rzucił

z piętra garnek na głowy jeńców. Jak na dany znak posypały się teraz na pół żywych, ledwo wlokących się Polaków przeróżne śmiecie.

Obrzucani odpadkami i wyzwiskami, wśród wycia i plucia dowlekli się wreszcie do miejsca przeznaczenia — szarych namiotów opasanych kolczastym drutem i linią posterunków. Zastali tam już

inne transporty rzekomych "heikenszyców" z Kaszub, południowego Pomorza i Śląska.

— Do wyżycia to nie starczy — rzekł Adam Jeka, gdy po trzech dniach głodówki pierwszy raz dano jeńcom posiłek. — Zdaje się, że pójdę za moją siostrą na tamten świat. Szkoda, że nie w Swarzewie będzie mój grób.

Z początkiem października nadeszły przedwczesne przymrozki, dotkliwe zwłaszcza tu na Wyżynie Bawarskiej. Chłapowianie, których zabrano z cmentarza w letnich przyodziewkach, marzli w zimne noce pod namiotami. Od czasu do czasu gestapowcy według listy nadesłanej

przez Hanemanna szukali polskich patriotów. Ci, których znaleziono, ginęli bez śladu.

Po sześciu tygodniach wyprowadzono więźniów z obozu Prószył śnieg. Znow załadowano ich do bydłych wagonów. Transport ruszył najpierw do Lęborka, a stąd w kierunku Kartuz. W Somoninie zwolniono ludzi pochodzących z tutejszej okolicy.

— Jutro i my wy grze jemy się we własnych łóżkach — cieszył się kolejarz z władysławowskiego dworca Jan Strychowicz, uprowadzony do Niemiec wraz z rybakami.

Tymczasem na gdyńskim dworcu pociąg otoczyli esesmani. Nikogo nie wypuszczono na peron. Więźniowie żalowali, że nie wysiedli po drodze, gdzieś koło Kartuz, na którejkolwiek stacji. Jakoś by stamtąd, choćby pieszo, dotarli do rodzin. Teraz jednak żal ten im nie pomógł. Pod wieczór zamiast we Władysławowie znaleźli się na dziedzińcu koszar w Nowym Porcie.

— Tu za czasów pierwszej wojny światowej kwaterował 21 regiment wilhelmowskiej piechoty — rzekł stacry marynarz Teodor Skoczke.

— Może z nas chcą wojsko zrobić? — zażartował Filk.

— Żeby nas gnać jak Teodora po minach — burknął Żelk.

— Mutzen ab! — jakiś oficer SS nakazał zdjąć czapki.

Przeszło godzinę stali na mroźnej nordzie dygocąc

z zimna, aż przyszedł oddział esesmanów. Dwójkami obchodzili brańców. Jeden świecił im za uszy latarką kieszonkową, drugi oglądał szyję i orzekał:

— Polak!

— Komedycę odgrywają — burknął Grabowski. — Ani z latarką, ani ze świeczką kwekra wśród nas nie znajdują.

Czarni badacze zakończyli przegląd i wrócili do koszar, a badani zostali pod strażą w wichrzystych ciemnościach. Długo ciągnęły się godziny jesiennej nocy.

— Zamarzniemy, i jeśli nas nie wpuszczą pod dach — szczękał Filk drząc w jednej koszuli jak

osika.

Nareszcie na wschodzie zaróżowiło się niebo. O pierwszym brzasku w oknach ponurych budynków ujrzeli sine twarze widm. Koszary były przepelnione więźniami. Słońce uniosło się wyżej, a oni wciąż stali, nie wiedząc co ich czeka.

Kleba pierwszy zobaczył księdza Pronobisa. Wyprowadzili go dwaj strażnicy i kazali zamiatać dziedziniec.

— Jak się nasz proboszcz zestarzał i zmizerniał — szepnął Kleb a do stojącego obok Filka. — Dużo musiał cierpieć od tego czasu jak go od nas w Lęborku odłączono.

— Najważniejsze, że jeszcze żyje! — odpowiedział Filk i umilkł, bo na podwórzu zjawił się komendant Pauly.

— Za zbrodnie wobec ludu niemieckiego zostaliście skazani na izolację, pošlemy was do Stutthofu — oznajmił wyrok. — Wpierw jednak popracujecie trochę. Będziecie pomagać przy wykopkach buraków cukrowych na Gdańskich Żuławach.

Komendant nie rzucał słów na wiatr. Już po chwili rozpoczął się pod jego patronatem prawdziwy targ niewolników. Grubi żuławscy gburzy w partyjnych uniformach zaczęli przebierać w żywym towarze. Jeden z “brunatnych” wskazał dłonią na Adama Jekę, dobrał Filka* Jana Bystrama ze Swarzewa, kolejarza Strychowicza i jeszcze kilku innych, drugi wybrał Jana Kuchnowskiego z Wielkiej Wsi oraz ośmiu starszych i młodszych, wszystkich na “K”: Jana i Władysława Kosów, Jana Klebę, drugiego Jana Kuchnowskiego, Kubskiego ze Sławutowa, szesnastoletniego Kamińskiego z Wejherowa, Kazimierza i Emila Konkolów. Esesmani pospiesznie rejesitrowiali sprzedanych niewolników.

Najsilniejsi poszli jak świeże bułki, ale na wynędzniałego Hinckę żaden z “kupców” nie miał ochoty.

— Handlarze — szepnął Zalewski do Adama. — Gorszego towaru nie chcą brać!

W końcu wszakże jakiś spóźniony gbur nie mając już wyboru zgodził się wziąć starego Feliksa. Opustoszał koszarowy majdan. Rozjechali się więźniowie. Grupa, w której był Bystram i Jeka, trafiła do majątku koło Kieże- marku. Zaraz popędzono ich na błotniste pola do iroboty.

— Jak skończycie wykopki, odpoczniecie sobie w Stutit- hofie — obiecywał im złośliwie Herman Döring, tłusty esesman, popędzając niewolników od brzasku do nocy. — Odpoczniecie za wszystkie czasy.

— Na wieki wieków — mruknął pod nosem Jeka.

Grubemu Hermanowi mało było dnia. Późnym wieczorem po głodowym posiłku musieli Polacy przy świetle

oporządzać krowy, rznąć sieczkę, wyrzucać gnój z obór. Nielepiej działo się Teodorowi Skoczke i

jego współtowarzyszom.

Najcięższy jednak los spotkał więźniów na “K” zawieszonych na folwark niejakiego Wegnera. Ledwo przyjechali, zmęczeni i głodni, z miejsca zagnano ich do roboty, mówiąc, że muszą zarobić wpieryw na jedzenie. Pilnował ich młody esesman Specht. Kaszubi przezwali go “Dzięcioł”. Klął i krzyczał bez przerwy, a jeśli komuś zerwał się w zmarzniętej ziemi buraczany korzeń, tłukł robotnika burakiem po głowie, póki się sam nie zmęczył. Dopiero, kiedy zapadł mrok, podano im obiad: wodnistą grochówkę. Głodni siedli przy długim stole i chciwie zabrali się do jedzenia, ale natychmiast wydłużyły im się twarze.

— Ktoś wlał nam nafty do zupy — Kleba odłożył łyżkę.

— Powiem gospodyni — Władysław Kos wstał z ławki i poszedł do opasłej Frau Wegner.

— Unsinn! Bzdura! — oburzyła się gburka.

— Chodźcie skosztować — proponował Kos. — Przekonacie się!

Niemka nabrała łyżką zupy, posmakowała, zaśmiała się szyderczo:

— Mój mąż wie, co robi! Skoro wam dolał nafty do grochówki, to widać Polacy lubią taki przysmak.

Cóż było robić? Aby ratować się od głodowej śmierci, zjedli wieczerzę przyprawioną przez “troskliwego” gospodarza, po czym Specht zamknął ich na noc w ciastnym, zakratowanym pomieszczeniu.

Popłynęły dni mordęgi. W jedenasty wieczór pobytu dozorca posłał Kiebę do kuchni. Tam Wegner kazał mu tłuc w “cierzence” mleko na masło. Prawica spuchnięta od wyrywania brukwi tak Jana bolała, że nie mógł utrzymać w niej tłoka, więc “cierznią” jedną ręką. Zobaczył to gbur. Chwycił obcęgi od przegarniania ognia w kuchennym piecu i uderzył nimi kilkakrotnie Kasizubę. Kleba z wysiłkiem ujął tłok w obie ręce. Gospodarz nie spuszczał z niego oczu. Wreszcie odkrył wieko maślarki, zamieszał palcem w pianie.

— Nie ma masła *— ryknął. — Polaku przeklęty! Zaczarowałeś mi mleko.

Chwycił Jana za kark, wyprowadził go przed stajnię, przywołał Spechta.

— Załatw się z nim krótko! — rozkazał i odszedł.

Ten porwał gruby kij i zaczął bić Klebę, gdzie popadło. Kuchnowski usłyszawszy jęki bitego wybiegł z obory. Zobaczył, co się święci. Jan leżał już na ziemi, ale siepacz nie przestawał nad nim się pastwić.

— Dobić go chcesz? — Kuchnowski chwycił oprawcę za ramiona, zatrzęsł nim jak gruszką. — Rozerwę cię na kawałki, przeklęty kwekrze!

— Hilfe! Pomocy! — wrzasnął Niemiec szamocąc się bezradnie w uścisku wysokiego przeciwnika.

Z domu wypadł Wegner. Z rewolwerem w garści przybiegł na ratunek. Wtem w bramie folwarku błysnęły dwa reflektory. Na podwórze wjechał osobowy samochód. Ktoś wyskoczył z niego.

— Co się tu dzieje? — huknął głosem nawykłym do dawania rozkazów.

Kuchnowski puścił zbira. Wskazał przybyszowi na leżącego Klebę.

— Wachman chciał zabić tego robotnika! — tłumaczył.

— Nazwisko tego człowieka?

Dwa snopy światła ostro przecinały ciemność. Specht wybałuszył oczy na wysokiego cywila. W klapie jego skórzanego płaszcza błyszczała hitlerowska odznaka.

— Jan Kleba z Wielkiej Wsi.

Przybyły wyciągnął z kieszeni listę i przeczytał w świetle reflektorów:

— Jan Kleba, Jan Kuchnowski... — wymieniał kolejno wszystkich jeńców z Wielkiej Wsi i Chłapowa — zostali z dniem dzisiejszym zwolnieni.

Kuchnowski się zdziwił, czemu nie wyczytano Kubskiego ze Sławuitowa i Kamińskiego z Wejherowa, ale bał się

o to zapytać.¹

— Zwolnieni? — protestował Wegner. — A kto mi wykopie resztę buraków?

— Martwcie się lepiej o to, że będziecie wraz z wachmanem odpowiadać za pobicie tego chłopaka — zwiastun dobrej nowiny wręczył trzęsącemu się jak prędzą gburowi urzędowe pismo. — Oto pokwitowanie za zwolnio

nich! Sprawdźcie: jest na nim podpis komendanta gdańskiego obozu jeńców.

Wystraszony Wegner poszedł z papierkiem do chałupy, a niespodziewany nocny gość zwrócił się do Polaków, którzy wybiegli na podwórze:

— Zabiorę tylko połowę. Po resztę wkrótce przyjadę. Siadajcie do auta!

Odjechali żuławską szosą ani przypuszczając, że zbawcą ich był... łośoś.

Dowiedzieli się o tym w Gdańsku na kwaterze, spotkawszy Grabowskiego, Filka i kilkunastu innych uwolnionych przez nieznanego, który natychmiast zawrócił nad Wisłę, do Kieźmarka, aby dotrzymać obietnicy pozostałym Kaszubom.

— Któż to jest ten nasz dobroczyńca? — zapytał Władysław Kos.

— Benka, gdański Niemiec, żonaty z kuzynką Teodora Skoczke — odparł Grabowski. — Był we Władysławowie, w odwiedzinach u krewnych żony. Dowiedział się o naszej krzywdzie i przyrzekł, że nas uwolni.

— W jaki sposób?

— Miał znajomego gestapowca w Gdańsku na Łąkowej, w koszarach huzarów. Przez niego chciał sprawę załatwić. Jak usłyszeli o tym nasi krewni, zaczęli znosić mu gęsi i kuiry, żeby miał nas czym wykupić. Zrobił długą listę więźniów, potem pojechał do Helu. Kupił od Hal- manna dwa wędzone łososie.

— Wiadomo: łosoś ciągnie!

— Lepiej niż drób — uśmiechnął się murarz. — Benka zaopatrzył więc w kury i gęsi swą rodzinę. Jednego łososia w gdańskim gestapo wręczył wraz z naszą listą swemu szkolnemu koledze. Dostał od niego pieczętkę, podpis i wykaz dla lagerkomendanta, żeby nas puścił na wolność. Dalej poszło już jak po maśle. Przypiął sobie hakenkrojce, pojechał do Nowego Portu, dał komendantowi Pauly pismo i...

— Drugiego łososia! — zgadł Kos.

— Niech żyje łosoś! — krzyczeli uwolnieni Kaszubi.

Przez cały następny dzień Benka zwoził niewolników

z Żuław do Gdańska, a wieczorem wręczył im świadectwa

zwolnienia. Jan Kleba patrzył na swój Entlassungsschein i przesylabizował:

Kommandantur der Gefangenenlager Danzig. Danzig, den 5 November 1939. Der Johann Kleba, geboren am 15 Juni 1919 in Grossendorf Kr s. Putzig, wohnhaft in Gros- sendorf. Lager Stutthof z. Zt. b/Wegner, Käsemark wird mit dem heutigen Tage entlassen.

Der Lagerkommandant Pauly Obersturmbannführer.

Tak to łososiowy cud uratował wielu rzekomym “bandytom” życie. Niestety, nie wszystkim. Kiedy autobus przywiózł uwolnionych do Władysławowa, Benka dowiedział się, że jego lista nie objęła kolejarza Jana Strychowicza. Starał się i jego wydostać zza kolczastych drutów Stutthofu, dokąd po buraczanych wykopkach posłano resztę Polaków. Tym razem jednak starania uczynnego gdańszczanina spełzły na niczym. Strychowicz zginął męczeńską śmiercią w nadmorskim obozie.

KUR, KACZOR I ŁOSOŚ

Z samego rana dwudziestego ósmego października pierwszego roku wojny zjawił się w Odargowie na podwórzu gospodarstwa Władysława Kura czerwonołęby jegomość w zielonym

palcie i w zielonym kapeluszu z piórkami. Popatrzał na piękne zabudowania, pogładził przystrzyżony na hitlerowską modłę wąsik.

—■ Ich heisse Kaczor — butnie oznajmił gospodarzowi. — Przejmuję ten dom i ziemię. Na razie możesz tu zostać. Będziesz razem z rodziną u mnie pracować. Zamieszkasz teraz na strychu.

Kur pobladł i zacisnął pięści. Hitlerowiec zmierzył go od stóp do głowy i cofnął się o krok. Złakł się, że gbur, chłop na schwał, może go poturbować. Kaszuba opanował się jednak.

— Mam chorą matkę, żonę i czworo dzieci — powiedział marszcząc brwi. — Muszę wiedzieć, co ich czeka. Jakie będą warunki tej pracy u was na mojej roli?

— Twoje gospodarstwo i los twojej rodziny do mnie należą. — Niemiec wszedł do mieszkania. — Wynocha stąd! — krzyknął na Kur ową piastującą niemowlę. — Meble, bieliznę, słowem wszystko musicie tutaj zostawić. Nic wam nie wolno zabierać! Zrozumiano?

Nie było od tej hitlerowskiej decyzji odwołania.

Kurowie wynieśli się na chłodne poddasze, a Kaczor sprowadził rodzinę i zaczął rządzić się jak szara gęś. Przybył z ziemi łęborskiej, nazwisko miał polskie, ale uważał się za większego Niemca niż sam Hermann. Zatrwał

gospodarzom życie przy każdej sposobności. Kaszuba kopiąc brukiew na polu patrzył w niebo, czy nie ukażą się samoloty aliantów... Przyrzeczona odsiecz nie nadchodziła... Szły natomiast wieści o wysiedleniach, aresztowaniach, masowych egzekucjach.

— Żeby już raz wywieźli nas do tej Warszawy wdychała Aniela Kurowa rzucając na wóz buraczane głowy. — Tutaj Forster i tak żyć nam nie da. Byłeś wójtem. Mają cię na oku i mogą zamordować. Jak wcielone diabły ujeżdżają autami i motocyklami po drogach. Szukają ofiar.

— Jak się trochę uciszy, sami szurniemy — pocieszał ją mąż.

— Zimą? Z chorą nenką? Z małymi dziećmi?

— Może uda się nam wyjechać legalnie. Pójdę do Wejherowa po przepustkę dla siebie i dla was.

— Kaczor cię nie puści! Ciągłe przecież chodzi za tobą z pistoletem jak purtk za dobrą duszą. Lepiej czekajmy na wywózkę.

Szła zima. Mroźny wiatr dał od wschodu. Zwiewał z gałęzi resztki pożółkłych liści. Ogołociały pola. Wrony wysiadywały na nagich drzewach ogrodów. Wróble pchały się pod strzechy, ludzi zaś wywlekano spod dachów... Przez mrok gnały samochody w stronę zawodzących lasów Piaśnicy. Niepewność, smutek, strach zawładły Pomorzem.

— Aufmachen! — nocą dziewiątego listopada przebudziło Kurów walenie w drzwi strychu.

— Sofort aufmachen! Natychmiast otwierać! — nagliły gniewne głosy.

Kaszuba wciągnął spodnie, wsunął stopy w domowe "łaczki". Otworzył i zobaczył w progu dwóch gestapowców świecących latarkami. Jeden był w czarnym mundurze, drugi w cywilu. Za nimi «stał Kaczor ubrany tym razem na musztardowo. Ramię jego otaczała czerwona opaska z czarną swastyką. W głębi mrocznego poddasza krzyknęły kobiety, rozszlochały się dzieci.

— Mamy ptaszka — trzy lufy skierowały się w pierś Władysława.

— Pozwólcie mi się ubrać — poprosił.

— Do piekła przyjmują i gołych — zarechotał Kaczor. — Tam ciepło. Nie zmarzniesz.

Aniela rzuciła się mężowi na szyję.

— Matko Boska, ratuj mojego syna! — jęknęła nenka podnosząc się z posłania.

Niemcy odepchnęli płaczące białki. Zwlekli aresztowanego po schodach.

— Radzę ci zachować się spokojnie — groził gestapowiec. — Przy najmniejszej próbie oporu czy ucieczki zostaniesz zastrzelony!

Pnzed domem stało trzech drabów :z Hilfspolizei z Kar- wińskich Błot. Ci kolbami wepchnęli odargowskiego wójta do samochodu strzeżonego przez dwóch żandarmów. Zatrzaśnięto drzwi. Cywil siadł przy kierownicy, gestapowiec zajął miejsce obok niego. Zawarczał motor. Auto ruszyło. Obok Władysława ktoś kulił się w ciemności.

— Nie poznajesz mnie? — usłyszał Kur nieśmiały szept. — Jestem Sadoiski ze Straży Granicznej. Wiozą nas do Piaśnicy.

Kur wiedział, że samochód wyjeżdżając z odargowiskiej drogi na krokowską szosę będzie musiał zwolnić. Poista- nowił wykorzystać tę sposobność. Wskoczyć i zbiec. Zaczął po omacku szukać klamki, ale przekonał się, że drzwi otwierało się i zamykało tylko od zewnątrz. Obaj więźniowie byli w pułapce. Zostało im jedno: przygotować się na śmierć. W Krokowie jednak samochód nie skręcił ku Piaśnicy. Pojechał w kierunku Pucka. Jednostajnie szumiał silnik. Auto minęło Zdradę, w której urodził się Antoni Abraham. Wójt znał dzieje tego olbrzyma. Spróbował pójść w jego ślady. Skoro przejechali Połczyno, wparł ramię w drzwi. Zdawał sobie sprawę, że wiozą ich do puckiego więzienia, skąd co noc szły transporty skazańców do Piaśnicy. Nie miał nic do stracenia. Wysilał się więc i pchał z całej siły. Drzwi zaczęły skrzypieć. Nagle rozległ się huk, samochodem zarzuciło w lewo.

— Dętka pękła — kierowca zatrzymał wóz.

— Da się to szybko naprawić? — zapytał gestapowiec.

— Nie znam się na tym. Mało dotychczas jeździłem. Tu trzeba fachowca.

— Czy któryś z was potrafi dać sobie radę z tą przekłętą oponą? — Gestapowiec otworzył drzwi i oświetlił latarką wnętrze samochodowej klatki. Kur i Sadoiski siedzieli z przymkniętymi powiekami i opuszczonymi gło-

wami. — Czy któryś potrafi poradzić sobie z tą oponą? — powtórzył głośniej..

— Jeśli jest lewarek i zapasowe koło... — odezwał się łamaną niemczyzną Sadolski.

— Dętka nie wystarczy?

— Wystarczy.

Kaci wyleźli z samochodu, wypuścili granicznego strażnika. To była ostatnia może szansa! Kur błyskawicznie wsunął w szparę uchylonych drzwiczek czubek "łaczka", dzięki czemu gdy gestapowiec je zatrząskiwiał, nie zamknęły się całkiem.

— Zajrzę na chwilę do hauptmanna Hanemanna — rzekł gestapowiec do kierowcy. — Zaraz wracam.*

Poszedł na połczyński folwark. Kierowca zaś wyjął dętkę i narzędzia, Sadolski zabrał się do roboty. W chwili gdy podnosił na lewarze lewy bok samochodu, a kierowca stał nad nim pochylony z rewolwerem w ręku, wójt bezszelestnie wysunął się z wozu. Przeskoczył rów i zaczął uciekać w pole. Zaraz wszakże instynkt kazał mu rzucić się płasko na błotnistą ziemię.

Gruchnął wystrzał. Jeden, drugi, trzeci... Zerwał się zbieg. Przebiegł kilkanaście kroków i znów przyległ jak zajęc w bruździe. Wiedział, że tamten zdążył załadować drugą serię. Znał się na broni, bo miał za sobą służbę w polskim wojsku. Dobrze obliczył. Kule ze świstem przecięły powietrze. Można było teraz biec dalej, ale powstrzymał go wrzask na szosie.

— Zastrzelę cię jak psa! — ryczał Niemiec na Sadolskiego. — Zdechniesz, polska Świnio, jeśli jeszcze raz spróbujesz ucieczki!

Władysław oddalił się już o jakieś dwieście metrów od samochodu, lecz postanowił pomóc towarzyszowi niedoli. Plan miał prosty: wyzwiskami sprowokuje hitlerowca do podjęcia pościgu, a Sadolski z pewnością nie omieszką z tego skorzystać. Obawiając się, że biała koszula może go zdradzić, stanął za stertą kartoflanego zielska i krzyknął:

— Chodź tu, hitlerowski bandyto! Powiem ci coś takiego, że do śmierci popamiętasz!

Ale palba zaalarmowała już żołnierzy kwaterujących w Połczynie. Wylegli gromadą z folwarku. Na szosie załomotały podkute buciory.

3 — Łosoś wszechwładny

— Da, da ist er! Tu jest! — wył kierowca wskazując żołdakom kierunek, z którego usłyszał poprzednio głos zbiega.

Kur puścił się pędem w stronę połczyńskich mokradeł. Noc rozdarło kilka karabinowych strzałów. Strzelcy nie trafili uciekającego. Rozpierzchli się więc po polach, szukali świecą kieszonkowymi latarkami. W końcu znaleźli ślad bosych istóp. Rzucili się tropem po zorany polu. Kur cicho jak duch umykał przed ławą myśliwych. Za nim sunęła chmara światełek, niczym błędne ognie purtków uwijających się nocami po Bielawskich Błotach.

Poczuwisy pod stopami mokrą trawę zbieg skręcił ku Zdradzie, aby ścigający zgubili jego ślad. Gnał, kluczył, aż wpadł do torfowego dołu, a raczej bajora wśród skarp porośniętych krzakami. Przyczał się, wsunął głowę pod gałęzie krzewów. Nie zauważono go.

Po piersi zanurzony w zimnej wodzie, nie czuł zrazu zbytniego chłodu. Czekał cierpliwie w ukryciu chwili, w której umilkną odgłosy pogoni. Potem rozchylił po- hrzeżne krze, rozejrzał się naokoło. W stronie Pucka roily się na moczarach migotliwe świetliki. Tam szukano uciekiniera nie spostrzegłszy, że uciekł w bok. Siedział mokry i zmarznięty niby w wilczym dole, ale rosła w nim nadzieja, że wymknie się śmierci. Powoli coraz bardziej zaczynało doskwierać mu zimno. Na szczęście wkrótce świetliste purtki zniknęły z bagien. Na puckiej szosie rozbłyły dwa złote ślepie. Zawarczał motor. Zbiry odjechały ze swą ofiarą, bo Sadolskiemu chyba nie udało się zbiec.

Powinien był lunąć bandytę kluczem w łeb, gdy ten wystrzelił pierwszą serię — myślał Kur wychodząc wreszcie z wody. Był mokry jak szczur. Otrząsnął się. Ściągnął koszulę. Wykręcił ją i wdział na wilgotne ciało. Wyżał spodnie. Reflektory samochodu już zniknęły. Na wschodzie ukazała się jutrzienka. Zbliżał się świt. Należało myśleć o dalszej ucieczce.

Najbezpieczniej było ruszyć na Zdradę w darżlubskie bory, i przedostać się lasami do Domatówka, gdzie mieszkał teść Kura — Szymański. Tak też Władysław postąpił. Przebył mokradła, zapadł w puszcę. Omijał drogi, by nikogo nie spotkać. Przebijał się gęstwinami. Mokra koszula ziębiła mu grzbiet. Bose stopy krwawiły. Półzy-

wy z wyczerpania zapukał do drzwi Szymańskiego i omdlał u progu.

— Władys! — krzyknęła teściowa. — Czy on aby żyje?

Wnieśli omdlałego do pokoju. Rozebrali, ułożyli w ciepłym łóżku, cucili, aż podniósł powieki. Zobaczył znajome, przyjazne, schylone nad nim twarze.

— Uciekłem gestapowcom.. — wyszeptał. — Wieźli mnie do Piaśnicy.

— A co z Anielą, z dziećmi? — dopytywali z niepokojem i troską.

— Są w domu, w Odargowie, jeśli ich jeszcze Kaczor nie wypędził. Nie mogę tam wrócić ani też tu zostać u was. Gestapo pójdzie za mną trop w trop. Trochę odpocznę i ruszę dalej.

— Dokąd?

— Gdzie oczy poniosą.

Kur planował sobie, że schroni się u Domienika w Dębkach. Nie powierzył jednak tego planu

nawet najbliższym. Wolał, aby o niczym nie wiedzieli. Gdyby przyciśnięto ich do muru, mogliby się wygadać. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Dlatego też nie korzystał zbyt długo z gościny teściów. Napił się, najadł, ciepło przyodział.

— Weź to na drogę — Szymańska wręczyła mu przy pożegnaniu sporą paczkę z żywnością.

^ Pod Swieczinem koło Dobrego Jeziora przeszedł krokowską szosę. Borami okrążył Tyłowo, w Lubkowie spotkał znajomą. Poprosił ją, aby zawiadomiła Anielę, że zdołał uciec Niemcom. Potem znów dał nurka w gąszcz. Wynurzył się zeń dopiero o zmroku i żarnowieckimi moczarami dotarł do Dębek.

Domienik przyjął serdecznie niespodziewanego gościa. Opowieść Kura o tym co musiał znosić wraz z rodziną od Kaczora, który im izabrał dom i ziemię, co przeżył od chwili, gdy go wzięło gestapo, jak uciekał przez mokradła, by ujść hitlerowskim zbirom, wistrząsnęła gospodarzami.

Agnieszka Domienikowa, krzątając się przy kuchni, przecierała raz po raz załzawione oczy.

— Gorszych zbójów nie ma na całym świecie! — współczuła zbiegowi. — Moja starka powiadała, że Szwedzi kiedyś spalili nasze Dębki, ale tyle ludzi co

hitlerowcy to i Szwed nie wymordował. Cud, żeście żywi uszli z łap tych purtków.

— U nas, bracie, jesteś bezpieczny — zapewniał gospodarz. — Do Dębek żaden samochód o tej porze nie dojadzie. Piechotą też tu się w. nocy nikt nie przedostanie. Rano zrobię dla ciebie schowek w stodółce. W dzień będziesz w nim siedzieć, a wieczorem przyjdiesz do izby na pogawędkę. Psy nas w czas ostrzegą, jeśli ktoś zbliży się do chaty. Zawsze zdążysz uciec do kryjówki.

Jak powiedział, tak się i stało. Odargowski wójt przesiedział u Domieników aż do Nowego Roku. Słuchając wieczorami nowin ze świata i okolicy zaciskał pięści w bezsilnym gniewie. A nowiny przychodziły coraz gorsze i nie było nadziei na lepsze. Alianccy lotnicy zrzucaли nad Niemcami jedynie ulotki, kiedy bory Pomorza powtarzały echami salwy egzekucyjnych plutonów, gdy płakały wywożone białki, dzieci, starcy...

— Trzeba coś zrobić! — zdecydował zmęczony bezczynnością. Dość miał wyczekiwania.

Któregoś dnia opuścił bezpiecznie schronienie. Poszedł przez śnieżne itumany nordy, przez zamarznęte błota i oszadziałe lasy do Orła. Przed wojną był tam sołtysem jego znajomy Jan Miler. Obecnie ukrywało się w jego zagrodzie kilku konspiratorów, wśród nich Stefan Wo- jewski i ksiądz Kreft. Ciasno było w chacie, toteż Kur z kilku innymi uciekinierami przeniósł się do Letniego Dworu. Przygarnęli ich Henik i Baranowski. Zbiegowie zamierzali przeciwstawić się piasnickim zbrodniom, napadać na ciężarówki, odbijać transporty skazańców. Wyręczyła ich w itym suirowa zima. Śnieżyce zawiąły wszystkie drogi i uniemożliwiły transport Polaków na miejsce straceń. Tysiące wszakże zginęły już niewinnie do tej pory. Sadolskiego, jak dowiedział się Kur, rozstrzelano jedenastego listopada, o godzinie dziewiątej rano wraz z wieloma innymi mieszkańcami okolic Pucka.

W lutym rodzinę Władysława wywieziono do Wołomina pod Warszawą. Kaszuba postanowił, gdy

tylko się trochę ociepli, powędrować piechotą do matki, żony, dzieci. Przedtem pożegnał się z znajomymi. Parę dni spędził u Domieników, a w pierwszy dzień odwilży zaszedł chyłkiem do Odargowa. Swego przyjaciela, Józefa Lesnowa, nie zastał w domu. W izbie, oświetlonej naftową lampą,

zobaczył jedynie gospodynię i jej dorastających synów.

— Siadaj — poprosiła niespodziewanego gościa Franciszka Lesnowa. — Mój wnet wróci z krokowskiego pociągu. Pojechał do Władysławowa. Do swoich siostrzeńców. Oni po kryjomu słuchają zagranicznego radia. Zawsze się od nich czegoś pocieszającego dowie.

— Na waszym pustkowiu cicho, głucho — pokiwał głową Kur — jak w Dębках. Ani tam radia, ani gazety...

— Gdańskiego "Vorposten" nikt u nas by nie czytał. Same kłamstwa drukuje.

— Tedy Józef aż do Władysławowa jeździ po prawdę?

— Tym razem może nie tylko dobre nowiny, ale i łososia nam przywiezie. Zyda odpędziła krę od brzegu. Władysławowscy rybacy wypływają już na połowy. — Na dworze zaczęły ujadać psy. — Wraca nasz tatk — rzekła gospodyni.

— Głupie te psy — zdziwił się Kur. — Żeby tak szczekać na gospodarza.

— Jak przyjdzie bliżej, to go poznają i przestaną.

Otworzyły się drzwi. Do izby weszło dwóch żandarmów, tęgich Bawarczyków. Podeszli do Władysława.

— Ktoś ty? — zapytał groźnie jeden z nich, komendant posterunku w Krokowie.

— Frank Cejnowa z Wielkiej Wsi — rzekł bez namysłu gbur.

— Cejnowa? A nie przypadkiem Kur? Władysław Kur?

— Nie wiem co to za jeden.

— Bandyta! Zaszliśmy do Schmanta, waszego sąsiada — mówił żandarm, zwracając się do Franciszki. — Schmant powiedział nam, że przed pół godziną od strony Dębek przyszedł do was ten od dawna poszukiwany przez policję przestępca.

— Schmant pomylił się po ciemku. W nocy wszystkie koty szare. To Franz, siostrzeniec mego męża, przyszedł brzegiem morza do Dębek, a stamtąd do nas! — tłumaczyła gospodyni.

— Idź, Oskar, po Schmanta — rozkazał komendant podwładnemu — zrobimy konfrontację.

Żandarm ruszył do drzwi. Rozwarły się przed nim same. W progu stanął Józef Lesnow z olbrzymim

łososiem na ramieniu. Spod gęstych brwi dobrodusznie uśmiechnął się do żandarmów.

— Co za olbrzymia i piękna ryba! — wytrzeszczyli oczy. — Skąd to macie?

— W Wielkiej Wsi białka mego siostrzeńca — wskazał Kura — dała mi ją w podarunku.

— Wczoraj siedemset takich my złowili — pochwalił się Kur nie mający zielonego pojęcia o połowach. — Zerwały nawet kilka sieci. Myślałem, że fala wyrzuci je na brzeg, wybrałem się więc wcześniej rano na poszukiwanie zguby. Zaszedłem aż do Dębek, ale po łososiach i sieciach śladu nie zostało. Dobrze, że szczęśliwy połów wyrównał stratę z nadwyżką. Chciałem ci, wujku, powiedzieć, żebyś przyszedł do nas po rybę, ale uprzedziłeś moje zaproszenie.

— Mam nosa — roześmiał się gospodarz — wiem kiedy się do was wybrać.

— A myśmy pomylili waszego siostrzeńca z Kurem — rzekł komendant.

— Z jakim Kurem?

— No z tym, co to miał gospodarstwo w Odargowie.

— Ach, iz tutejszym polskim wójtem? Z nieboszczykiem? Przecież on dawno już utonął w mokradłach pod Puckiem.

— Kto to widział? My go wciąż jeszcze szukamy, ale ciągle bezskutecznie! Jeśli zginął, gdzie się podziały jego zwłoki?

— Nie wiecie, że wojsko kwaterujące w Gnieźdźewie ćwicząc w listopadzie na torfowiskach znalazło topielca pływającego w torfowym dole? Żołnierze zameldowali

o tym gnieźdźewskiemu sołtysowi. Wysłał ludzi, by sprzątnęli ciało. Poszli, lecz trupa nie znaleźli. Ktoś go pewnie tymczasem zabrał i pochował.

— Gdzie mieszka jego żona?

— Wywieźli ją do guberni.

Niemiec podrapał się w kark.

— Wobec tego musimy pojechać do Gnieźdźewa. Wypytać żołnierzy i sołtysa. Spisać protokół.

— Szkoda waszej drogi — odezwał się uciekinier. — Niczego się tam nie dowiecie. Wojsko dawno posłano na francuski front. Sołtysa ewakuowano gdzieś za Lublin.

— To wy, Herr Cejnowa, też słyszeliście, że znaleziono zwłoki Kura?

— Słyszeć słyszałem, ale nic dokładnego nie wiem. Mnie tam poza łowieniem łososi mało co obchodzi.

— Łososie! — cmoknął żandarm. — Bardziej się opłaci łowić je niż bandytów. Podobno smakują, że palce lizać?! Delikates nad delikatesy!

— Gdybym wiedział, że zastanę u siebie pana wachmistrza, z pewnością poprosiłbym we Wielkiej Wsi o jeszcze jednego — wtrącił wesoło Leisnow. — Ale co się odwlecze, to nie uciecze!

— Po co odwlekać? — sprzeciwił się Władysław. — Drugi raz w życiu się tak szybko nie spotkamy. Odstap, wujku, tę rybę panu komendantowi. Jutro lub pojutrze przyślę ci drugą.

— Nie pogardzi pan? — upewnił się gospodarz.

— Będę wam bardzo wdzięczny — rozpromienił się Bawarczyk. — Jak byście mieli kiedy kłopoty, zawsze chętnie wam pomogę. Tylko zapakujcie mi tego łososia, żeby go donosiciel Schmant nie widział. Swoich najbardziej trzeba się wystrzegać!

— Syn mój zawiezie wam paczkę na rowerze aż pod Krokowo — przyrzekł Lesnow. — Przed wsią będzie na was czekać!

— Auf Wiedersehen. Do widzenia — obaj Bawarczy- cy po cichu wymknęli się z zagrody, omijając z daleka gospodarstwo Schmanta.

Sztorm przeszedł bokiem.

— Z wielkiej chmury mały deszcz — odetchnął Józef. — Szczęśliwie się stało, że zajrzałem przez okno i zobaczyłem kogo gościcie. Zaraz rozpakowałem rybkę. Chciałem z nią wejść do checzy jak prawdziwy rybak.

— Złowiliście na jednego łososia dwie grube ryby! — uścisnął mu rękę Kur. — Udał się połów. Ten komendant to niezły człowiek.

— W samą porę mnie ostrzegł przed moim sąsiadem, że podsłuchuje pod oknami i donosi — przytaknął gospodarz. — ■ Najwięksi nasi prześladowcy to ci tutejsi Niemcy. Schmant jest zausznikiem grafa z Krokowa. Polaków to obaj najchętniej by utopili w łyżce wody. Myślę, że i na ciebie oni właśnie nasłali gestapo. No, Franek, zawieź paczkę Bawarczykowi — zwrócił się do syna. — A ty, Franciszka — poprosił żonę — daj nam kolację. Nie będzie łososia na półmisku, ale zdaje mi się, że zrobiliśmy dziś przy jego pomocy dobry interes.

Kur jeszcze tej nocy wyruszył na południe. Przeżył wiele. Pod nazwiskiem Przybyłowicza ożenił się po raz drugi ze swą Anielą. Jako porucznik “Włóczęga” brał udział w podziemnych walkach, a podczas warszawskiego powstania, w czasie którego stracił całą niemal rodzinę, krwawo mścił na Niemcach swe krzywdy. Herr Kaczor nie czekał na jego powrót. W dniach klęski Niemiec “odleciał” za Łabę. Graf z Krokowa również opuścił swój stary zamek. Przez kilka tygodni pasał podobno krowy u swego zausznika Schmanta. Potem obaj wynieśli się z Pomorza. Ale to już — jak powiada Kipling — całkiem inna historia.

“Dziewięćdziesiąt brytyjskich samolotów strącono,, wszystkie nasze bombowce wróciły cało do bazy” — grubymi literami donosił w piątek ósmego sierpnia 1940 roku “Danziger Vorposten”,

— Kłamią jak najęci — Józef Myślisz zmiął gazetę. — Słuchałem radia z Londynu. Wczoraj nasi wraz z Anglikami stracili osiemdziesiąt siedem, przedwczoraj sześćdziesiąt niemieckich maszyn.

— Żeby jeno tak dalej szło — radował się Rybakowski. — Nici będą z hitlerowskiej inwazji na wyspę. Churchill może się w kułak śmiać z grubego Hermana!

Rybacy wychodzili gromadami z bramy władysławowskiego portu. Część z nich, mieszkająca w Kuźnicy, pospieszyła na kolejowy przystanek Wielka Wieś-Hallerowo.

— Hitler podobno gromadzi w Dunkierce i Calais wszystkie pływające jednostki — mówił Anton Budzisz, szyper kutra “Kuźnica 40”. — Nie da rady zniszczyć Anglii z powietrza, tedy chce przepłynąć kanał.

— To może bec — skinął głową Albin Budzisz, który pływał na kutrze “Kuźnica 37”. — Wczoraj o zmroku widziałem karawanę szkunerów, kryp, barek i innych kurpów. Holowniki holowały je na zachód.

— Żeby i nas nie pognali — zatroskał się Anton.

— Nie mają prawa — zaprotestował Alojzy Gojka. — Jesteśmy przecie Polacy! Hitlerowcom nie wolno zmuszać innych narodów do udziału w ich wojennych awanturach.

— Prawo dla nich to świstek papieru — twierdził Albin wypatrując pociągu z Pucka. — Nie będą się na nie oglądać. Jeśli trzeba będzie posłać kogo na pewną śmierć, to z pewnością nas popchną w pierwszym rzędzie. Zobaczycie, dresze, że się nie mylę!

Przekonali się o tym już nazajutrz. Wrócili iz morza wcześniej, około południa. Tłumaczyli Niemcom, że muszą kutry i motory uporządkować, w rzeczywistości jednak skracali połowy, by jak najmniej “volksdeutschów” — tak nazywali dorsze — złowić dla “feszcentrali”. Śledzie, flądry i co lepsze ryby szły oczywiście “podziemną drogą” do kuchen Polaków, którym okupant skąpił przydziałów żywności. Na wracających czekały w porcie trzy limuzyny. Z pierwszej wysiadł “feszmajster” Lachmund, rosły esesman z hitlerowskim wąsikiem. Stahlenberg, okupacyjny dyrektor rybołówstwa, obdarzył go władzą nad Zatoką Pucką, Międzymorzem oraz wybrzeżem aż po same Dębki, polecając mu jak najrychlej zgermanizować kaszubskich rybaków i zmusić ich do największych wysiłków w rybołówstwie.

— Wszystkie załogi mają natychmiast wracać na kutry! — zakomenderował Lachmund ledwie zaczęto cumować.

Wyjścia z przystani zostały zamknięte. Straż przy nich objęły czarne mundury. Na trzydzieści kilka kutrów tylko trzem załogom udało się wydostać z łapanki i pobiec do domów.

— Schnell! Schnell! Prędzej! Prędzej! — miotał się tymczasem Lachmund. — Popłyniecie do Gotenhafen po ropę i prowiant. Wir fahren gegen England!

— Jezus Maria — jęknął Myślisz. — Ci gromi chcą nas wysłać na inwazję! Tego nam jeszcze

było potrzeba. Szkoda, żeśmy na nowo objęli nasze zarekwirowane kutry. Nie byłoby zarobku, ale byłby spokój.

— Nie martw się, drehu! — Albin przycumował koło Józefa. — Każą nam tylko doprowadzić kutry do Dunkierki i kolejną odeślą wszystkich do domu.

— Nie wierzę! — odparł Józef. — Skąd wezmą tylu szyprów do prowadzenia naszych kutrów przez La Manche?

Przez resztę chmurnego i dżdżystego dnia po Władysławowie i okolicy szukano zbiegów. Dopiero więc przed

wieczorem Lachmund z tymi, których powiodło mu się schwytać, odpłynął do Gdyni. Podczas tego rejsu kutry Franciszka Jęki, Pawła Boldy i Franciszka Necla zepsuły się i stanęły na morzu.

— Nie możemy uruchomić motorów — zameldowali szyprowie.

— Dam zbadać wasze maszyny — ryknął feszmaijster przez tubę. — Jeśli chcecie się dekować, nie wyjdziecie ze Stutthofu!

W niedzielę dziesiątego sierpnia ołowiane chmury zwisały nisko nad drobnymi falami morza. Deszcz siekł krop- liście. Wydłużony wąż kutrów sięgający od Chałup aż po Rozewską Głowę sunął ku zachodowi. Żony z dziećmi stały na brzegu. *

— Kto wie, czy jeszcze ich zobaczymy — szlochały białki patrząc jak kutry jeden za drugim nikną za Rozewiem.

Z pokładu ostatniego kutra, który za polskich czasów nosił miano “Orlik” i był statkiem dozorczym Morskiego Urzędu Rybackiego, dochodziło wycie pijanych hitlerowców:

— Denn wir fahren, denn wir fahren, denn wir fah- ren gegen England...

Płynął na nim sam Lachmund, pilnując by żaden kuter nie wymknął się z zespołu. Na czele rybackiej floty szedł “Hel 126” Leona Budzisz, Kaszuby z krwi i kości. Jemu to, bo tylko on jeden z członków pięćdziesięciu kaszubskich załóg znał dobrze język niemiecki, polecił fesz- majster doprowadzić wyprawę do Ustki, tam bowiem wyznaczono pierwszy nocleg. Płynęli rybacy, upływały godziny. Kutrowy szyk rozciągnął się jak guma. Szyprowie idący w przodzie stracili z oczu tych, co się wlekli na szarym końcu.

— Lachmund ugania za maruderami i coraz dalej zostaje za nami — krzyczał przez tubę Albin Budzisz do Leona, z którym płynął niemal burta w burtę. — Chyba już ze dwie godziny drogi dzielą nas od ostatnich kutrów.

— Dmucha wiatr i robi się fala — odkrzyknął Budzisz. — Feszmaijster wnet się zarzyga. Przejdzie mu ochota do wszystkiego. Wpłyniemy do Łeby zamiast do Ustki. Zarobimy może przez to kilka dni i nie zdąży

my na inwazję. Lachmundowi wytłumaczymy, że nadchodził przeciwny wiatr.

— Tedy zmienić kurs w lewo?

— Na dziewięćdziesiąt stopni! W kierunku wjazdu do łebskiego portu!

Przekręcono stery i wkrótce wszystkie kutry prócz “Orlika” i kilka opieszalców stanęły w kanale przystani. Wiatr powoli skręcił ku północnemu zachodowi. Widoczność się polepszała, ale fala rosła.

— Lachmund pewnie karmi już rybki — śmiali się rybacy. — Rad będzie wypocząć w zacisznym porcie. Z pewnością zawinie tu za nami.

Łeba długo pamiętała dzień pobytu rybaków z polskiego brzegu. W obu restauracjach huczała kaszubska gwara. Mrok zapadał, animusz wzrastał, zabrakło wódki.

— Na wydmach stoi Kurhaus — Anton Budzisz wy penetrował już wszystko. — Tańczą tam niemieccy letnicy, ale są i łebscy rybacy. Popijają “na abszyt”, bo też dostali nakaz wypłynięcia na zachód. Wódki tam moc. Półki uginają się pod butelkami.

— Dresze, chceme tam iść — zawołał Myślisz. — Pogadamy z łebianami.

Ruszyli gromadą na przełaj przez mroczny las ku światłom domu kuracyjnego. Przez otwarte okna dochodziły dźwięki tanga. Daleko na wschodzie migotały białe gwiazdy kutrowych latarni.

— Lachmund prowadzi resztę kurdupów — powiedział Leon i wszedł do sali pełnej rozbawionych Niemców.

Pary przeginały się w tańcu jak wydmuchrzyca poruszana wiatrem. Na podium grała orkiestra. Anton pomaszerował prosto do grajków. Nie umiał słowa po niemiecku, ale skoro wyciągnął z kieszeni butelkę koniaku z piękną naklejką, od razu znalazł wspólny język z muzykantami. Umiejętnie wybił korek. Napełnił kieliszki. Na migi wyjaśnił Niemcom, że potrafi grać na rozmaitych instrumentach i poprosił “kolegów”, by z nim wypili. Po dwóch kolejkach z werwą zagrali na jego życzenie Kom- blumenblau. Letnicy zawirowali w rytm starego walca. Tymczasem Leon Budzisz zdążył się pokumać z tubylcami: Muchem właścicielem kutra “Łeba 7” i Ujewskim właścicielem kutra “Łeba 13”.

— Wy Kaszubi, my Kaszubi... — gadał Much. — Wielu starych w naszej okolicy zna jeszcze słowiańską gadkę.

— Nie chcemy walczyć za brunatnych — Ujewski rąbnął pięścią w; stół. 7— Pod przymusem tylko popłyniemy na zachód!

A na podium Anton nie zasypiał gruszek w popiele. “Wyczarował” drugą butlę. Ufetował kapełę trzecią kolejką. Zaczął dyrygować i zaintonował:

— Jeszcze Polska nie zginęła...

Stary kapelmistrz pokręcił głową na znak, że nie może tego zagrać. Rozbrzmiało sentymentalne tango. Kuźnicza- nin znikł z sali, ale w przerwie między tańcami wrócił z marynarskim workiem na plecach. Znów napełnił kielichy, wyciągnął z worka kilka kręgów kiełbasy i zawiesił je grajkom na szyjach. Rozdał cały niemal prowiant przydzielony mu na długi rejs. Gdy więc po raz drugi dorwał się do batuty, muzykanci bez wahania dmuchnęli w dęte instrumenty.

— Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy — nucił Kaszuba.

Kapelmistrz dał, .aż się kręgi kiełbasy trzęsły na szyi. Staruszek perkusista walił co sił w bęben, oblizując co chwila drżące wargi. Wszyscy Polacy zerwali się z krzeseł i stanęli na baczność. Również niemieccy letnicy wyprostowali się przy stołach jak świece. Nie wiedzieli, co się dzieje. Orkiestra grała już trzecią zwrotkę. Rozentuzjasmowani rybacy śpiewali.

— Marsz, marsz Dąbrowski...

Wtem na taneczną salę wpadł w czarnym mundurze wycieńczony morską chorobą, blady jak trup feshmajster.

— Was ist denn Mer los?! — ryknął. — Przeklęta polska banda! Na co sobie pozwalacie? Co to ma znaczyć?

Kapela ucichła, jakby piorun w nią trząsł, Anton spojrzał groźnie na Lachmunda. Kuracjusze ; tymczasem zaczęli uciekać wszystkimi drzwiami jak szczury z tonącego okrętu. Hitlerowiec poczuł się nieswojo. Rybacy wciąż jeszcze stali na baczność. Przezorny Leon Budzisz postanowił załagodzić sprawę. Odłączył się od łebian.

— Uspokójcie się, panie Lachmud — podszedł do rozwścieczonego feshmajstra. — Nic złego nie zaszło! Tę samą pieśń kazał generał Steinmetz grać pod Gravelotą poznańskim i pomorskim pułkom, gdy ruszały do szturm

my na inwazję. Lachmundowi wytłumaczymy, że nad- chodził przeciwny wiatr.

— Tedy zmienić kurs w lewo?

— Na dziewięćdziesiąt stopni! W kierunku wjazdu do łebskiego portu!

Przekręcono stery i wkrótce wszystkie kutry prócz "Orlika" i kilka opieszalców stanęły w kanale przystani. Wiatr powoli skręcił ku północnemu zachodowi. Widoczność się polepszała, ale fala rosła.

— Lachmund pewnie karmi już rybki — śmiali się rybacy. — Rad będzie wypocząć w zacisznym porcie. Z pewnością zawinie tu za nami.

Łeba długo pamiętała dzień pobytu rybaków z polskiego brzegu. W obu restauracjach huczała kaszubska gwara. Mrok zapadał, animusz wzrastał, zabrakło wódki.

— Na wydmach stoi Kurhaus — Anton Budzisz wype- netrował już wszystko. — Tańczą tam

niemieccy letnicy* ale są i łebscy rybacy. Popijają “na abszyt”, bo też dostali nakaz wypłynięcia na zachód. Wódki tam moc. Półki uginają się pod butelkami.

— Dresze, chceme tam iść — zawołał Myślisz. — Pogadamy z łebianami.

Ruszyli gromadą na przełaj przez mroczny las ku światłom domu kuracyjnego. Przez otwarte okna dochodziły dźwięki tanga. Daleko na wschodzie migotały białe gwiazdy kutrowych latarni.

— Lachmund prowadzi resztę kurpów — powiedział Leon i wszedł do sali pełnej rozbawionych Niemców.

Pary przeginały się w tańcu jak wydmuchrzyca poruszana wiatrem. Na podium grała orkiestra. Anton pomaszerował prosto do grajków. Nie umiał słowa po niemiecku, ale skoro wyciągnął z kieszeni butelkę koniaku z piękną naklejką, od razu znalazł wspólny język z muzykantami. Umiejętnie wybił korek. Napełnił kieliszki. Na migi wyjaśnił Niemcom, że potrafi grać na rozmaitych instrumentach i poprosił “kolegów”, by z nim wypili. Po dwóch kolejkach z werwą zagrali na jego życzenie Kom- blumenhlau. Letnicy zawirowali w rytm starego walca. Tymczasem Leon Budzisz zdążył się pokumać z tubylcami: Muchem właścicielem kutra “Łeba 7” i Ujewskim właścicielem kutra “Łeba 13”.

— Wy Kaszubi, my Kaszubi... — gadał Much. — Wielu starych w naszej okolicy zna jeszcze słowiańską gadkę.

— Nie chcemy walczyć za brunatnych — Ujewski rąbnął pięścią w^r stół. -7- Pod przymusem tylko popłyniemy na zachód!

A na podium Anton nie zasypiał gruszek w popiele. “Wyczarował” drugą butlę. Ufetował kapelę trzecią kolejką. Zaczął dyrygować i zaintonował:

— Jeszcze Polska nie zginęła...

Stary kapelmistrz pokręcił głową na znak, że nie może tego zagrać. Rozbrzmiało sentymentalne tango. Kuźnicza- nin znikł z sali, ale w przerwie między tańcami wrócił z marynarskim workiem na plecach. Znów napełnił kielichy, wyciągnął z worka kilka kręgów kiełbasy i zawiesił je grajkom na szyjach. Rozdał cały niemal prowiant przydzielony mu na długi rejs. Gdy więc po raz drugi dorwał się do batuty, muzykanci bez wahania dmuchnęli w dęte instrumenty.

— Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy — nucił Kaszuba.

Kapelmistrz dał, aż się kręgi kiełbasy trzęsły na szyi. Staruszek perkusista walił co sił w bęben, oblizując co chwila drżące wargi. Wszyscy Polacy zerwali -się z krzeseł

i stanęli na bacność. Również niemieccy letnicy wyprostowali się przy stołach jak świece. Nie wiedzieli, co się dzieje. Orkiestra grała już trzecią zwrotkę. Rozentuzjasmowani rybacy śpiewali.

— Marsz, marsz Dąbrowski...

Wtem na taneczną salę wpadł w czarnym mundurze wycieńczony morską chorobą, błady jak trup feshmajster.

— Was ist denn hier los?! — ryknął. — Przeklęta polska banda! Na co sobie pozwalacie? Co to ma znaczyć?

Kapela ucichła, jakby piorun w nią trząsł, Anton spojrział groźnie na Lachmunda. Kuracjusze tymczasem zaczęli uciekać wszystkimi drzwiami jak szczury z tonącego okrętu. Hitlerowiec poczuł się nieswojo. Rybacy wciąż jeszcze stali na baczność. Przewrotny Leon Budzisz postanowił załagodzić sprawę. Odłączył się od łebia-n.

— Uspokójcie się, panie Lachmud — podszedł do rozwścieczonego feshmajstra. — Nic złego nie zaszło! Tę samą pieśń kazał generał Steinmetz grać pod Gravelotą poznańskim i pomorskim pułkom, gdy ruszały do szturm

L

przeciw Francu-zom. A przecież my ruszamy na nie byle jaką wyprawę! Gegen England!

Niemiec, równie głupi jak wysoki, słabo znał niemiecką historię. Nie wiedział co powiedzieć.

— Siadajcie do naszego stołu — zapraszał Budzisz. —* Między rybakami dobry duch! Idzie wiatr, ale jak się uspokoi, ruszymy w dalszą drogę!

— Ja, ja — przytaknął Szwab. — Idzie wiatr. Wycho- rowałem się już dość na morzu.

— Za wasze zdrowie — wznosił toast Kaszuba.

Lachmund wypił i potarł czoło,

— Kto to, ten generał Steinmetz?

— Stary wilhelmowski wódz! Ma podobno teraz dowo-¹ dzić całą inwazją przeciw Anglii. Wypijmy za jego pomyślność. Niech żyje!

— Niech żyje! — Nałogowy pijak chlał jeden kielich za drugim, aż bulgotało mu w przepastnym gardle.

Orkiestra wyniosła się po cichu wraz z Antonową kielbasą. Nad ranem nieprzytomnego Lachmunda w plażowym koszu, jak zabitego wieprza, zanieśli rybacy na pokład "Orlika". Przez dwa dni nie wygramolił się z koi. Kilka wprawdzie razy zbudził opoja szum fal, ale wtedy rybacy "leczyli" go koniakiem i zasypiał na nowo.

— Pogoda niezła — powtarzał Budzisz. — Niech śpi jak najdłużej, boby kazał zaraz wyjść w morze.

Dopiero czwartego dnia postoju w łebskim porcie, gdy wiatr przycichł i zboczył na południowy

wschód, a szum fal zmalął, Lachmund oprzytomniał co nieco. Zwlókł się z posłania. Narzucił mundur.

— Musimy nadrobić spóźnienie — grzmiał. — Popłyniemy bez postoju prosto do Kilonii. Zrozumiano? Bez postoju!

Zaczęli majstrować przy motorach i długo nie mogli ich uruchomić. Z wielkim trudem wyprowadził wreszcie swą flotę z przystani. Leon, któremu fieszmajster znów polecił nawigować na samym przodzie, oddaliwszy się od innych kutrów przyłożył tubę do ust.

— Na morzu nie będzie Lachmund nami rządził — krzyknął do Albina płynącego w pobliżu. — To nim będzie fala rządzić. Od zachodu się chmurzy! Tylko patrzeć, jak stamtąd znów ruszy wiatr. Zacznie się chwiejba, fiesz-

majster weźmie kurs na Rygę. Dla jego dobra wejdziemy do Świnoujścia.

— I damy mu wzmacniających kropeł, żeby po kilku dniach wyzdrowiał — śmiał się kuźniczani. — Trzeba dbać o naszego wodza. Inaczej doczekałby się po drodze marynarskiego pogrzebu.

Dzień i dwie noce strawili na żegludze. Wzrastała wysoka fala. Lachmunda ukołysały grzywiaste bałwany nie- ledwie do wiecznego snu. Dopiero w dwadzieścia cztery godziny ipo zawinięciu w ujście Świny podniósł głowę

i słabym głosem zażądał kropeł. Rybacy przynieśli na “Orlika” resztę wódki, a szyper czule leczył feiszmajstra.

— Przy tym tempie diabli dawno wezmą inwazję, nim dopłyniemy do Francji — cieszyli się maszopi.

Zainteresowały się jednak nimi władze wojskowe. W porcie zjawił się stary Seeleutnant, który pamiętał jeszcze wilhelmowskie czasy. Budzisz poinformował go skwapliwie, że esesmański komendant rybackiej flotyli ciężko zachorował i od dwóch dni leczy się ostrymi kroplami na kutrze “Orlik”.

Nie wiadomo o czym gadał stary wilk morski z pijani- cą, dość że nazajutrz Lachmund na łeb i szyję wypędził kutry z przystani.

— Popłynemy między Rugią a lądem — poradził mu Budzisz. — Spokojną i krótszą droigą przedostaniemy się szybko pod Rostock. Bałtyk tam spokojny. Nie da się wam we znaki. Przystaniecie chorować.

—■ Gut, gut. Dobrze, dobrze — dzielny esesman bał się fal jak grzesznik piekielnego ognia, a nie wiedział, czym grozi przeprawa przez te cieśniny, niebezpieczne i zdradliwe.

Kutry wpadały co chwila na mielizny. Trzeba je było z wysiłkiem ściągać. Dopiero po tygodniu zebrała się flota w zacisznej zatoce przy Darsser Ort. Lachmund musiał się zgodzić, że wpłyną do

Rostocku, by zabrać paliwo, lecz gorliwością starał się zmasakrować poprzednie swe girzechy. Nikogo nie puścił na ląd. Przeklinał jak szatan i odgrażał się kaszubskim rybakom. Naglił, by czym prędzej wyjść w morze. Los, sprzyjający dotąd załogom, uśmiechnął się z kolei do Niemca. Skończyły się możliwości wybiegów i usprawiedliwiania żółtego tempa rejsu. Nastąpiły piękne wrześnie dni, Bałtyk zalegała lustrzana glada.

W ciągu jednej doby kutry znalazły się przed Kilonią. Piloci przeprowadzili je przez kanał. Nad deltą Łaby zawyły syreny. Feszmaister spojrział w górę jak gąsior podczas burzy, gdy z czarnych chmur leje deszcz i wałą pioruny.

— Thommies! — spostrzegł wywiadowcze samoloty i dał z innymi Niemcami drapakę w pierwszy lepszy bunkier.

Kaszubi pozostali na kutrach. Stojąc w słuzach dowiedzieli się o ciężkich stratach, jakie Luftwaffe poniosła ostatnio nad Londynem. To poprawiło im humor. Odtąd śmiali się po cichu z grózb feszmaistra. V/ spokojnych wąskich kanałach, którymi piloci prowadzili ich w kierunku Bremy, Niemiec odzyskał dawną butę.

— Wyślę was do koncentracyjnych obozów! Zgnijecie za drutami — groził rybakom. Ale kiedy przycumowali do nabrzeża w Emden, leżał znów pijany jak .bela. Nie zdołało go obudzić nawet dwóch chorążych z wojennej marynarki. Polecili więc Leonowi, by pfyął z całą flotyllą do Teerhafen pobrać prowiant i paliwo.

Budziszowi było w to graj. Zamiast do Smolnego wprowadził kutry do Drzewnego Portu i przez kilka godzin szukał bunkrowej stacji. Z trudem mu wytłumaczono, że tu iropy ani żywności nie wydają. "Wtedy bez pośpiechu zawrócił na zatokę. Późnym wieczorem zawinął na poprzednie miejsce postoju. Następnego dnia poskarżył się v/ komendanturze, że nie wydano mu przydziałów. Ostro rozdzwoniły się telefony. W końcu wyjaśniono zagmatwaną sprawę. Kazano Kaszubie popłynąć natychmiast do Teerhafen i pobrać co trzeba.

"Orlik" przepadł bez śladu. Podobno Lachmund zbudziwszy się z pijackiego snu, zobaczył, że kutry znikły. Pewny, że posłano je na zachód, wziął kurs na wyspę Berkum.

Powiał west, a potem zaczął padać deszcz. Widoczność się popsuła. Leon szukając Smolnego Portu tułał się rynnami farwatrów jak Latający Holender od wschodniego do zachodniego brzegu. Koniec końcem wpłynął do Delfzjil.

—■ Dresze, zostaniemy tu do rana — rzekł do kolegów wróciwszy z kapitanatu portu. — Zameldowałem, żeśmy się tutaj schronili przed silnym wiatrem i mgłą.

Przespali się beztrosko, rano zaś poszli grupkami do holenderskiego miasteczka po żywność. Na rogu jednej z krzyżujących się uliczek błysnęło wystawowe okno rzeźnika. Przystanęli. Zapatrzeni w wiszące kiełbasy zaczęli głośno i wyzywająco rozmawiać po polsku. Nadchodził patrol. Chcieli, aby ich aresztowano. Ale żołnierze przeszli nie zwracając uwagi na Kaszubów.

— Szkoda, że nas nie zamknęli — skrzywił się Myślisz. — Długo by trwało, nim by się

dowiedzieli, skąd jesteśmy, a nasze kutry stałyby tymczasem w porcie.

— Proszę do środka — rzeźnik w białym fartuchu otworzył drzwi masarni. — Obsłużymy was dobrze — zachęcał widząc, że nie zamierzają skorzystać z jego zaproszenia.

— Jesteśmy bez grosza — mruknął Alojzy Gojka.

Holender, nie przestając się uśmiechać, wciąż ich zachęcał do wejścia.

Dali się skusić.

W czystym sklepie stała za ladą ekspedientka w śnieżnym kitlu i ważyła mięso dla klientów. Na ścianach, wyłożonych niebieskimi kafelkami, srebrzyły się haki z szynkami. Holender poprosił ich do pokoju za sklepem. Wisiało tu pełno obrazków przedstawiających klipry i barki. Gospodarz posadził gości u podłużnego stołu i odezwał się do nich po polsku.

— Znacie naszą mowę? — zdumiał się Budzisz.

— Terminowałem w Rotterdamie razem z jednym Polakiem — wyjaśnił. — Od niego się nauczyłem trochę mówić po polsku. Przydało mi się to potem, kiedy dzierżawiłem portową restaurację we Vlaardingen. Odwiedzali ją chętnie Polacy z trawlerów polsko-holenderskiego towarzystwa połowów. Język wasz panował u mnie jak w Gdyni.

Józef Myślisz zerwał się z krzesła, wyciągnął szeroką dłoń.

— Poznajesz mnie, stary?

— Myślisz! — rzeźnik uścisnął mu rękę. — Przychodziłeś do mojej knajpy. Pamiętam! Ale nie pokazałeś się podczas ostatniego sezonu przed wojną.

— Ojciec kupił kuter od państwa i na nim rybaczy-łem — odparł Józef. — Później zaciągnięto mnie do wojennej marynarki na ORP “Wicher”.

4 — Łosoś wszechwładny

— Daliście się hitlerowcom we znaki?

— Zatopiliśmy jeden albo dwa niemieckie niszczyciele. Potem na nas nasłali chmary bombowców. “Wicher” szedł na dno, lecz przeciwlotnicza artyleria dalej waliła do wrogów.

— Anglicy nauczyli się od was zaciętości. Wiecie chyba, co się dzieje nad Londynem? Co dzień strącają Niemcom około stu bombowców. Wasi myślicy dzielnie im w tym pomagają.

Nagle usłyszeli wrzask za oknem na ulicy.

— W o sind die Pollacken? Gdzie się, do pioruna, po- dziewa ta świńska banda?

— Lachmund! — Myślisz poznał zapijaczony głos. — Skąd on się tu wziął?

— Dowiedział się przy zaporze u wjazdu do zatoki, żeśmy tamtędy nie przepływali, zawrócił więc i tu znalazł nasze kutry — odgadł Leon. — Musimy się stąd ostrożnie wymknąć, żeby pies nie wpadł na trop.

Niebawem w porcie wybuchła straszliwa awantura.

— Tutaj szukacie prowiantu? — krzyczał Niemiec jak opętany. — W Teerhafen czekał na was prowiant. Ja się z wami rozprawię!

— Czemu nie dano nam pilota? — bronił się szyper. — Nie znam tej zatoki. Zbłądziłem.

— Teraz ja was poprowadzę! Popłyniemy przez Ems do Zuider Zee!

— Nie mamy zaopatrzenia.

— To zdechniecie z głodu, ale do wyznaczonego celu dopłyniemy!

— Bez ropy? Baki pus,te!

— Himmelkreuz und Donnerwetter/ Co krok to przeszkoda! Na pokłady. Wracamy do Teerhafen!

Piloci, którzy mieli przeprowadzić kutry na Zuider Zee, zeszli ze stateczków. Niemiec co i raz łapał się za głowę. Na zatoce, gdy Myślisz zameldował, że zabrakło mu paliwa, jęknął tylko w głuchej rozpacz. Prześladował go pech. Rozwiewały się nadzieje na awans i order. W Teerhafen powiedziano mu, że zapas ropy został wyczerpany, trzeba czekać na nowy transport. W chwilę później zawołano go do telefonu.

— ■ Wzywają mnie na komendanturę — pełen ponurych, przeczuć odłożył słuchawkę i pospieszył na wezwanie.

r

Długo nie wracał. Zamiast niego nadszedł wyższy oficer marynarki z jednym szerokim i kilku wąskimi paskami na rękawach. Stanąwszy przy Antonim Budziszu o coś zapytał. Anton, nie znając niemieckiego, wskazał palcem kuter “Hel 126”, na którym stał Leon.

— Co wy tu robicie? — zapytał groźnie Leona, gdy znalazł się już na “Hel 126”.

— Zaraz przedłożę dokumenty — odpowiedział Kaszuba zapraszając oficera do sterówki.

Tam wyciągnął z portfela dowód osobisty, na którym widniał polski orzeł, i przedwojenną kartę rybacką.

— Pole?

— Jawohl!

— To wasze kutry?

— Jawohl!

— Czy poza wami zna który z szyprów niemiecki język?

— Nein!

— Kto was itu ściągnął?

— Herr Fischmeister Lachmund aus Grossendorf.

— Idiota. Zdejmę was z pokładów i przekażę władzom cywilnym. Powędrujecie do obozu na wypoczynek.

— Befehl ist Befehl. Rozkaz jest rozkazem! — wyprężył się Leon. — Czy wolno mi jednak przedstawić panu kapitanowi małą prośbę?

Szyper zdjął z półki, gdzie leżały mapy, podłużną paczkę.

— Mam łososia. Złowiłem go późną wiosną. Leżał w solance. Przed wyjazdem sam go uwędziłem. Żał by mi było, gdyby się zmarnował albo też zjadł go byle kto. Król ryb należy się wysokiej szarzy. Proszę, by pan kapitan był łaskaw przyjąć go od rybaka z Helu.

Budzisz trzymał paczkę na rękach jak niemowlętko podawane do chrztu.

Oficer wciągnął w nozdrza apetyczny zapach.

— Prześlecie tę rybę mojej żonie. Dam wam adres i pieniądze na przesyłkę. Załatwione? Czy macie jeszcze jakieś prośby?

— Nie, nie — powiedział Budzisz. — My w kacecie na pewno będziemy mieli wszystkiego do syta.

— Tak wam tam spieszno? — roześmiał się Niemiec. — Przyślę podoficerów, żeby sprawdzili wasze dowody i zwolnię was do domu!

Pożegnał się i zawrócił do komendantury. Po drodze spotkał Lachmunda. Nie było to miłe spotkanie dla feshmajstra. Od oficera sztabowego dostał taki wycisk, że niczym zбитy pies powlókł się do kabiny “Orlika”.

Pod wieczór do portu wpłynął Myślisz.

— Zlałem resztki ropy ze wszystkich baków i w ten sposób dostałem się do Delfzjil — powiedział Leonowi. — Holendrzy pożyczili mi ropy, a nasz rzeźnik...

— Co u niego słycać?

— Przekazał mi wiadomości z wczorajszego dziennika “Bum, Bum, Bum”: siedemnastego września nasi i Anglicy jstręcili Szwabom sto siedemdziesiąt siedem bombowców. Hitler zaplanował podobno na ten dzień inwazję, ale nocą zbombardowano mu flotę w Dunkierce i Calais.

— Szczęście, że nais tam nie było — ucieszył się kuźni- czanin Gojka.

— I nie będzie — uśmiechnął się Leon. — Stąd nas zwolnią do domów. Wszystkich za jednego łososia. Tego wędzonego, com go to przez cały rejs chował na czarną godzinę. No i przydał się! Żeby nie on, zapakowano by nas za druty.

— Łosoś jjest doch wszechwładny — stwierdził Myślisz. —r Może dzięki niemu dożyjemy końca wojny. Mówili w angielskim radio, że tak jak pierwszą wojnę Niemcy przegrali siódmego września 1914 roku nad Marną, tak tą siedemnastego września nad Londynem. Ale tamta po Marnie trwała jeszcze cztery lata, tedy i ta też może się przeciągnąć. W obozie nie doczekalibyśmy zwycięstwa.

— Niech więc nasz zbawca jodzie nad Ren, do Kolonii — Budzisz poklepał paczkę. — Zaniose go na pocztę.

W mieście szerzyły się już niewiarygodne pogłoski. Szeptano, że fihrer zbudował olbrzymi most z różnych kutrów, kryp, barek, szkunerów i kazał Wehrmachtowi maszerować po nim do Anglii. Jednak chytry Brytyjczycy rozlali po kanale benzynę, zapalili ją i cała armia zginęła w płonącym morzu. Inna wersja głosiła, że w płomieniach zginęła inwazyjna flota zdążająca z desantami ku brzegom Albionu. Jak było w rzeczywistości, dowie

dzieli się Kaszubi po dwóch dniach, wracając już w rodzinne strony.

W pociągu, między Oldenburgiem a Bremą, Leon zagadał do niemieckiego żołnierza, który bez plecaka i płaszcza stał samotny i osowiały w korytarzu.

— Dokąd jedziesz, Kamer ad?

— Do Szczecina — żołnierz spojrział na Leona i dodał ciszej: — na pogrzeb matki.

Budzisz złożył mu wyrazy współczucia i spytał o przyczynę śmierci.

— Otrzymałem telegram, że zmarła nagle — żołnierz rozejrzał się, czy kto nie podsłuchuje. — Miała chore serce. Usłyszała o nasiej klęsce w Kanale, przestraszyła się, że zginąłem... Niewiele zresztą do tego brakowało. Załadowali nas na wielkie promy. Czekaliśmy na irozkaz. W nocy Anglicy zrobili nalot... Oberwaliśmy mocno po skórze. Dowództwo w obawie, że następnej nocy będzie jeszcze goręcej, wysłało nas o zmroku w morze. Staliśmy bez świateł, gdy wybuchł niespodziewany sztorm.

— Myśmy tłukli się wtedy po Ems — wtrącił Budzisz.

— Tego co było na La Manche nie możecie sobie wyobrazić! — szepnął żołnierz. — Fala

zalewała pokłady, statki szły jeden za drugim na dno. Z nami zderzył się jakiś holownik. Poszliśmy w topiel. Tylko kilku z nas wyratowano z tego piekła. Bez płaszczy, bez plecaków, bez broni...

— Co robić, wojna... — pokiwał głową Budzisz. — Ale po co tyle ofiar? Dużo zginęło?

— Słyszałem, że utonęło od sześćdziesięciu do stu tysięcy ludzi.

— Mogliśmy i my być między nimi — powiedzieli rybacy, kiedy Leon powtórzył im treść rozmowy. — Lach- mund robił, co mógł, żebyśmy zdążyli na swój własny pogrzeb.

“Czarny admirał” wrócił jesienią z nieudanej wyprawy. Przywiózł z sobą do Władysławowa rodzinę, ale zabranej floty nie przyprowadził. Część kutrów odesłała marynarka wojenna dopiero zimą. Resztę zatrzymano na zachodzie i tam je w roku 1946 odnalazła nasza komisja rewindykacyjna.

PAN LACHMUND SIĘ BAWI

Huk samolotów zagłuszał szum fal bijących o falochron władysławowskiego portu. W przystani na wyładunkowych ostrogach rybacy rozciągali łososiowe sieci poplątane ostatniej nocy. Daleko na wzburzonym morzu odbywały się manewry wojennej marynarki. Potężny “Bismarck” strzelał z ciężkich dział* Feszmajster Lachmund pęczniał z dumy i gardłował do Kaszubów, którzy ośmielali się rozmawiać po polsku:

— Krete mamy w rękach, stoimy pod Aleksandrią, wkrótce nasza flota zgruchoce Anglię! Dla was z waszą dorszową mową na ziemi miejsca nie będzie, chyba tyle co w Stutthofie. Jedyne Niemcy będą mogli na tym wybrzeżu uprawiać połowy. Zwycięstwo nastąpi jeszcze tego roku, wasza rola się skończy. Narodowy socjalizm...

Za jego plecami znów dwóch rybaków zaczęło się mu na złość głośno klócić po polsku.

— Stille! Cisza! — pogroził im pięścią i oparł dłoń

o pistolet w kaburze.

Ucichli, zaraz wszakże wybuchł wrzask na drugiej ostrodze.

— Ja was wykończę!

— Szkoda pańskich słów — odezwał się stary Konka. — Oni doch nie rozumieją po niemiecku.

— Muszą się nauczyć.

— Kiedy? Wciąż siedzą na morzu, a tam czasu mało na naukę. Dziś po nocnym sztormie wszystkie sieci nam skreśliło, łatwo tedy o kłótnie, osobliwie między młodymi.

Niemiec spojrział na Klemensa.

— Kazano mi wyrugować w ciągu roku z waszego portu polską mowę. Kto się nie nauczy po niemiecku, będzie zlikwidowany.

— Zlikwidujecie nas, skończą się łososiowe połowy. Lubicie łososie?

Niemiec nic nie odpowiedział.

Konka, który w okresie między wojnami sprawował urząd burmistrza Helu, skąd został w 1939 roku wydany przez okupantów, uśmiechnął się przemyślnie:

— Chodźcie na mój kuter. Chłodno. Rozgrzejemy się trochę.

Weszli do mrocznego kubryka. Siedli na ławkach. Klemens sięgnął pod stół do schowka.

— Co to? — zaiskrzyły się Lachmundowi oczy.

— Niespodzianka, panie feszmajster. — Kaszuba wyciągnął butelkę koniaku.

Hitlerowcowi rozpogodziło się oblicze.

— Udał się wam dzisiejszy połów, Herr Klemens?

— Kopę odstawiłem do centrali, prócz tego waszego.

— Sporo złowiliście.

— Inni mieli po sto. Żeby nie ten wiatr, złapaliby ze trzy razy tyle. Takich połowów łososia jak w tym roku nie było już chyba z pięćdziesiąt lat. Chceme le so we- pić? — rybak wypełnił filiżanki, kieliszków na kutrze nie było, mocnym trunkiem.

— Prosit! — Lachmund wypił pół filiżanki i zaczął się żalić. — Rok <już tutaj działałam, a moja praca nie posunęła się. Fischereirat jest ze mnie niezadowolony. Jeśli nie dam tu sobie wkrótce rady, drogo zapłacę. Mogą mnie zaciągnąć do wojska. Ale wam to nic nie pomoże! Już my wam pokazemy!

Klemens nalał mu koniaku. Znał Niemców od dawna. Wiedział, czego się po nich spodziewać. W 1939 roku aresztowało go gestapo za to, że w Helu przed wojną wygłaszał antyhitlerowskie przemówienia. Wybawiła go wtedy od śmierci dwudziestoletnia Niemka, Irma, córka helskiego wędzarnika, Bernarda Konkiego, przychylnego Kaszubom, jako że sam nosił kaszubskie nazwisko. W urodziwej wędzarnicze zakochał się niemiecki komendant placu w Helu i na jej prośbę zwolnił polskiego burmistrza z aresztu.

— Wypijemy? — podniósł filiżankę.

Lachmuodowi nie trzeba było tego dwa razy powta-

zwać. Łyknął tęgo, zakrzuszył się i rzekł z wysiłkiem:

— Muszę iść. Kuter się trochę chwieje. Tego nie mogę znieść.

Klemens wsunął feszmajstrowi nie dopitą butelkę do kieszeni, pomógł mu wygramolić się z kubryka, obdarzył go na drogę błyszczącym łososiem. Urzędnik potoczył się do kapitanatu. Ucichły w porcie gwary rybaków. Józef Myślisz podszedł do Konki:

— Nenka mojej nenki powiadała mi, że kiedyś nocą wóz zaprzęgnięty w dwa konie przejeżdżał przez Darżlub- ską Puszcę i obkoczyły go wilki. Furman odprzągnął im jednego konia, a drugiego popędził w dalszą drogę. Niedaleko ujechał. Głodne bestie zżarły szkapę, dognały uciekiniera. Tedy zostawił im drugiego konia i sam w nogi. Nim wydostał się z boru, doścignęły go po raz trzeci. Wszedł więc na drzewo, siadł na konarze, czeka. Rankiem przyszli drwale i parobka wyzwolili. Tak i ty, Klemensie, dziś postąpiłeś. Dałeś Lachmundowi wódkę, łososia. Przestał ryczeć, ale skoro zdobycz zeżre, zaraz wróci do portu i zacznie nam dogryzać.

— Na kilka dni mamy spokój — odparł burmistrz. — Potem ułagodzimy wilka nową porcją szmapsa i ryby. Łososie, Bogu dzięki, są.

— Jak ich nie będzie, damy drapaka do darżlubskich borów, ale zamiast jak ów parobek wejść na drzewo, skryjemy się w bunkry.

— Tak czy owak doczekamy wolności, a ich diabli wezmą. Grunt nie tracić nadziei!

Ławica łososia usadowiła się na dobre przy rozewskim brzegu. Wiatr ustał. Hitlerowcy, chcąc zapchać gęby głodnych mieszczan smaczną rybą, opublikowali artykuł w “Danziger Vorposten” donoszący, że wszyscy rybacy, którzy przed wojną uprawiali połowy, mogą być zwolnieni z jenieckich obozów, trzeba tylko, aby ich rodziny wystosowały do władz odpowiednie podania.

Wszyscy? Do szczęśliwców, którym pozwolono wrócić do domów, z pewnością nie należał Wiktor Herman z Boru, działacz głośny na całe wybrzeże, prezes Związku

Zachodniego w Jastarni-Borze[^] Wojna zastała go w rodzinnej wsi w dniu kapitulacji półwyspu. Herman, aby ujść gestapo, przebrał się w mundur polskiego marynarza i trafił wraz z wojskiem do stalagu, skąd ukradkiem pisywał do żony listy, narzekając że chyba przyjdzie mu zginąć z głodu.

— Jak mu pomóc? — pytała Hermanowa jastarnika Ambrożego Konkola. — Bez poparcia Lachmunda nie puszczą mego chłopca z drutów. Pójdę z prośbą do fesz- majstra, to pośle go na śmierć do Stutthofu i zostanę wdową.

— Wymyślę coś — przyrzekł Ambroży, człek bardzo obrotny, który przed wojną piastował aż siedem społecznych funkcji, a podczas okupacji zarządzał odstawami połowów do rybnej centrali i bardzo umiejętnie załatwiał rybakom trudne sprawy w niemieckich urzędach. — Napisz prośbę, a ja ci zdobędę pieczętkę feszmajstra.

Prosto od Wiiktorowej poszedł do przedwojennego pensjonatu Bizeiwskiej, siostry Hermana.

— Uszykuj “balówkę” — powiedział. — Musimy twego brata wydostać ze stalagu, bo tam piekło. Zaproszę Lachmunda do Jastarni. Powiem mu, żeby przyjechał z pieczątką, bo wielu rybaków złożyło u mnie wnioski na zakup sieci w Gdańsku. Upijemy kwekra, podsunie mu podanie twojej bratowej. Po pijanemu przybije stempel.

— Czy to się uda? — powątpiewała rybaczka.

— Musi się udać! Feszmajster, choć ma białkę i ośmiu synów, wiedno się ogląda za młodymi dziewczętami. Masz dwie piękne córki?

— Jo!

— Ubierz je w balowe sukienki, postaw na stół kieliszki, butelkę z wódką. Resztę sam załatwię.

— W jaki sposób?

— Przyniosę okazałego łososa, położę go w sionce. Tą rybą można każdego hitlerowca zwabić choćby do piekła.

Pierwszego czerwca, gdy pogodnym niebem sunęły na wschód chmary hitlerowskich samolotów, Ambroży przyłożył dłoń do oczu, by spojrzeć pod ostre słońce. Szarańcza ciągnęła nad mierzeją, nad cichym morzem.

— Ten purtk Hitler chce chyba napaść na Ruskich. — Otarł pot z czoła, poszedł na pocztę i połączył się telefonicznie z Lachmundem.

— Gut — zgodził się hitlerowiec. — Przyjadę sprawdzić, czy rybakom naprawdę potrzeba sieci!

— Pułapka na szczura gotowa? — zapytał Konkol wkrótce potem wchodząc do czerwonego domu Bizewskich. — Będziecie mieli dziś gościa :z władysławowskiego kapitanatu.

Pod wieczór Konkol, gdy na nabrzeżu jastarnickiego portu kierował odbiorem ryb, usłyszał przeraźliwy gwizd lokomotywy. Pociąg powoli, jak zmęczony smok, wtaczał się na dworzec rybackiej osady. Trzeba było się spieszyć.

— Uda się — nie uda, uda się — nie uda... — wróżył sobie Konkol licząc mijane gdynianki i wejherowianki, które przyjechały z torbami prosić rodaków o ryby.

Wyszło, że się uda. Ostrzegł kobiety, aby miały się na baczności przed feszmajstrem. W długim korytarzu domostwa Bizewskich położył łososa na białej desce i zawrócił w/ ulicę Portową. Wśród wychodzących pasażerów zobaczył Lachmunda w czarnym mundurze.

— Jest ten grom — mruknął. Poprawił czapkę i ruszył naprzeciw.

Nie chciał, żeby esesman spotkał jastarników, którzy zawsze na jego widok wyzywająco rozmawiali po polsku. Mogli rozwścieczyć hitlerowca, nieświadomie zaszkodzić Hermanowej sprawie.

— Co nowego? — zagadnął go Niemiec.

— Wszystko w porządku — za raportował Ambroży. — Część kutrów wysłałem z rybą do Gdańska. Wszystkiego nie byłem w stanie tu wyładować.

— Nastąpiła u was wyraźna poprawa. Przeciek chyba ustał? Nie spotkałem ani jednego Kolaka z workiem ryb na plecach, ani kobiety z karznią czy torbą.

— Ludzie po miastach głodują.

— I ja głodny jestem jak wilk. Dokąd idziemy?

— Wstąpimy na chwilę do Bizewskiego. Kazałem u niego zebrać się rybakom, którzy mają do was sprawy. Potem pójdziemy do mnie coś zjeść i gardło popłukać. Zgoda?

— Gut, gut — zgodził się skwapliwie hitlerowiec. Kiszki mu skrzeczały jak armaty potężnego “Bismarcka”, mlasnął więc językiem zobaczywszy łososia srebrzącego się w sieni Bizewskich. — Piękna sztuka!

Jastarnik przekręcił kontakt. Zabłyśła żarówka pod sufitem.

— Rybacy przynieśli dla was ten prezent.

— A ja podaruję go gauleiterowi Forsterowi — postanowił feshmajster i pewny, że dzięki tej łapówce uchroni się od wysyłki na front, pogładził ftihrerowski wąsik. — Dogodziliście mi tym podarkiem.

— Taki u nas zwyczaj. Co cesarskiego cesarzowi...

— Piękny zwyczaj, Herr Konkol.

— Sięga on przez czasy Bismarcka aż do lat panowania starego Fryca — zapewnił wesoło Ambroży:

— Bismarck! — wyprężył się Lachmund. — Słyszeliście, że pancernik tego imienia kilka dni temu zatopił największy okręt wojenny z brytyjskiej Home Fleet? Trafiła mu się gratka. Ale i ja nie na darmo dziś przyjechałem do Jastarni.

— Będzie jeszcze coś więcej. — Ambroży otworzył białe drzwi w bocznej ścianie. — Proszę do środka.

Hitlerowiec przestąpił próg. Zobaczył stół zastawiony smacznymi potrawami, między którymi nie brakło wędzonego łososia, i kilkoma gatunkami wódki. Obok stała w zgrabnej sukience córka Bizewskich, Zofia, licząca niespełna dwadzieścia lat. Dziewczyna zamrugła niebieskimi oczami, zarumieniła się i zbladła. Ambroży, bojąc się że ucieknie, przedstawił jej Herr Fischmeistera z Wielkiej Wsi, a Niemcowi oznajmił:

— Ta piękna panna obchodzi dzisiaj swoje urodziny.

Feszmajster powinszował jastamiaince urodzin obsypując

ją niemieckimi komplementami:

— Tak jasnej blondynki jeszcze na Kaszubach nie widziałem, z pewnością musi płynąć w was czysta, germańska krew naszej zwycięskiej rasy!

Bizewska spuściła powieki, przygryzła ząbkami dolną wargę. Ambroży więc szybko podał Lachmundowi szklankę mocnej wódki. Sam też chwycił kieliszek.

— Zdrowie solenizantki! — Esesman wychylił swój “part” jednym haustem.

— Na jednej nodze stoi się źle — Konkol z miejsca ponownie napełnił kielichy.

— Nie pozwolę skrzywdzić naszej gospodyni — oponował feszmajster. — Musi wypić z nami!

— Tylko małego — zgodziła się.

Wypili drugą kolejkę. Ambroży nie tracąc chwili nalał trzecią. Lachmud, zachwycony młodą Kaszubką, nie zauważył, że rybak ani tknął ostatniej szklanki.

— Niemieckie przysłowie, znane aż po krańce świata, mówi, że wszystkie dobre rzeczy są trzy — Konkol wznosił kolejny toast.

Pijakowi wirował już w oczach stół, Ambroży, Zośka. Głodny był, więc upił się szybciej niż zwykle.

— Skoro mamy tak dostojnego gościa w domu, nie będziemy czekać na resztę gości — Bizewska z starszą córką, Karolową Lizakowską, weszła do izby i poprosiła wszystkich do stołu.

Obok Lachmunda posadziła Zosię. Naprzeciw siadł Ambroży i Lizakowska.

— Smacznego! — dziewczyna kładła kawały wędzonego łososia na talerz Niemcowi, a on pchał je widelcem niezgrabnie do ust i połykał jak zgłodniały bocian żaby.

— Tedy króla ryb trzeba należycie popłukać — Ambroży napełnił kieliszki koniakiem.

Bizewska popatrzała na zegar.

— Muszę na chwileczkę wyjść — wstała z krzesła. — Czas szykować nowe potrawy. Goście zaraz chyba nadejdą.

Ledwie wyszła, Lachmundowi wypadł z dłoni widelec. Jak wilk jagniątko chwycił Zosię za białe ramiona.

— Herr Lachmund, jeszcze jednego wypijemy — Kaszuba natychmiast pospieszył na odsiecz zaatakowanej dziewczynie.

Opój puścił ją, by porwać kieliszek. Alkohol zabułgotał mu w żołądku, jakby łoś w nim odżył i pluskał się w wódczanej kąpieli. Kweker kiwnął się raz, drugi, trzeci. Wyciągnął ramiona. Panna się uchyliła, a zalotnik przewrócił się na podłogę. Konkol przyskoczył, by pomóc mu się dźwignąć i sięgnął do jego kieszeni. Równocześnie Bizewska chwyciła Niemca pod ramiona. Po długim szamotaniu zdołali usadowić Lachmunda na krześle. Karolowa podała mu szklankę mocnej na wzmocnienie.

— Jeszcze ni... ni... nigdy nie... nie... odtrąciłem kieliszka podanego przez da... damę — jękał opróżniając szkło. — Denn wir fahren... — usiłował jeszcze śpiewać, ale wkrótce runął jak długi pod stół.

Tym razem już go nie podnoszono.

— Udało się — rybak skinął na kobiety i cicho wyszli z pokoju. — Mam pieczętkę! ^

Lizakowska poszła po męża. Przyprowadziła go do teściów.

— Żeby to Stahlenberg zobaczył, jak pan Lachmund się bawi... — przez jakiś czas żartowali z dygnitarza.

Dopiero gdy się przekonali, że pijany szybko się nie przebudzi, przenieśli go na tapczan. Potem, w checzy Karola, Ambroży opieczętował, a Lizakowski podpisywał za Lachmunda prośbę Hermanowej i wiele innych zaświadczeń dla rybaków...

Późnym wieczorem Konkol wsunął Lachmundowi do kieszeni pieczętkę, a przy głowie położył przywieziony dziś z Gdańska egzemplarz "Danziger Vorposten", który maleńkim drukiem donosił o zatonięciu "Bismarcka" i śmierci przeszło dwu tysięcy marynarzy z jego załogi. Gospodyni sprzątnęła stół, ale za radą jastarnika pozostawiła odkorkoiwaną butelkę koniaku.

— Skoro się nasz chory przebudzi, będzie miał lek pod ręką — śmiał się Ambroży. — On jak się raz zapije, to pije kilka dni. Jutro na drogę damy mu drugą butlę. Nim otrzeźwieje, znów nam tydzień minie szczęśliwie.

Była już północ. Konkol zapakował łośosia i poszedł spać. Zajrzawszy nazajutrz do Bizewskich, zastał Lachmunda przy nie tkniętej butelce.

— Czy to możliwe? — feszmajster pochylał się nad gazetą. — Thommies zatopili naszego "Bismarcka"? Niesłychane! Co na to powiecie?

— "Danziger Vorposten"⁹⁹ nigdy nie kłamie, ale tym Niemiec nie zastraszą — odrzekł rybak napełniając kieliszki. — Byłem marynarzem przez całą wojnę światową. Wtedy, pamiętam, też ponosiliśmy straty. Poszły na dno pancerniki "York", "Blücher", wspaniała kolos "Liitzow". Straciliśmy go w bitwie jutlandzkiej. Brałem w niej udział. Naszej floty mimo ciężkich zadanych jej ran nie zwyciężono. I tym razem nie ma się o co kłopotać. Führer każe zbudować całą eskadrę "Bismarcków" i strzaska Wielką Brytanię na miazgę!

— Niech Bóg skarże Anglię — hitlerowiec otrząsnął się ze zmartwienia, wypił kielich do dna i zapytał: — Gdzie się podziała ta piękna blondynka! Chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć.

— Siedziała przy was na tapczanie całą noc, ale rano musiała wyjechać do Berlina. Będzie uczyć się w stolicy niemieckiego języka.

— Szkoda!

— Co piękne zawsze szybko znika.

— Dobrze zrobiła, że pojechała do Berlina. Tu w Jastarni, gdzie słyhać tylko tę przekłętą dorszową mowę, nigdy by się nie nauczyła poprawnej niemieczyny! — ziewnął urzędnik.

— Żeby ci pysk wykrzywiło — zaklął cicho Konkol sięgając po flaszę.

Wypili na powodzenie wojennej floty. Potem rybak przyniósł pakunek z łososiem.

— Za piętnaście minut odchodzi pociąg do Wielkiej Wsi — przypomniał.

— Pojadę nim — ziewnął Lachmund szerzej niż poprzednim razem.

Ambroży wolałby widzieć w Jastarni samego lucypera niż tego czarnego purtka, skwapliwie więc odniósł mu paczkę na dworzec i wepchnął go do wagonu. W chwilę później maszerował już zadowolony na przystań, a nad nim warczały eskadry bojowych samolotów lecąc ku wschodowi.

Za tydzień Wiktor Herman wrócił z obozu. Nie zjawił się jednak w Jastarni. Zatrzymał się w Gdyni, poza zasięgiem urzędu pana Lachmunda. Rybaczył na kutrze Anastazego Konkola i czekał cierpliwie dnia, w którym będzie mógł bezpiecznie znów osiąść na rodzinnym Międzymorzu.

— Nie wiem, w co będę ubierać dzieci — zaliła mi się żona pod koniec października 1941 roku. — Zima za pasem, a tu ani bielizny, ani ciepłej odzieży. Wydarło się to, co zostało z polskich czasów, a Niemcy źli, żeśmy odrzucili eingedeutschowską grupę, nie dają nam punktów odzieżowych.

— Wytrzymamy jakoś... — pocieszałem, przypominając sobie jak odważnie powiedziała hitlerowcom na wstępnym badaniu w Strzelnie, że jest Polką, z dziećmi mówi tylko po polsku i nie nadaje się na kandydatkę do volkslisty.

Ja nie mogłem tak śmiało gadać z Chłapowskim blockle- terem. Byłem w zarządzie helskiego Związku Zachodniego, odznaczono mnie Krzyżem Zasługi, pisywałem anty- niemieckie artykuły umieszczane w broszurkach krążących dotąd między Kaszubami. Wiedziałem, że ziomkowie mnie nie zdradzą, ale przecież już w 1939 roku, kiedy walczyłem w polskim wojsku, szukało mnie gestapo. Musiałem więc postępować ostrożnie, -by nie znaleźć się w Stutthofie.

Zastawiłem w tym czasie takie n_a łososie. Miałem nadzieję, że jeśli uda mi się złowić choć jedną z tych królewskich ryb, dam ją uwędzić Janowi Jece i pojadę z nią do Gdańską po zakupy. Łosoś pod pachą więcej tam znaczył niż punkty w kieszeni.

Mroźny wiatr ze wschodu przynosił złe wiadomości. Niemcy dotarli do Leningradu i Rostowa, okrążyli Moskwę. Angielskie radio, którego potajemnie słuchałem, potwierdzało te nowiny. Płynąc z Józefem Boldą wzdłuż

pływaków zastawionych sieci przekonywałem go, że Hitlera spotka los Napoleona, a jego armia wróci z Rosji bez uszu i nosów.

— Są! — Józef pochylił się, zdjął z haczyków dwa tęgie łososie i pokręcał głową. — Październik, a już gryzą przynętę! Co dopiero będzie, kiedy nadejdzie prawdziwy sezon!

— Tęgi mróz spycha je z północy pod nasze wybrzeże — odpowiedziałem. — Żeby tylko lód nie ściał Bałtyku, skończyłyby się obfite połowy.

— Wolę ciężką zimę niżli łososiową ławicę — zapewnił Józef. — Niech niemieckie komtury wymarzną pod Moskwą. Niech wyginą z chłodu i głodu. Tych łososi chyba nie oddamy do centrali? Sami się nimi podzielimy!

— Chciałem zawieźć je do Gdańska — powiedziałem — aby przywieźć dzieciom trochę odzieży.

— Dobra myśl. Moja białka też narzeka, że jesteśmy wydarci z bielizny. Przyślę ją do ciebie, powie ci co jej potrzeba. Wiem, że z pustymi rękami nie wrócisz.

W parę dni później poleciłem żonie zapakować całego łososia do walizki, sam zaś włożyłem kawałek drugiego do podróźnej torby.

— Staniesz, Agnieszka, po ciemku przed dworcem tak, żeby cię żandarm Licht nie zauważył — układałem plan strategiczny. — Będzie jak zwykle kontrolował pakunki. Ja z teką i z drugim pustym kuferek wejść kupić bilet. Zobaczysz, jak wyprowadzę kwekra w pole.

Na dworze panował jeszcze mrok, kiedy wyszliśmy z domu. Telegraficzne słupy jęczały zwiastując rychłą i surową zimę. Kolejowa stacja we Władysławowie była słaba oświetlona i jak na razie świeciła przede wszystkim pustką. Walizę postawiłem koło drzwi, położyłem na niej tekę, podszedłem do okienka kasy i wtedy usłyszałem za sobą ciche kroki. Domyśliłem się, że to Licht, ukryty gdzieś w ciemnym kącie zauważył mój bagaż. Słyszałem, jak poruszył kufrem i grzebał w torbie. Gdy odwróciłem się od kasy, żandarm sztywnym krokiem odchodził już w swój kąt, lecz skoro podniosłem tekę, zawrócił nagle.

— Co wieciecie? — zapytał ostro.

— Kawał pięknego łososia — uśmiechnąłem się niewinnie.

— Lubię choć czasem usłyszeć prawdę.

— Nie mam powodu, żeby pana wachmistrza okłamywać. Sprawa jest taka: wkrótce będzie rocznica mego ślubu. Uwędziłem sobie na nią ten przysmak. Dziś musiałem wyjechać z żoną z domu. Mam rój dzieci. Połakomiłyby się, zjadłyby ciężkostrawne mięso i pochorowały. Wolę więc zabrać łososia w drogę. Wieczorem wrócę z nim i nic się złego nie stanie.

— Mam w to wierzyć?

— Jeśli Herr Wachtmeister wątpi w moje słowa, gotów jestem dać go panu na przechowanie. W sobotę odbiorę.

— Tak będzie lepiej i dla was, i dla mnie — ucieszył się policjant. — Gdyby znaleziono u was tę rybę podczas rewizji w pociągu, miałbym duże nieprzyjemności.

Wręczyłem mu paczuszkę. Obejrzał się na wszystkie strony i wsunął ją do swojej teczki.

— Po co jedziecie. do Gdańska? — zagadnął jeszcze.

— Po sieci i przędzę.

— W porządku.

Odszedł, bo na dworzec zaczęli się schodzić pasażerowie. Zbliżała się szósta. O tej godzinie odchodził stąd pociąg Hel — Reda. Wyszedłem, by zamienić z żoną walizkę. Nim weszliśmy do wagonu, Licht podbiegł do Agnieszki i zniemacka wyrwał jej walizkę.

— Pusta — rozczarował się.

Gwizdnęła lokomotywa, zaturkotały koła.

— Udało się — szepnąłem do żony sadowiąc się w rogu przedziału. — Choć wrócimy obładowani, już do nas nie podejdzie. Kupię trochę sieci, zobaczy je z daleka i będzie pewny, że nic prócz rybackiego sprzętu nie wieziemy.

— Żeby tylko wszystko poszło tak gładko, jak myślisz — zatroskała się Agnieszka. — Julianna Jeka z Chłapowa chciała go przekupić funtem masła. Podał ją do sądu i biedna białka będzie pół roku siedzieć.

Podeszły do nas znajome z Wielkiej Wsi: Apolonia Gojka i Maria Licówna. Rozmawiając o wspólnych troskach wjechaliśmy kilka minut po ósmej na gdański dworzec.

— Mamy jeszcze czas — spojrzałem na zegar wiszący pod dachem peronu. — “Interesy” otwierają dopiero

o dziewiątej. Wstąpimy do poczekalni na herbatę.

5 — Łosoś wszechwładny

Siedliśmy przy stole. Z głośnika buchnęły fanfary, potem usłyszeliśmy głos Hitlera.

— Za parę dni świat przeżyje cud — wrzeszczał Adolf, jakby darto zeń skórę. — Położymy rosyjskiego kolosa, tak że się już nigdy nie podniesie!

— Cud może się stać, bo wieje ost i niesie tęgą zimę — odetchnąłem z ulgą. — W najbliższych dniach lód ze śniegiem skuje Wschodnią Europę. Hitlerowcy pod Moskwą zeszywnieją jak dorsze wyciągnięte podczas mrozu na pokład kutra. Iwan ma już zwycięstwo w kieszeni.

Wypiliśmy cieką herbatkę i krótko po ǳiewiątej stanęliśmy na Długiej przed towarowym domem Grudmanna, który zagrabił go Żydowi Sternfeldowi. Przed wejściem wyjąłem z walizy “przynętę”. Na piętrze kobiety podeszły do lady, gdzie ekspedientki powiedziały im zaraz, że dla Kaszubów nic nie ma, a ja stanąłem skromnie z paczką pod filarem.

— Was wünschen sie? Co sobie życzycie? — przystąpił do mnie łysy szef oddziału.

— Przyjechałem z żoną, żeby kupić trochę odzieży dla dzieci.

— A punkty macie?

— Mam króla morza — poklepałem paczkę.

— Gdzie pańska małżonka?

— O, tam stoi z tymi dwiema pannami.

Podszedł do lady i zawołał jedną z ekspedientek.

Wysoka brunetka przybiegła do zwierzchnika. Szepnął

jej coś na ucho. Skinęła głową i porozumiawszy się ze starszą koleżanką zaczęła poufnie rozmawiać z moją żoną.

Niebawem Agnieszka wiedziała już o niej wszystko. Jej narzeczony, Polak z Tczewa, siedział w jenieckim obozie w pomorskim Stargardzie. Chętnie wysłałaby mu paczkę z łososiem.

— Ciężkie czasy — westchnęła.

— Ludzie muszą sobie pomagać — odparła moja żona. — Mam sześcioro dzieci i muszę je ciepło ubrać, a wczoraj przyszły do mnie z Leśniewa białoruskie robotnice zza Mińska, żeby się im postarać o bieliznę dla niemowląt. Jedna z nich ma rodzić i martwi się, skąd weźmie pieluszki, koszulki... Dałoby się coś zrobić za łososia?

— Oczywiście.

Tymczasem ja ugadywałem sprawę z Niemcem, który szczegółowo tłumaczył, gdzie mieszka. Gdybym jeszcze kiedy przyjechał z łososiem do Gdańska, miałem iść do niego prosto do domu. Gdy mi już dobrze wszystko wytłumaczył, pewny, że nie słyszał dzisiejszego “Sonder-berichtu”, zapytałem jakby nigdy nic:

— Chodzą i u was w Gdańsku pogłoski, że za kilka dni stanie się cud?

— Cud? — zdziwił się. — Jaki cud?

— Kilka dni temu i ja się nad tym głowiłem, lecz dziś już wyraźnie widać, czego się spodziewać. Niemcy prują na Moskwę, aż lód pryska, a to oznacza zwycięski koniec wojny! Więszego cudu nie można sobie życzyć!

Niemiec z radością poczęstował mnie cygarem, pstryknął zapalniczką, usłużnie podał ogień. Jednocześnie wybuchnęła awantura. Jakiś z hakenkrojcem, hitlerowską oznaką, w klapie palta kłócił się z ekspedientką, że odcięła mu mniej materiału, niż dał jej punktów.

— Chodźmy do piwnicy — szepnął mi szef. — Wybiorę wam kupony.

Skoro tylko zeszliśmy do magazynu, dałem mu łososia.

— Te dwie znajome, co z nami przyszły, nie mają zimowych płaszczy. Synom też muszę dać uszyć nowe ubrania... — zacząłem.

— Jeśli się wasz zapowiedziany cud spełni, dam wam granatowego kamgarnu na dwa garnitury.

— Będą wyglądać jak grafy! — pyknąłem modrym dymem cygara.

— Jesteście pewni wygranej?

— Jasne!

— Po towar zajdźcie około szóstej wieczór do mnie. Pamiętajcie, gdzie to jest?

— Obok automatu. Chodzę tam zwykle na Eintopf!

Wypuścił mnie bocznymi drzwiami na Tkacką. Za narożnikiem, na Długiej, spotkałem żonę i obie wielżonki

— Niepotrzebnie dałeś paczkę temu purtkowi — powiedziała. — Bardziej się należała mojej nowej znajomej. W niedzielę przed południem zawieszysz jej resztę drugiego łososia... Życzliwa, porządna kobieta. Nie taka jak twój łysy kweker.

— Nie narzekaj na niego — odparłem. — Zobaczysz, co wyciągnę od tego głupca, nim oprzytomnieje. Hitler robi cuda, to i mnie wolno.

Obiad zjedliśmy w automacie i zanieśliśmy pełne walizy do dworcowej przechowalni. Potem kupiłem u Arendta trochę sieci, by zmylić wachmistrza Lichta, a wieczorem zapukałem do drzwi, na których widniała mosiężna tabliczka: "Kurt Woli".

— O, jak się cieszę, że was widzę — łysy powitał mnie w drzwiach. — Wasze słowa się spełniły! Sam fiih- rer powiedział, że za kilka dni stanie się cud. Słyszałem to przed chwilą w dzienniku radiowym!

Otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Erne — krzyknął — chodź na chwileczkę!

Zaraz zjawiała się w progu starszawa już mieszcanka z chudą twarzą i spiczastym nosem. Na jej głowie trząsał się staromodny kok.

— Patrz, Erne, to jest właśnie ten człowiek, który przepowiedział cud. ■

— Wrócimy nareszcie w nasze strony — złożyła ręce gospodyni.

— To państwo nietutejsi? — zapytałem.

— Krótco przed wojną przeniesiono mnie z Kassel do politycznej roboty w Wolnym Mieście — wyznał Kurt.

— A więc wasza misja wnet się skończy. Po cudzie pod Moskwą nastąpi tysiącletni pokój i każdy będzie mógł osiąść tam, gdzie mu się podoba!

— Zamieszkamy nad Renem, pochodzę bowiem z Nadrenii — Frau Erne nie posiadała się z radości. — Zrobię kawkę. Napijemy się po filiżance. Tyleśmy się dowiedzieli od was pomyslnych nowin. Może jeszcze co nam powiecie?

— Chyba innym razem, dziś spiesz mi się na pociąg — przeprosiłem panią domu.

Gospodarz zrozumiał przymówkę i przyniósł, ile tylko mógł udźwignąć bel materiału.

— Dam wam i te przyrzczone kupony kamgarnu — sapał. — Skoro sam fiihrer potwierdził wasze słowa, uważam, że się wam to słusznie należy.

Wolfowa dodała jeszcze jeden kupon na płaszcz dla « mej żony. Zapłaciłem, ile żądano, spakowałem zakupy i żegnany uprzejmie opuściłem wilczą norę.

Na Długiej błękitniały zaciemnione latarnie. Po szynach skrzypiał czerwony tramwaj. Skręciłem w Tkacką, potem w Garncarską.

— Wyrwałem wilkom łup z paszczek — uśmiechnąłem się do Agnieszki, która zaniepokojona moją długą nieobecnością czekała na mnie przed dworcem.

W rękach trzymała białą sieć od Arendta.

— Bałam się już, że cię zamknęli — powitała mnie cicho. — Kupiłam bilet, rzeczy nadałam na bagaż. Tylko jadro zatrzymałam. No i ta twoja waliza...

— Wezmę ją do przedziału — postanowiłem i weszliśmy na peron.

Pociąg stał gotów do odjazdu. Ruszył, ledwie usiedliśmy.

Rozliczając się w wagonie z wielżonkami rozmawialiśmy głośno po polsku. Gdy pociąg przy wjeździe na stację we Wrzeszczu zmniejszył bieg, jakiś pasażer koło czterdziestki zerwał się z ławki.

— Tu nie wolno rozmawiać po polsku! Verstanden? Zrozumiano?

— Moje rozmówczynie nie znają niemieckiego języka — poinformowałem go grzecznie.

— Einsteigen! Wsiadać! — krzyknął w tej chwili konduktor na peronie i szowinista musiał wyskoczyć z przedziału.

— On sobie nas dobrze obejrzał — ■ przestraszyła się moja żona. — Jutro może zgłosić się po ciebie gestapo.

— Nie zna naszego nazwiska, nie wie, skąd jesteśmy — zbagatelizowałem zajście.

Począwszy od Gdyni polszczyzna rozbrzmiewała głośno w wagonie. Poczuliśmy się swobodnie. Agnieszka zaczęła mi opowiadać o niewolnicach z Białorusi, przymierających głodem na leśniewskim folwarku.

— Były u nas i przyrzekłam im pomoc... Mówią po białorusku, ale łatwo się z nimi porozumieć. Cierpią wielką biedę. Strach słuchać, co opowiadają o swym życiu.

— Kto je do nas przysłał? — zaciekawilem się.

— Myślę, że wdowa po Janie Kołędzie, tym co to zmarł przed kilkoma dniami.

— Szkoda go, bo dobry był z niego Polak i człowiek.

— Jego żona też dobra kobieta. Sama w biedzie, a o innych się troska.

— To cała pocięcha, że są jeszcze dobrzy ludzie na świecie prócz takich pyszałków jak ten, co wysiadł we Wrzeszczu. Ale wkrótce tym nadętym komturom zrzędzą miny i zbledną czerwone pyski. Patrz, jakie paprocie rzuca mróz na szyby...

W kilka dni później, gdy szedłem po śniegu z Boldą do portu, dogonił nas Ludwik Jętka z Chłapowa, który lubił siadać na dwóch stołkach.

— Czytaliście “Danziger Vorposten”? — zagadnął.

— Tyle tylko wiem, że Niemcy “planowo” ewakuowali Rostów — mrugnął Józef.

— Tego “Vorposten” nie podawał.

— A co pisał?

— Że bezczelni Polacy wciąż gadają w niemieckich pociągach po polsku.

— A ty dobrze umiesz, Ludwik, mówić i czytać po niemiecku?

— Pytasz, jakbyś nie wiedział.

— Ale niemieckich gazet czytać nie potrafisz.

— Jak to nie potrafie?

— No to powiedz, co się dzieje pod Moskwą.

— Nic specjalnego. Piszą, że sytuację na froncie dyktuje pogoda.

— I podyktowała Hitlerowi rozkaz: “W nogi”! Zaczyna się odwrót spod Moskwy.

— Czy ja mówię, że Hitler wygra wojnę? — wycofał się Jętko. — Jak się rozjaśni, będę musiał ten “Vorposten” dokładnie przeczytać.

— Już ja ci w głowie rozjaśnie — Bolda zaciągnął Ludwika pod portową latarnię i zaczął mu tłumaczyć dwuznaczny tekst komunikatu wydrukowanego w gdańskim piśmidle. — Zrozumiałeś, kłapa na całym froncie! To jest ten cud zapowiedziany przez führera. Nie takiego się kwekrze spodziewali. Radzę ci więc, nie wstydź się i ty mówić po polsku nawet w pociągu!

Zdziwił się zacny Józef, kiedy potem na kutrze powiedziałem mu, że to ja byłem chyba tym “bezczelnym Polakiem”, który wywołał oburzenie hitlerowskiego redaktorki, gdy zaś usłyszał, jak to nasz łośoś “wypunktował” fanatycznego pana Wolfa z Kassel, uścisnął mi rękę i roześmiał się od ucha do ucha.

DIABEL W PUCKIM ARBEITSAMCIE

Dziś jeszcze przykro wspominać posępną jesień 1942 roku. Radiowe fanfary obwieszczały bez ustanku o zwycięstwach Niemców pod Stalingradem, o milionach ton angielskiej floty słanych na dno przez podwodne okręty Kriegsmarine. Hitler pewny, że zbliża się do ostatecznego zwycięstwa, zaczynał przeprowadzać zapowiedziany Neuordnung — “nowy porządek” świata. Gestapowcy i esesmani, wywożący gospodarzy z Pomorza na tereny Generalnej Guberni lub w głąb Rzeszy, zabrali się również do rybaków. Sądziło się, że ci spełnili już swoją rolę. Wyżywienie narodu niemieckiego zostało zabezpieczone, maszopów można więc skierować do niewolniczej pracy u bauerów.

W tych to dniach Chłapowski rybak łódkowy Teofil Zalewski otrzymał urzędowe pismo z puckiego arbeitsamtu. Miał się stawić natychmiast do roboty u Rautera, Niemca z Besarabii, osadzonego na wywłaszczonym gospodarstwie Kaszuby Jana Lesnaua. Niemiec cieszył się, że przydzielono mu tęgiego parobka, ale Zalewski postanowił się bronić.

— Dokąd jedziesz? — zapytał go szyper Rybakowski spotkawszy olbrzymiego chłapowica na peronie Władysława- wowskiego dworca.

— Do Pucka — Zalewski zaczerwienił się ze złości. — Ten purtk Rauter myśli, że będę mu krowy czyścił. Wczoraj jego córka przyniosła mi nakaz. Diabli z taką robotą! Chcę złożyć odwołanie,

leno czy to co pomoże?

— Kwekrom po ostatnich zwycięstwach wyrosły diabelskie rogi.

— Stanęli podobno nad Wołgą.

— Nie tylko stanęli, ale ugrzęźli, a zima się zbliża. Idzie generał Mróz...

Do rozmawiających podszedł Paweł Styn z paczką pod pachą.

— Mnie zabierają siostrę — powiedział. —■ Potrzebuję jej do robienia sieci. Na szczęście udało mi się właśnie złowić łososia. Pierwszego w tym roku! Uwędziłem go i wiozę na ofiarę dla tego purtka, co siedzi w puckim arbeidsamcie.

— Z nim nie załatwisz sprawy — rzekł Rybakowski. — Ten hitlerowiec gorszy jest od lucypera! Zamierza posłać na ciężkie roboty do Reichu moją sieciarkę, młode, słabe dziewczę. Od roku ją chronię przed tym losem. Wiele można było zrobić, dopóki urzędem pracy kierowała Anna Mas.

— Toć to też Niemka — wtrącił Styn. — Córka puckiego kowala!

— Hitlerowcy zamordowali jej szwagra Polaka, więc ma do nich żal — wyjaśnił Rybakowski. — Załatwiała nam każdą sprawę, zwłaszcza jak jej się podało łososia... Jeśli zastaniesz ją samą w biurze, daj jej swą rybkę, a bez wiedzy kierownika zwolni ci siostrę. Ale w obecności Andreasa nie waz się tego próbować! Kiedy wczoraj szedłem do arbeidsamtu, by załatwić sprawę mojej dziewczyny, widziałem, jak wypchnął za drzwi Jakuba Kosa z Wielkiej Wsi i żonę Józefa Boldy.

— Naszego Szecki?

— Tak.

— Taką staruszkę — oburzył się Paweł. — Sumienia nie ma ten diachel.

— Pewnie! Prosiła, żeby zwolniono jej dzieci od przymusowych robót, a on ją tak pchnął, że padła i zemdląła.

Teofilowi nabrzmiały żyły na czole, zacisnął kościste pięści i huknął prosto z mostu:

— Ja tych gromów nie będę karmić łososiami! Po swojemu załatwię moją sprawę. Niech no mnie czort spróbuje wyrzucić, to może sam znaleźć się w piekle. Wam też radzę nie łososiem, tylko pięścią przemówić diachlowi do rozumu.

— Siostra moja chorowita — tłumaczył Styn. — Muszę ją jakoś ratować. Nie mogę narażać jej ani innych.

— Ja w ogóle nie mam zamiaru tam iść — rzekł Rybakowski. — Jadę do Wejherowa do urzędu wyżywienia. Arbeitsamt mu podlega, może tam coś załatwię.

— Bez łososia żaden kweker pyska nie otworzy — skrzywił się Styn. — Za darmo umarło. Prawa u nich nie znajdziesz! Ani ty, ani Teofil.

— Co będzie, to będzie — rzekł Zalewski.

Nadjechał helski pociąg. Wsiedli do wagonu i ruszyli

w drogę. W Pucku Rybakowski życzył obu żegnającym go znajomym pomyślnego załatwienia sprawy. Sam jechał dalej do Wejherowa. W Wejherowie poszedł prosto do starostwa. Wąsaty woźny powiedział mu, że urząd wyżywienia mieści się w gmachu stojącym naprzeciw. Wszedłszy z bijącym sercem na trzecie piętro tego budynku szyper dowiedzieO: się od kobiety przechodzącej korytarzem, gdzie urzęduje kierownik biura i zapukał do wskazanych drzwi. W pokoju siedział przy biurku chudy urzędnik w ciemnym ubraniu. Twarz miał pocziwą, był porządnie ogolony, siwe włosy dodawały mu powagi.

— Guten Tag — odpowiedział uprzejmie na pozdrowienie rybaka.

— Mam pomocnicę do naprawy sieci — przedstawiał Rybakowski swoją sprawę. — Zameldowałem ją prawidłowo w urzędzie pracy, połowy są obfite... — szyper wyjął kwit z rybnej centrali i podał go Niemcowi.

— Osiemset kilo łososia w jeden dzień — przeczytał urzędnik, — Wspaniały połów.

— Pochodzi pan chyba z rybackiej rodziny, że się tak dobrze na tym zna?

— Pracowałem przez kilka lat w rybackim urzędzie. Żałuję, że tam nie pozostałem. Nie brakłoby mi ryb na stole, a tu muszę głodować...

— Przy korzystnej pogodzie może wam i tutaj bałtycki łosoś aż pod urząd podejść — uśmiechnął się szyper.

— Jak to rozumiecie?

— Zwyczajnie. Wieje norda. Poziom wody w ujściach rzek się podnosi, łososie ciągną w górę Redy, może tedy jeden z nich zabłądzić nią do strumyka Cedronu i podplynąć aż pod sam ten gmach.

— Uważacie, że to możliwe?

— Oczywiście. Może pan wierzyć słowu łososiowego rybaka, że nic temu na przeszkodzie nie stoi.

Ucieszył się Niemiec. Przejrzał pobieżnie zaświadczenie arbeitsamtu o zameldowaniu sieciarki w Chłapowie, przekręcił kilka razy tarczę telefonu, przyłożył słuchawkę do ucha.

— Jakim prawem zabieracie szyprowi Rybakowskiemu jego pomocnicę?! — krzyknął do słuchawki. — Prawidłowo ją u was zameldował? Prawidłowo! Należy mu się pomoc? Należy! Przedłożył mi kwit świadczący, że jego kuter oddaje naszej gospodarce żywnościowej duże usługi.

Zamilkł na chwilę. Brzęczała czarna słuchawka. Rybak nadstawiając uszu słyszał dochodzące jakby spod ziemi gęste tłumaczenie się diabła z Pucka.

— Ja, ja. Gut, gut — kierownik zakończył telefoniczną rozmowę. — Wasza pomocnica jest wolna — zwrócił się do rybaka. — Jedźcie po nią do Łebcza. Stamtąd miał odejść transport robotników i rybaków z waszej okolicy do altreichu na roboty rolne.

— Dziękuję panu serdecznie — pożegnał go Rybakowski. — Do widzenia.

— Dobrego ciągu łososa — Niemiec uściśnął szyprowi dłoń. — Nie zapomnijcie o mnie, kiedy zdarzy się wam dobry połów.

Kaszuba zadowolony z obrotu sprawy opuścił biuro.

— Zdrze krewa aż urosnę trewa — idąc na dworzec mruknął kaszubskie przysłowie. — Na pewno twój “amt” dawno już zniknie z Wejherowa, zanim Cedronem pod“ płynie pod niego mój łosoś...

W tym samym czasie Zalewski i Styn z podłużną paczką pod pachą stali na Adolf Hitlerstrasse, tak przemianowano dawną ulicę 10 Lutego, w Pucku u drzwi arbeitsamtu jak dwie dusze przed bramą piekła. Co chwila przechodziły koło nich zapłakane kobiety, którym wydarto dzieci, by popędzić je na poniewierkę wśród obcych.

— Nic tu nie wystoimy — mruknął w końcu Teofil. — Trzeba wstąpić do piekieł.

Nacisnęli kłamkę.

W piekle urzędowała smukła Niemka o kruczonych włosach, z lekka już posrebrzonych siwizną, i krępy, tłusto- gęby zbój w rozpiętej koszuli z zakasanyimi rękawami.

Na gołym ramieniu miał wytatuowaną swastykę. Nos wsadził w papierki kartoteki, ale usłyszawszy skrzypnięcie zawiasów podniósł głowę i podszedł do Zalewskiego:

— Was willst du? Czego chcesz?

— Nie dla purtka łosoś — Paweł przezornie cofnął się na korytarz. — Skoro wyjdiesz z biura, załatwię moją sprawę z Fräulein Mas.

Teofil ani myślał o odwrocie. Jako były marynarz wojennej floty kajzera Wilusia znał niemiecki język, zaczął więc spokojnie tłumaczyć, o co mu chodzi i pokazał skierowanie. Grubas ani spojrzał na papierek, otworzył szeroko drzwi.

— Du verdammter Pollacke! — wspiął się na palce i z całej siły trzasnął petenta w twarz. — Raus! Precz!

— Ej da, dioble! — Kaszuba ręką twardą od wiosła wymierzył mu eios na odlew.

Andreas rozłożył ręce. Jęknął jak foka rażona beką i runął na podłogę. Wkrótce jednak zerwał się i rzucił do ucieczki. Zalewski chwycił krzesło. Uderzył nim w tłuste plecy uciekającego, który zawył niczym wcielony szatan. Teofil goniec go przewrócił stół. Nim dopadł zbiega, by poczęstować go kolejnym razem, obity hitlerowiec zdążył zamknąć drzwi. Sekretarka skulona za biurkiem nakręciła już numer policji.

— Ratunku! — krzyczała drżąc ze strachu. — Napad na naszego kierownika! Przychodźcie natychmiast!

Paweł, który pospieszył druhowi na pomoc, widząc co się święci, wyciągnął go z biura. Wybiegli z miasta. Przez puckie łąki wydostali się na szosę. Poszli nią w stronę Chłapowa, lecz przed mostem na Płutnicy czterech żandarmów zastąpiło im drogę. Zalewski zrozumiał, że jego odwaga i żelazna pięść tym razem na nic się nie przydadzą. Żandarmi więc bez trudu odstawili obu rybaków na pucką komendę, stojącą w pobliżu czerwonego dworca.

— Abtreten! — Oberleutnant Molier, ponury jak noc komendant tego posterunku znany w całym powiecie z okrucieństwa, odprawił podwładnych. Pamiętał czasy wilhelmowskie, kiedy to państwem rządziła policja, nie w smak mu więc było, że teraz trzęsie wszystkim SS. Spojrzał spod gęstych brwi na Kaszubów. Zatrzymał spojrzenie na paczce Styna i kazał Teofilowi wyjść na korytarz.

— Pobiliście kierownika Andreasa? — zapytał surowo

— Jestem w tej sprawie całkiem niewinny — bronił się Paweł. — Byłem w arbeitsamcie i zobaczyłem, że grubas dusi za gardło mojego kamrata Zalewskiego. Teofil wyrwał mu się półżywy i zaczął uciekać. Pobiegnęłam za nim, żeby zapytać, co się stało...

— Dosyć, resztę wiem — policjant wciągnął nosem woń wędzonego łososia. — Lachs? Łosoś?

— Jawohl, Herr Oberleutnant. Mam w tej paczce wędzonego łososia. Chciałem go dać sekretarce arbeitsamtu, by uratowała moją chorowitą siostrę. Chcą posłać ją do gbura na roboty, a ja potrzebuję koniecznie kogoś do naprawy sieci.

— Załatwię to wam od ręki.

— Skoro tak, to pan porucznik przyjmie ode mnie tego łososia.

— Załatwione. Kto prócz was widział, że Andreas napadł na Zalewskiego?

— Sekretarka.

Molier bez zwłoki telefonicznie wezwał Annę Ma? i wziął ją na spytki.

— Jak to było z tym zajściem w waszym urzędzie?

Pucczanka zeznała prawdę.

— Więc to wasz kierownik usiłował wyrzucić Zalewskiego z urzędu i pierwszy go uderzył —

stwierdził z zadowoleniem komendant i kazał Pawłowi przywołać Teofila czekającego cierpliwie za drzwiami kancelarii.

— Wasz zawód? — zapytał obwinionego.

— Byłem marynarzem — Zalewski wyprostował się po żołniersku. — Teraz jestem rybakiem łódkowym w Chłapowie.

— W jakiej marynarce pływaliście?

— Przez pierwszą wojnę światową służyłem we flocie jego cesarskiej mości, Wilhelma II.

— W kampanii wrześniowej 1939 roku braliście udział?

— Zostałem powołany, ale nim zdążyłem dotrzeć do mojej formacji, komunikacja została przerwana.

— Widzę, że mówicie prawdę — Niemiec pochwalił matrosa. — Powiedzcie mi więc, ale też całą prawdę, jak doszło do dzisiejszej bójki?

— Chciałem, Herr Oberleutnant, załatwić następującą sprawę: Przydzielono mnie do pracy u jednego gbura

w Chłapowie. Nie znam się na takiej robocie. Rybactwem więcej przyniosę pożytku Trzeciej Rzeszy, ale jak to wytłumaczyć kierownikowi arbeitsamtu? Z miejsca zaczął mnie wyzywać i bić. Myślałem, że mnie wyrzuci jak psa. Nie byłbym marynarzem, gdyby mu się to udało. Oddałem mu cios za cios, no i zaraz się przewrócił.

— Das stimmt — żandarm spojrział w oczy Kaszubie. — Zgadza się. Przekonałem się, że nie próbujecie wprowadzić mnie w błąd.

— Miałbym kłamać stojąc przed oficerem? — oburzył się olbrzym. — Wiem, że nie zrobicie mi krzywdy.

— Ja was, Zalewski, zwolnię — przyrzekł Molier. — Ale cóż z tego, kiedy z pewnością zaraz aresztuje was gestapo. Najlepiej dam wam zaświadczenie, że jesteście przewidziani do zapisu na trzecią grupę volkslisty. Pójdziecie z tym pismem do wejherowskiej Bezirkskomman- do i zgłosicie się do wojska. Tam gestapo nie ma dostępu.

Wracając z komendy do Chłapowa Teofil wyznał Sty- nowi, że ani mu w głowie nadstawiać karku za Hitlera i jeśli zostanie wysłany na front, przy pierwszej spo~ sobności zdezerteruje. Rzeczywiście, ledwie znalazł się we Francji, uciekł do tamtejszej partyzantki, a potem walczył w szeregach polskiego wojska na Półwyspie Ape» nińskim. Na wybrzeżu słuch o nim zaginął. Mimo to purtk Andreas wolał spakować manatki i porzucić pucki arbeitsamit. Pruski diabeł zląkł się, by po raz drugi nie wypadło mu się zmierzyć z takim jak Zalewski kaszubskim stołemem.

W CIENIU GILOTYNY

Dnia dziewiętnastego listopada 1942 roku na salę rozpraw najwyższego sądu wojennego w Berlinie wprowadzono dziesięciu skutych więźniów. Za długim stołem pod portretem Hitlera zasiadł trybunał: w środku cywil, po lewej jego stronie admirał, po prawej generał piechoty, Z boku w wygodnych fotelach rozparło się dwóch umundurowanych prokuratorów z hakenkrojcami na rękawach. W ławie obrońców zajęli miejsca wyznaczeni z urzędu adwokaci: brutalny Kersten, łagodniejszy Stech. Oskarżeni wiedzieli, że czeka ich śmierć. Jedyłą ich nadzieją było to, że sprawa się przeciąga i Trzecia Rzesza runie, nim wyrok zostanie wykonany. Siedząca wśród nich kobieta, dochodząca pięćdziesiątki, obejrzała się ku drugiemu rzędowni, popatrzyła na młodego mężczyznę, który był kubek w kubek do niej podobny.

— Synu mój... — szepnęła wzruszona.

Jeden z gestapowców natychmiast kazał jej milczeć i sięść z boku, zdążyła jednak zobaczyć bladą, poznaną świeżymi bliznami twarz i ręce więźnia. Wybito mu zęby, a sine jego paznokcie i czubki palców świadczyły, że mu podczas śledztwa wbijano za nie gwoździe. Tak samo zresztą jak i jej.

Sędziowie tymczasem rozłożyli akta i wezwali obwinioną do złożenia zeznań. Wstała chwiejąc się na nogach.

— Byliście w polskiej konspiracji? — zapytał przewodniczący.

Milczała.

— Kto jeszcze do niej należał?

— Czy w waszej organizacji opracowywano materiały szpiegowskie przeznaczone dla wrogów Niemiec? — posypały się dalsze pytania.

Nie powiedziała ani słowa, tylko łzy toczyły się po jej wychudłych policzkach. Z kolei więc przesłuchano jej syna oskarżonego o to, że był przywódcą gdyńskich konspiratorów. Odparł krótko, odważnie:

— Cokolwiek uczyniłem, uczyniłem z miłości dla mej uciemionej przez was ojczyzny.

Na dalsze pytania, podobnie jak matka, odpowiadał milczeniem.

To samo powtórzyło się przy przesłuchiowaniu pozostałych więźniów.

— Czemu milczycie? — denerwował się przewodniczący. — Mamy w rękach niezbite dowody waszej przestępczej działalności.

— Sumienie nakazuje nam milczeć w obronie naszego narodu — rzekł na to najstarszy z oskarżonych.

A ostatni z nich, zapytany czy się przyznaje do zbrodni przeciw Trzeciej Rzeszy, wyrąbał bez ogródek:

— Przyznaję, że walczyłem z hitlerowskim najeźdźcą wszelkimi sposobami dostępnymi obywatelom okupowanego kraju.

Żaden nie okazał pokory, nie prosił o łaskę. Od miesięcy byli pewni, co ich spotka. Komedja “sądu” nie zdołała ich oszukać. Następnego dnia odczytano im sfalszowane protokoły gestapowców. Potem zabrali głos prokuratorzy żądając, aby “polskie chwasty” wyrwano z korzeniami. Błede przemówienia adwokatów nie wpłynęły na przewidziany z góry przebieg rozprawy. W “ostatnim słowie” jedynie oskarżona poprosiła, by skazano ją na śmierć, lecz oszczędzono życie jej syna. Reszta więźniów zrzekła się osobistej obrony.

Przez wysokie okna sączyło się mdłe, ponure światło listopadowego dnia. Kiedy trybunał naradzał się w sąsiednim pomieszczeniu, młody przywódca spisku wychylił się z ławy, ucałował policzek matki. Dostał za to kopniaka od straży, która odtąd nie spuszczała go z oka.

— Wstać, sąd idzie! — zawołał woźny.

Z pokoju narad wyszli trzej sędziowie o grubych karkach i siwych, podstrzyżonych wąsach. Dźwignęli się Po

lacy. Przewodniczący, odczytawszy ich imiona i nazwiska, ogłosił wyrok:

— W imieniu fiihrera i Trzeciej Rzeszy skazano wymię-* nionych na karę śmierci oraz na utratę wszelkich praw za szpiegostwo, za udzielanie pomocy nieprzyjaciołom Niemiec, za przygotowania do zdrady stanu...

Matka wybuchnęła płaczem. Rzuciła się ku synowi. Strażnicy siłą posadzili ją na ławie. Zdławiła szloch.

— Umrzemy, ale Polska będzie żyć! — krzyknął któryś ze skazańców.

Dnia szesnastego grudnia przyszedł do mnie Józef Bolda.

—■ Kiedy wypłyniemy skontrolować albo sprzątnąć nasze takie? — zagadnął. — Morze szybko zamarzy, kutry łowiące dorsza już dzisiaj nie wyszły z portu, aby nie ugrząść w krze. Trzeba się więc spieszyć i pozdejmować łososie z haczyków. Nie dla feszcentrali, leno dla nas! Kwekrze mogą siedzieć o suchych pyskach, ale nasi głodujący w Gdyni powinni mieć na święta smaczną rybę.

Podszedł do okna, odchuchnął lód na szybie. Stałem obok i spojrzałem na morze. Przy brzegu białe lodowe tafle.

— Od południowego wschodu ciągnie bryza — rzekłem. — Spycha krę na zachód. Jutro wydostaniemy się z przystani, tylko będziemy musieli wcześniej wstać, żeby wracając za dnia, wyminąć pola lodu.

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę — odwróciłem się od okna.

Wszedł mój znajomy, Grześkiewicz, który miał przed wojną rozlewnię piwa w Helu. Potem uwięziono go w Stutthofie. Półżywy wydostał się z obozu i zamieszkał na gdyńskim Wit ominie.

Sądziłem zrazu, że jak wielu gdynian przyszedł do nas po śledzie i zmartwiłem się: w mej beczce było pusto. Agnieszka nie zdążyła zasolić nowego zapasu.

— Dzień dobry — przybysz odkrył głowę, powiódł przekrwionymi oczyma po polskich obrazach zawieszonych na ścianach naszej kuchni.

Nie miał w ręce wiadra, nie przyszedł więc po ryby.

— Co się stało? — zaniepokoiła mnie jego twarz wynędzniała, zatroskana.

— Zaraz wszystko powiem, tylko pozwólcie mi odpocząć — odsapnął.

— Siadaj pan — podsunąłem mu krzesło i poprosiłem żonę, by nakarmiła gościa: — Z pewnością jest głodny. Wcześniej rano wyjechał z Gdyni, a wiesz, ile tam przydzielają żywności na polskie kartki.

— Tyle trosk, że i jeść się nie chce — machnął ręką, ale Agnieszka już zaczęła coś szykować do jedzenia.

— Napijemy się? — nalałem koniaku do kieliszków.

— Skąd macie taki trunek? — zdziwił się Grześkiewicz.

— Na gdańskim feshmarmku handluje sieciami stary Arendt — odparłem. — Niemiec, ale uczciwy człowiek. Jeszcze przed pierwszą wojną nasi kupowali u niego rybacki sprzęt. Jego księgowa, torunianka, poprosiła, żebym pomógł jej ukryć jednego sędziego ze Lwowa, poszukiwanego przez gestapo. Zrobiłem to, a onegdaj zawiozłem Arendtowi wędzonego łososa, by dał urlop swej pracownicy, która chciała odwiedzić ściganego. Ucieszył się stary. Wyciągnął spod lady żaglowe płótno na szesnaście rybackich ubrań. Szepnął, że wnet się nam przydadzą. No, a panna odwdzińczyła mi się koniakiem.

— Po co to rozgadujesz — zgromiła mnie żona podając śniadanie.

— Pan Grześkiewicz pewny, można mu zawierzyć — uśmiechnąłem się.

— Zawierzę wam i ja — pochylił głowę przybysz. — Przyjechałem właśnie w sprawie łososa... Niedawno temu w Berlinie skazano teściową naszej Czesi, Helenę Hensel, wraz z jej najmłodszym synem Stefanem i ośmiu innymi Polakami na śmierć.

— Jezus Maria — jęknęła Agnieszka.

— Czy wyrok wykonano? — zapytałem.

— Jeszcze nie — zaprzeczył. — Adwokat Stech niezły człowiek, wniósł do kancelarii Hitlera

wniosek o ułaskawienie. Tłumaczył Michałowi, mężowi skazanej, że prośba zostanie odrzucona, ale trzeba odwlec egzekucję, bo niewiadomo, co wkrótce może nastąpić. Doktora Spechkard- ta nie da się przekupić pieniędzmi. Tylko wędzony łosoś może go, jak twierdzi obrońca, przychylniej usposobić do tej całej sprawy, a od niego wiele zależy. Bardzo wiele.

6 — Łosoś wszechwładny

— Trzeba ludzi ratować, ale jak? — Bolda znów podszedł do okna, spojrzął w stronę portu. — Może Jutro rano da się wypłynąć. Łód coraz dalej odchodzi od brzegu. Byle tylko coś przywieźć z morza.

— Przywieźć przywieziemy — mruknąłem. — Nim jednak łosoś poleży w soli i zostanie należycie uwędzony, miną ze dwa tygodnie.

— Cóż tedy robić? — Bolda drapał się za uchem.

— Jest wyjście — wpadłem na pomysł. — Mój brat, mieszkający na wielżeńskiej kolonii rybackiej, zawiesił, jak to przed Gwiazdką, kilka łososi w komorze wędzarni. Na pewno już się uwędziły. Na taki cel z pewnością jednego poświęci.

— Żeby Kazik wrócił ze szkoły — wtrąciła moja żona. — Pobiegłby do Franciszka.

— Ja pójdę — zaofiarował się Józef. Wyszukał w kieszeni papierosa, podał go Grześkiewiczowi. — Chceme le so zapalec, skoro niemiecki adwokat nie wierzy, że Niemcy wojnę wygrają — zapalił zapałkę. — Nie martwcie się. Hitlera zeżrą wnet kruki. Leno smród po nim zostanie. — Potem wcisnął rybacką czapkę na uszy i pospieszył do Wielkiej Wsi.

— Za co chcą stracić tych Polaków? — spytała Agnieszka po wyjściu Boldy.

— Dużo by o tym można opowiadać — Grześkiewicz otarł zażawione oczy. — Nie wiem, czy zdążę powiedzieć wszystko, nim tamten rybak wróci z łososiem. Ale spróbuję. Było to tak: Dwa lata temu Stefan, szwagier naszej Czesi, wyjechał do Warszawy, wszedł w kontakt z podziemiem i wróciwszy do Gdyni założył komórkę polskiego wywiadu...

W Gdyni przy ulicy Abrahama pod numerem 83b, przechrzczonej podczas okupacji na Horst-Wesselstrasse, w mieszkaniu Michała Hensla, zaprzysiężono wraz z uczestnikami nowej organizacji matkę Stefana i jego bratową Czesię, która na rok przed wojną wyszła za Bernarda, porucznika marynarki wojennej, wziętego potem w 1939 roku na Helu do niewoli. Starzy Henslowie mieszkali przed pierwszą wojną w Berlinie. W osiemnastym roku wrócili do Wielkopolski, a gdy zaczęto budować

Gdynię, przenieśli się do tego miasta i założyli przedsiębiorstwo wodociągowe. Podczas okupacji Michał pracował jako najemnik w tej samej branży, dom jego zaś odwiedzali nocami konspiratorzy: profesor muzyki Sauer, jego uczeń Czesław Kałek, Tomasz Szulczewski i wielu innych. Pod kierownictwem rzutkiego Stefana konspiracja szybko się rozwijała. Ci z jej członków, którzy pracowali w Marine Arsenal, prowadzili wywiad na terenie portu wojennego. Fotografowali statki i

obiekty wojskowe, a wywołane mikrofilmy przynosili na ulicę Abrahama. Helena opracowywała zdobyte materiały. Kurierzy przekazywali je potajemnie do Anglii. Rok już trwała ta działalność, kiedy kurier wysłany do Bremy wpadł w Berlinie w ręce gestapo i widocznie wydał wszystkich znanych mu współpracowników, gdyż rankiem ósmego kwietnia 1942 roku tajna policja załomotała do Hensłów. Trzyletnia Bernadetta córka Czesławy rozplakała się w dzieciennym łóżeczku. Płacz jej usłyszeli hitlerowcy.

— Otwierać, bo wyłamiemy drzwi! — wrzasnęli.

Gospodyni wpuściła czterech uzbrojonych cywilów.

— Gdzie Stefan Hensel? — ryknęli już w korytarzu.

— Wyjechał kilka dni temu i dotąd nie wrócił — odparła pani Helena.

Niższy z gestapowców przyłożył rewolwer do jej skroni.

— Wiemy, że wieczorem był w tym domu. Mówcie prawdę, bo zastrzelę was na miejscu!

* — Może i był, ale nie u nas — wycofała się szybko wiedząc, że syn dopiero przed pół godziną ze swoim kolegą Czesławem opuścił mieszkanie.

— Ruhig! Spokój — kopniakiem rozbił zamkniętą szafę.

Henslowa w zamieszaniu otworzyła drzwi na korytarz.

Stało tam dwóch siepaczy.

— Zurück! Z powrotem! — podnieśli wrzask.

— Tatusiu, ratuj! — maleńka, przerażona śmiertelnie Bernadetta oburącz chwyciła fotografię ojca w marynarskim mundurze.

— Was ist denn das? Co to jest? — wysoki gestapo- więc wyrwał dziecku podobiznę. — Ein polnischer Offizier! Polski oficer! — podarł zdjęcie i rzucił na podłogę.

Czesława pochyliła się, by zebrać strzępy. Wtedy Niemiec błyszczącym butem kopnął ją w bok. Przewróciła się. Zza koszuli wysunęła się zawieszona na łańcuszku

różańcowa kapsułka, w której przechowywała klucz konspiracyjnego szyfru.

— Boże! — szepnęła i ostatkiem świadomości zdołała ukryć kapsułkę na piersi. Zemdlała.

Teściowa cuciała ją, uspokajała płaczące dziecko, a szpicle wyrzucali pierzyny z łóżek, przetrząsali szafy i szuflady, zajrzeli nawet do pieca, czy w nim czegoś nie ukryto. Byli czerwoni i zasapani, ale nie przestawali plądrować, uważając przy tym, aby gospodyni nie podeszła do okna. Czuli się w swoim żywiole. Jeden z nich zerwał znad dzieciennego łóżka i podeptał obraz

Częstochowskiej, roztrzaskał stojącą w rogu pokoju figurkę Panny Marii, wykręcił tłącą się przed nią czerwoną żarówkę. Rzucił ją na podłogę, aż huknęło. Potem ptworzył kredens.

— Prawdziwe polskie porządki — wydłużyła mu się gęba. — Nie mają prawie nic do żarcia.

— Tyle mamy, ile nam dajecie na kartki — odezwała się Henslowa.

— Ilalt das Maul! Zamknij pysk! — pogroził jej no-[^]żem. Posmarował znaną kromkę chleba, przeciął ją na połowę i podzielił się z kamratem. Wyjedli ze słoika resztę marmolady, ogołocili kredens do czysta.

Wlokły się straszne godziny. Pod wieczór gospodarz wrócił z pracy. Wpuścili go do mieszkania i pod groźbą rewolwerów zapytali:

— Gdzie syn?

— Od kilku dni nie pokazał się w domu — powiedział» to samo co żona.

Na dachy kamienic przy Abrahama, Lipowej i Świętojańskiej padały ostatnie promienie słońca. Matka i bratowa przywrócona do przytomności modliły się w duchu, by Stefan dziś nie wrócił. Niestety, z parteru doszły odgłosy walki i niemieckie krzyki. Huknął strzał. Gestapowcy wybiegli z pokoju.

— Zastrzelili Stefana — matka chwyciła się za głowę.

Ojciec wyszedł na klatkę schodową. Na dole, w mrocznej sieni gestapowcy okuwali w kajdany jego syna. Stefan szarpał się, lecz dwaj tajniacy zbiegłszy po schodach wparli mu w piersi lufy pistoletów. Musiał się poddać. Zza rogu Lipowej wyjechała na ulicę Abrahama więzienna karetka. Stała na podwórku domu pod numerem 83.

Niemcy wepchnęli do niej konspiratora i odjechali na Kamienną Górę.

Synowa Hensłów wyszedłszy nazajutrz do miasta po zakupy dowiedziała się, że równocześnie ze Stefanem aresztowano profesora Sauera, Tomka Szulczewskiego i innych wywiadowców.

Po siedmiu dniach trzech gestapowców przyszło o brzasku po panią Helenę. Jeden z nich, który poprzednio brał udział w rewizji, wdarł się do sypialni.

— Wyłaż z barłogu, ty polska Świnio — wyciągnął rewolwer. — Wstawaj i ubieraj się! Zabierzemy cię do twego synka!

Zdrętwiała, siłą przeto ściągnęli z niej kołdrę i wywlekli z łóżka.

— Żona chora — usiłował tłumaczyć pan Michał. — Zabierzcie mnie zamiast niej.

— Nie pchaj się, polski bandyto — odepchnął go Niemiec. — I na ciebie przyjdzie kolej!

Siepacze naglili do pośpiechu. Nie pozwolili pani Helenie pożegnać się z rodziną. Kiedy na podwórku wpychali ją do samochodu, Niemcy panoszący się w zagrabionych Polakom mieszkaniach wyglądali z okien i śmiali się z nieszczęśliwej.

W gestapo mieszczącym się na Kamiennej Górze zamknięto ją w osobnej celi. Śledztwo prowadził niejaki Lange stosując coraz wymyślniejsze tortury. Aresztowana uparcie milczała. Myśl o synu, którego nie chciała zawieść, dodawała jej sił w najcięższych cierpieniach, gdy oślepiano ją reflektorem, gdy musiała godzinami bez jakiegokolwiek oparcia stać w wodzie, gdy wbijano jej gwoździe za paznokcie. Długo męczył się Herr Lange z “krnąbrną Polką”, lecz nie zdołał wycisnąć z niej ani słowa. W końcu zrezygnował i odesłał ją do prokuratora, który urzędował w gmachu gdańskiego sądu, przy Nowych Ogrodach. Milczała w prokuraturze, choć straszono ją cieniem gilotyny. Potem przekazano ją w ręce gestapowca Teufla. “Diabeł” mniej okrutny niż Lange bił swą ofiarę i szarpał za włosy, nie wymusił jednak zeznania.

Po kilku tygodniach odtransportowano storturowaną kobietę pod Hauptbahnhof Danzig. Na peronie w gromadzie skutych więźniów ujrzała posiniaczonego syna. Zbrojna eskorta nie dopuściła do powitania ani do jakiegokolwiek

porozumienia. Podzielono “kajdaniarzy” na dwie grupy i wprowadzono do oddzielnych przedziałów. Każdej piątki pilnowała trójka gestapowców. Okien nie pozwolili opuścić ani na chwilę.

W Tczewie pociąg skręcił na zachód. Zapadła noc. Zdrzemnęli się znużeni więźniowie. Zbudziło ich słońce nad łąkami ognistego rzepaku. Na polach pracowali jeńcy w spłowiałych rogatywkach.

Na Śląskim Dworcu w stolicy “Grossdeutschlandu” załadowano “wrogów Rzeszy” do okratowanej karetki. Dla pani Heleny zabrakło miejsca. Osobowym autem powieziono ją znajomymi ulicami rodzinnego miasta. Samochód wjechał w bramę więzienia Moabit. Pierwsza noc minęła spokojnie, dopiero rano, gdy wyprowadzono więźniów na podwórze, zabaczyła skutego, okrwawionego człowieka w kurtce z literą “P”. I tu więc torturowano Polaków. Straciła nadzieję, że skończy się jej udręka. Przesłuchiwano ją nieraz. To “po dobroci”, to przy użyciu “uderzających argumentów”. Była już całkiem wyczerpana, lecz mimo to na zadawane jej, wciąż te same, pytania odmawiała odpowiedzi.

Kiedyś w jej samotnej celi zjawił się więzienny kapelan. W pierwszej chwili pomyślała, że przyszedł przysposobić ją na śmierć, ale okazało się, że obawa ta była przedwczesna. Duchowny starzec z Raciborza chciał ją po prostu pocieszyć. Opowiedziała mu o sobie. On też zwierzył się jej, że niedawno padł nad Donem jego siostrzeniec.

— Jak to? Czy walki znów toczą się nad Donem? — strapiła się. — Przecież zimą Rosjanie wyparli niemiecką armię znad tej rzeki.

— Ruszyła wielka ofensywa na Stalingrad — szepnął.

— Więc wszystko stracone? Nie ma nadziei dla tych, co cierpią za ojczyznę?

Ksiądz zaczął mówić o niezbadanych wyrokach Opatrzności i oświadczył że gotów jest na

wszystko, byle pomóc cierpiącym.

— Mam syna w tym więzieniu — zaufała mu Henslowa. — Czy ksiądz kapelan mógłby przekazać mu moje pozdrowienie?

— Następnym razem przyniosę papier i ołówek — obiecał. — Napisze pani mu kilka słów...

Dotrzymał przyrzeczenia. Przenosił odtąd grypsy pani Heleny i jej znajomej z porannych apelów, Anity Midenf, uwięzionej żony jugosłowiańskiego generała.

Śledztwo dobiegło kresu. Odczytano gdynianom jego wyniki. W milczeniu wysłuchali aktu oskarżenia. Nie załamał się nikt.

Czekaliśmy w napięciu na powrót Boldy z rybackiej kolonii. Agnieszka chuchała na szybę i patrzyła w stronę rozewskiej autostrady.

— Biedna ta pani Henslowa — wzdychała — znosi cierpienia nad ludzką siłę.

— I straszny czeka ją los — kiwał głową Grześkiewicz.

— Może zamienią jej karę na dożywocie — pocieszałem go.

— Cała nadzieja w łososiu.

— Że też Józefa jeszcze nie widać! Żeby go tylko wachmistrz Hibolt gdzie po drodze nie zatrzymał. Ograbiłby go jak zbój z oliwskich borów na równym trakcie,

— Idzie — zawołała naraz moja żona. — Ale nie szosą, tylko brzegiem morza. Widzę go dobrze. Niesie coś w worku...

— Nie chce wpaść w ręce żandarmów, więc woli brnąć przez śnieg — powiedziałem.

Zadyszany rybak stanął w drzwiach. Zdjął z szyi szal pokryty szronem i wyjął z worka dwa zapakowane łososie, mówiąc:

— Dostałem od twego brata aż dwa. Gdy opowiedziałem mu o sprawie, postanowił, że i temu obrońcy trzeba jednego dać.

— To znaczy Stechowi — dodał. — Bo Kersten nie wart jeść łososia.

— Michał jeszcze dziś pojedzie z nimi do Berlina — zapewnił gość. — Potrafi szwargotać po niemiecku jak prawdziwy Szwab. Może uda mu się uratować naszych.

Michał Hensel zawiózł łososie do stolicy. Dowiedział się tam, że adwokat Kersten, nieprzejednany hitlerowiec i polakożerca, został zaciągnięty do wojska, dzięki czemu starszy jego kolega Stech mógł działać swobodniej niż poprzednio. Ojciec Stefana wrócił więc z podróży pełen

nadziei. Nie przejął się tym, że wyrzucono go z mieszkania przy ulicy Abrahama. Wypędzonego przytulił jakiś Polak na Witominie. Dnia siódmego lutego otrzymał niemieckie pismo, którego treść w tłumaczeniu na język polski brzmiała następująco:

Prokurator Najwyższego Wojennego Sądu Rzeszy STPL/RKA III 232/43

Do Pana Michała Hensla

Gotenhafen (Gdynia) ul. Horst Wessel 83/20

Syn pana, Stefan Hensel, został wyrokiem Wojennego Sądu Rzeszy z dnia 22.11.1942 r. za szpiegostwo czynne z udzieleniem pomocy nieprzyjacielowi i przygotowanie zdrady stanu skazany na śmierć.

Wyrok został potwierdzony dnia 22.1.1943 r. i wykonany dnia 3.2.1943 r.

z polecenia (—) Dr Spechkardt

Pan Michał przeczytał tekst i list wypadł mu z drętwiejącej dłoni. Synowa podała mu krople. Podniosła pismo. Długo sylabizowała literę po literze.

— Nie ma już naszego Stefana... — zalała się łzami.

— Pewnie i biedna Helena została zamordowana — jęknął pan Michał.

Na próżno starał się go pocieszyć witomiński sąsiad Franciszek Piechocki, zięć Grześkiewicza, gnieźdzący się z żoną i sześciorgiem dzieci w pomieszczeniu bardziej podobnym do kurnika niż do ludzkiego mieszkania. Przychodził do Hensla i powtarzał:

— Chyba jednak łośoś coś pomógł. Nie nadeszło przecież zawiadomienie o wykonaniu wyroku na twojej żonie. A pod Stalingradem — klęska! Niemcy cofają się na złamanie karku. W tych warunkach wszystko jest możliwe. Wobec widma przegranej wojny nie będą pewnie chcieli mnożyć liczby swoich zbrodni.

Rzeczywiście pod koniec maja Oberreichskriegsanwalt zakomunikował mężowi skazanej: “Karę śmierci zamieniono waszej żonie na trzy lata ciężkiego więzienia”.

Berlin — Charlottenburg 5 dnia 5 lutego 1943 ul. Witzleben 4— 10 telefon 300-81

W pierwszą niedzielę po otrzymaniu tego listu pan Michał przyjechał do Chłapowa.

— Łososie poskutkowały — podał mi urzędowe pismo. — Straciłem syna, ale żonę może odzyskam.

— Nie odsiedzi i tych trzech lat — zaręczyłem mu. — Na wschodnim froncie kłapa ha całej linii. Nastąpił wielki odwrót ku Dnieprowi i Dźwinie. Rosjanie ścigać będą Niemców aż do Berlina. Zrobią defiladę pod Bramą Brandenburską.

— Szkoda, że Stefan i jego przyjaciele tego nie ujrzą. Wszyscy położyli głowy pod nóż brandenburskiej gilotyny. Mam tu list, który napisał Czesław Kałek na kilka godzin przed wykonaniem wyroku. — Hensel wyjął arkusz i czytał nam ostatnie słowa polskiego skazańca:

Brandenburg 8.4.1943 r.

Kochany Ojcze, Matko, Bracia, krewni i znajomi.

Przed chwilą przeczytano mi wyrok i przy nim dostałem także ostatni list od Was. Ostatni list. Tak, ta kartka to też ostatni list, ale dla Was ode mnie. Czy to możliwe? Jednak... Dzisiaj o godzinie siódmej wieczorem wyrok zostanie wykonany, mam więc jeszcze sześć godzin czasu. Chcę się przyszykować do spowiedzi i komunii świętej, którą o godzinie trzeciej będę mógł przyjąć. Jestem zupełnie spokojny, a zatwierdzenie wyroku nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. Zupełnie spokojnie to przyjąłem, i mogę tylko Panu Bogu za to podziękować. Pismo jest trochę koślawe, ale trudno, piszę w kajdanach.

A teraz moje prośby. Przede wszystkim proszę nie płakać i dużo nie rozpaczać. Postarać się o moje zwłoki, to znaczy prochy, i te złożyć w Poznaniu. Co roku w dniu ósmego kwietnia niech będzie odprawiana msza święta w tej intencji, to znaczy za poległych. Żałobę proszę nosić cały rok, na pamiątkę, że rok cały czekałem na tę śmierć. Rzeczy, które tutaj mam, a które się Heniowi spodobają, to niech wszystko dla siebie zatrzyma: dwie walizki mam tutaj, które podobno po wyroku mają być Wam przesłane. Jeżeli coś Heniowi będzie za małe, proszę dać biednym.

Tak, Kochani Moi. Nareszcie przyszedł dzień mego wyzwolenia. Przez wyrok ten wyświadczą mi wielką ulgę. Szkoda, że to nie stało się zaraz po sprawie — byłoby już po kłó

pocie. Nie chcę pisać, co przez ten rok przeszedłem, bo nie ma celu. Ja z mej strony wszystkim ludziom, jak również wrogom moim, przebaczam. Jeżeli ktoś ma żal do mnie, to proszę go tą ostatnią drogą o przebaczenie wszystkiego.

A teraz żegnam Was, Kochany Ojcze, Kochana Matko i ca- łuję tą drogą Wasze kochane i spracowane ręce, dziękuję za dobre wychowanie mnie. Chciałem Wam dać na starość to, czego tak pragnęliście, spokój i dobrobyt. Nie udało się. Tak chciał Bóg, tak chciał los i przeznaczenie.

Żegnam Was, kochana Siostró i Bracie. Życzę Wam dużo zdrowia i szczęścia w życiu, a Henio — po ślubie — pierwszemu synowi niech da imię Czesław (tego jednak nie musi spełniać koniecznie — jeśli chce).

Żegnam Cię, Kochana Ziuteńko, i proszę Cię, abyś uwierzyła w to, co Ci pisałem, to znaczy w ostatni mój list do Ciebie, bo to było prawdą.

Żegnam krewnych, znajomych, koleżanki i kolegów (szczególnie Tadka Kaszubkiewicza), grono profesorów, z panem dyrektorem Jakubem i profesorem Ciechanowskim na czele. Proszę panu Ziemiemu za wszystko, co dla mnie zrobił, bardzo podziękować, jak również państwu Dolatom i w ogóle wszystkim tym, co mi dobrze życzyli i coś dobrego zrobili. Proszę pożegnać Poznań mój kochany i Gdynię, i w ogóle wszystko i wszystkich (moje gospodynie).

Niech Was Pan Bóg prowadzi i ma w swej świętej opiece, a gdy mnie do siebie powoła, to będą się za Was modliły myśli moje i z tego drugiego świata przy Was i z Wami będę. Nie płaczcie, bo i jam nie płakał...

Zostańcie z Bogiem

Płakaliśmy wszyscy...

Rok 1943 przyniósł zwycięstwa pod Kurskiem, Orłem, Lenino, przełamanie linii Dniepru. Wieści o tym, dzięki kapelanowi z Raciborza, docierały za mur Moabitu. Dopiero na początku 1944 roku usunięto starca, lecz rozbrzmiewająca dniem i nocą za kratami symfonia syren, detonacji bomb i salw przeciwlotniczej artylerii zwiastowały rychły koniec wojny. Zimą ewakuowano stare więzienie. Jego przymusowych lokatorów zawieziono do Saksonii, gdzie w celach przeznaczonych dla jednego więźnia

zamykano po dziewięciu ludzi. Chorą Heleną zaopiekowała się jakaś Francuzka skazana na dziesięć lat “za politykę”. Surowi inspektorzy dziwnie w tym czasie złagodnieli. Odwiedzali uwięzionych, pytali ich nerwowo, czy mają dość jedzenia i czy nie dzieje się im krzywda.

Któregoś ranka rozległ się śpiew za ścianą.

Francuzka przyłożyła ucho do drzwi.

— To moi ziomkowie — krzyknęła. — Śpiewają Międzynarodówkę.

Zaskrzypiał klucz w zamku.

— Wolność! — dwóch francuskich więźniów stanęło w progu celi. — Wychodźcie! Wyzwoliła was Armia Czerwona.

Więźniowie tłumnie wychodzili z więziennej bramy. Był piękny wiosenny dzień, sady wiśniowe już kwitły. Drogami ciągnęli wyzwoleni jeńcy wojenni i robotnicy na wschód ku ojczyźnie. Dziesiątego czerwca na gdyńskim dworcu rodzina serdecznie powitała wysiadającą z wagonu panią Helenę i wówczas to dowiedziała się matka Stefana, że życie jej w “sumiennych rachunkach” Niemców warte było ceny... łososia.

ROBI SIĘ MGLISTO

Zapamiętałem tę datę: dwudziestego piątego kwietnia 1942 roku.

Pod wieczór tego dnia do mojej kuchni wszedł Józef Bolda z Teodorem Gojką. Długie, rybackie skorznie obaj z oszczędności nieśli na ramionach, bo za okupacji trudno było o nowe obuwie. W dłoniach trzymali workowate siatki pełne prowiantu na nocny połów.

— Kutry wypływają — powiedział Józef — czas i na nas, drehu.

— Co nowego? — zapytałem od stołu, przy którym jadłem kolację.

— Anglicy zwyciężają w Afryce. Na wschodzie, w porównaniu z ostatnią zimą, spokój. Tyle, że U-Booty zatopiły znów kilkanaście statków. Może podano coś więcej, ale kwecze tak zagłuszają polskie dzienniki z Londynu, że wszystkiego nie mogłem zrozumieć.

— Byłeś u Pawła Boldy?

— Zaprowadził mnie tym razem na strych. Wchodzić trzeba tam dziurą jak szczur. Kryje teraz radio głęboko w sianie. Boi się rewizji. Nim powstanie drugi front albo ruszy od wschodu ofensywa, niejednemu z nas przyjdzie ziemię gryźć. Ten komtur Forster znów gardłował, że nie będzie w Gau Danzig miejsca dla nikogo, co się nie zapisze na volkslistę. Chce nas zniszczyć do ostatka.

Przełknąłem ostatni kęs chleba, popiłem zbożowej kawy, zarzuciłem buty na ramię i pomaszerowaliśmy do przystani. Nasze drewniaki szybko stukały po szosie wyłożonej kostką. Trzeba było się spieszyć, bo port był

odległy od mego domu o trzy kilometry, a słońce chyliło się ku zachodowi. Morze zalegała gład. Czerniały na nim północne kaczki, które zimą 1941—1942 przyfrunęły spod bieguna, i łodzie rybaków zastawiających na wodach przybrzeża haczyki nadziane szprotem, najlepszą przynętą na dorsza, tej bowiem wiosny pojawiły się olbrzymie ławice pomuchii — dorszy.

— Skróćmy sobie drogę — ruszyłem na przełaj przez Hallerowo, gdzie okupant wypróbowywał swą najnowszą broń.

Koło willi “Baśka”, zbudowanej nad morzem w ostatnim roku przed wojną, zatrzymała się limuzyna. Z wozu wyskoczył porucznik. Za nim kulejąc wygramolił się szpakowaty generał w płaszczu z krwawymi wyłogami. Zamierzał wejść do nowoczesnej willi, w której mieściła się komendantura doświadczalnego oddziału, lecz zauważył nas i przystanął.

— Zapytajcie, czy mają węgorza? — zwrócił się do adiutanta, wskazując na nas.

— Jawohl, Herr General! — oficer trzasnął obcasami i podszedł do nas. — Macie węgorze na sprzedaż?

— Skąd? — odpowiedziałem. — O tej porze łowimy łososie.

Porucznik natychmiast przekazał moją odpowiedź swemu dowódcy.

— Masz przecież łososia, więc sprzedaj go temu purt- kowi — szepnął mi Bolda. — Będiesz z nim rozmawiać. Może się czego ciekawego dowiesz.

— Jednego łososia znalazłbym w domu dla pana generała — zameldowałem adiutantowi.

Dosłyszał to stary, który kładł już rękę na klamce. Odwrócił ku mnie pełną, pomarszczoną twarz.

— Przynieście mi go — rozkazał.

— Nie zdążę. Do domu mam stąd pół godziny drogi w jedną stronę, a spieszy mi się na połów. Gdyby pan generał posłał mnie swoim samochodem.

— Cywil nie może sam jeździć generalskim autem — oburzył się pruski służbista. — Przyjechałem tu na inspekcję. W pięć minut to załatwię. Potem pojedziemy. Tymczasem porozmawiajcie sobie z mym adiutantem.

Wszedł do willi. Gojka z Boldą poszli w stronę kapitanatu portu. Zostaliśmy sami z porucznikiem.

— Mój generał oswobodził was we wrześniu 1939 roku. Byliście wtenczas tutaj? — zagadnął porucznik.

— Nie — odrzekłem. — Walczyłem wtedy w polskiej kawalerii pod Warszawą.

Roześmiał się.

— Konnica nie mogła powstrzymać potęgi naszej zmotoryzowanej armii.

— Każdy się broni, tak jak może.

— No, już załatwione — generał wyszedł z komendantury.

W tym krótkim czasie zdążył chyba tylko dać do podpisu delegację. Ciągnął go widać mój łośoś.

— Jedziemy — rozwalił się na tylnym siedzeniu lśniącego wozu.

Obok siadł adiutant. Ja zająłem miejsce przy kierowcy.

— Prowadźcie — stary skinął rękawiczką.

Wskazałem najbliższą drogę przez cetniewski park.

— Przyjeżdżają do was letnicy? — zapytał nasz “oswobodziciel” przyglądając się ciekawie letniskowym budynkom jaśniejącym wśród świerków parku.

— Przed wojną przyjeżdżali. Teraz pies z kulawą nogą nie pokaże się na wybrzeże. Bieda.

— Hm, hm — mruknął sentencjonalnie.

Miał typowo pruską gębę junkra, ale do zaślepionych wyznawców Hitlera chyba nie należał. Wyjechaliśmy na autostradę prowadzącą do Jastrzębiej Góry. Starniowym Żłobem płynęła od morza mgła. Dmuchał lekki wiatr. Zahuczała mgłowa syrena.

— Co to? — zapytał.

— Rozewie huczy — odpowiedziałem.

— Mówcie jaśniej! Skąd mam wiedzieć, co to Rozewie?

— Chętnie to panu generałowi wyjaśnię. Na rozewskim przylądku stoi od czasu ostatnich książąt kaszubskich stara latarnia morska...

— Książąt Kaszubskich... — powtórzył. — Co ci tu robili?

— Rządzili Pomorzem jako namiestnicy królów Polski

— Hm, hm — mruknął znowu nie znajdując innej odpowiedzi.

— Jesteśmy na miejscu — przerwałem mu rozmyślenia.

— Przynieście więc tego łososia — burknął.

W kuchni moja białka patroszyła właśnie łososia.

— Chcesz karmić hitlerowców łososiami? — wrzasnęła na mnie. — Co za zwierzę sprowadziłeś nam do checzy?

— To nie hitlerowiec, stary generał.

— I takiemu zależy na łososiu? Weźmie choćby już wypatroszonego?

— Z pocałowaniem ręki. Wyjdź ze mną, odbierzesz pieniądze. Ja zaraz wracam z nimi do Władysławowa.

— Ile mam zacenić?

— Tyle, co płaci centrala: cztery marki za kilo.

— Ma trzy kilo.

— Więc dwanaście marek.

Agnieszka wyniosła rybę, spojrzała na czarną limuzynę.

—■ Pobrudzi się auto, przyniosę papier — zawróciła po pergamin.

Generał wysiadł. Oparł się na lasce. Popatrzył na ładną, piętrową willę, w której mieszkaliśmy podczas wojny.

— Wasz dom? — zainteresował się po chwili uważnej obserwacji.

— Należał do latarnika z Rozewia — wyjaśniłem uprzejmie. — Gestapo w 1939 roku aresztowało go i podobno rozstrzelało w piasnickim lesie.

Otworzył i zamknął usta. Nie wiedział, jak zareagować na tę wiadomość. Ale żona wyszła z papierem i wybawiła go z kłopotu.

— Ile płacę? — sięgnął za czerwone wyłogi.

— Dwanaście marek.

Zaczął szukać pieniędzy w portfelu i wszystkich kieszeniach. Znalazł tylko dziesięć marek. Resztę dołożył mu porucznik. Pożałowałem, że łosoś ważył tylko trzy kilogramy. Gdyby był większy, nie mieliby czym zapłacić, no

i chyba by się zawstydzili. Adiutant tymczasem ulokował zakup w wozie i zawróciliśmy w powrotną drogę. Mgła bieląła nad wądołami Rozewskiej Kępy.

— Czy będę jeszcze kiedy mógł od was dostać ryb? — zagadnął ni stąd, ni zowąd.

— Niestety, tylko jednego łososa na miesiąc wolno mi zabrać do domu. Resztę muszę oddać do centrali.

— Nie rozpowiadajcie, że kupiłem u was tego łososa

— przykazał mi z naciskiem. — Pokazywaliście mi okolicę

i to wszystko. Verstanden?

— Cóż to kogo, panie generale, obchodzi, co ja robię z mym łososiem? Mogę przecież zamiast niego jeść dorszowe głowy.

— Nie wolno wam nikomu mówić, bo zostaniecie zastrzeleni — twarz Niemca przybrała barwę jego wyłogów.

— Najpierw pan generał jako nabywca, a ja, sprzedający, dopiero potem, w drugiej kolejności.

Charknął i zamilkł. Odezwał się już z innej beczki, gdy mijaliśmy władysławowski kościół Świętego Wojciecha czerwieniejący tuż przy szerokiej szosie.

— Odprawiają się tu nabożeństwa?

— Odprawiały się tu za Polski. Potem gestapowcy zabrali księdza. Nie ma o nim ani słuchu, ani głuchu. Niektórzy mówią, że zamordowano go w Piaśnicy.

— O cokolwiek was zapytam, zasypujecie mnie gorzkimi słowami — skrzywił się, jakby łyknął octu.

— Ze względu na wysoką rangę i wiek pana generała, nie śmiem mówić nieprawdy. Powiadam szczerze, jak tu u nas jest.

— Hm, hm — mruknął po raz trzeci i przeszedł na inny temat. — Zdążycie w czas wypłynąć?

— Robi się mglisto. Nie będzie chyba już dziś wyjazdu na połów.

— Ja, ja... U nas też się robi powoli mglisto — zwiesił głowę w generalskiej czapce.

Starczyło mi to wyznanie.

— To ja już tu wysiądę. Po co Herr General ma się ze mną fatygować aż do portu? Pójdę na przełaj. Czasu dosyć. Mgła coraz gęściejsza...

Zatrzymała się limuzyna.

— Auf Wiedersehen — nie podniósł ręki w hitlerowskim pozdrowieniu. — Dziękuję za łososia.

W przystani mgła zaciemniała portowe światła. Sieci szeleściły na masztach kutrów. .Znajomi rybacy zebrani w kubryku szypra Klemensa Konki, oczekiwali mnie niecierpliwie.

— Co ci powiedział? — Teodor na mój widok podniósł się z ławki.

— Że w Niemczech robi się mglisto... — Streściłem maszopom całą rozmowę i dodałem, że miał to być ten

generał, który we wrześniu zajął nasze wybrzeże. — Nie wiecie, jak on się nazywał?

— Zdaje się, że von Kluge. Mądry — domyślił się Józef Bolda.

— Kluge aber nicht klug. Mądry ale niemądry — burknął Klemens — żeby był mądry, (to zamiast słuchać zwariowanego gefrajtra Adolfa, wpakowałby mu kulę w łeb. Bez tych głupich generałów Hitler nie mógłby prowadzić wojny.

— Głupi to on może był w trzydziestym dziewiątym roku, ale teraz zmądrzał — zaprotestowałem. Choć wciąż jeszcze jeździ limuzyną, wie że ich wojenny wóz zaczyna skrzypieć, a Hitlerowi zalepia oczy mgła gęsta jak smoła. Niech sobie zje mojego łososia na stypie (po umarłym “Endsiegu”, “zwycięstwie”.

7 — Łosoś wszechwładny

BUNKRY

Padał śnieg.

— Jakaś kobieta do nas idzie — mój dwunastoletni syn, Kazimierz, wiążący z młodszymi braćmi łososiowe sieci, zerknął przez szybę.

— Chcesz, żebym wyrzwał na dwór, abyś mnie mógł tymczasem wyprzedzić w robocie — Janek zamasyście machnął kleszczką. — Nie dam się prześcignąć!

— Ja też nie — zapewnił Zych, najmłodszy z sieciarzy.

Agnieszka, która stojąc przy kuchennym piecu smażyła

dorsze, usłyszała rozmowę dzieci i zaciekawiona podeszła do okna.

— To pani Bobczyńska wysiedlona z Helu tak jak i my — poznała nadchodzącą. — Ciekawe co ją sprowadza?

— Widzicie, nie kłamałem — powiedział Kazik wiążąc równe oczka jedno za drugim, a matka spieszenie zgarnęła z podłogi papiery rozrzucone po izbie przez dzieciarnię.

— Proszę, proszę — zawołała usłyszawszy pukanie do drzwi.

—¹ Przyszłam was ostrzec — powiedziała znajoma zaraz na wstępie. — Dziś komendant policji Molier przeprowadzi u was rewizję. Podслуchała to sprzątaczką zatrudnioną w puckiej komendzie.

Gospodyni mimo woli spojrzała ku drzwiom, za którymi w małym pokoiku ukrywał się cieszyński Karol Kubiczek czy raczej, jak głosi jego podrobiony dowód, Karol Nowy. Razem z nazwiskiem zmienił wiek. Miał pięćdziesiąt trzy

lata, lecz dla bezpieczeństwa w nowym dokumencie cofnięto jego datę urodzenia o całe dziesięć lat wstecz. Przed wojną pracował w gdyńskim urzędzie celnym, a podczas okupacji w oksywskim arsenale i w... konspiracji. Pewnej niedzieli, gdy przepisywał szyfr na maszynie, został przyłapany na gorącym uczynku. Zdołał jednak umknąć żandarmerii. Starzy znajomi przyprowadzili “spalonego” konspiratora do samotnego domu nad morzem. Długo już się tu ukrywał, lecz gestapo nie przestało go szukać.

— Molier to pies na Polaków, ale można go przekupić — ciągnęła dalej Bobczyńska. — Podobno pani mąż wie, gdzie są bunkry, w których ukrywają się nasi, ścigani przez policję. Przyjdą w tej właśnie sprawie. Ktoś musiał ich na was nasłać. Nie domyśla się pani, czyja to może być sprawka?

— Z pewnością Chłapowskiego szkolnego Hermanna — zatroskała się Agnieszka. — Przyjechał tu z Solingen na nasze utrapienie. Nie wiem, co robić? Mąż wypłynął na łososie...

— Może i lepiej, że go nie zastaną — rzekła znajoma i wyszła.

Agnieszka natychmiast kazała synom zdjąć ze ściany mapę Polski, a następnie zapukała do Kubiczka.

— Wstawajcie, panie! U nas ma być dziś rewizja!

— Rewizja! — celnik wyskoczył z łóżka, otworzył drzwi.

— Przebierzcie się — podała mu swój rybacki przydziewek i stare skorznie. — Pójdziecie na strąd. Niby po bitę. Dużo ludzi dziś chodzi po brzegu, wypatrując czy morze czegoś nie wyrzuciło. Włóżcie tylko chleb do kieszeni. W razie niebezpieczeństwa skryjcie się w żarnowiec. Musicie się ratować! Macie przecież żonę, czworo dzieci... Spieszcie się! Te diabły mogą się tu zaraz zjawić!

— Żywego mnie nie dostaną — zasępił się zbieg i po kilku już minutach ośnieżoną ścieżką kroczył ku morzu stary rybak z kaszorem na ramieniu, w zydwestce na głowie.

Agnieszka patrzyła za nim, aż zniknął w zagajniku.

— Mama, ta mapa musi zostać — rzekł Kazik, gdy wróciła do izby. — Ściana ma pod nią ciemniejszy kolor. Żandarmi poznają, żeśmy coś zdjęli.

— Okręćcie ją na drugą stronę — zdecydowała.

— Tata! — krzyknął od okna mały Zych. — Niesie łososia.

Wróciłem w sam czas. Dowiedziawszy się co zaszło, zapytałem bez zwłoki:

— Gdzie Kubiczek?

— Poszedł nad morze — odparła moja żona i wyciągnęła mnie na korytarz. — Co to będzie? — szepnęła. — Tyle ludzi z naszej wsi kryje się w bunkrach przed volks- listą i wojskiem. Przy dzieciach nie chciałam o tym mówić...

— Tych kryjówek nie wolno Niemcom zdradzić, choćby grozili, że utną nam szyje — powiedziałem i zajrzałem do pokoju Kubiczka. — Trzeba stąd usunąć łóżko. Zamienimy tę izbę w sieciarnię. Nanosimy sieci, a na ławkę położę łososia. Wprowadzę tu żandarmów, żeby im rozum pomieszał.

— A jak nie dadzą się ogłupić?

— Już moja w tym głowa! Będą tańczyć, jak im zagram. Siądę z chłopcami do robienia sieci. Zobaczysz, złapiemy w nią te grube ryby z Pucka. Wszystko sobie dobrze obmyśliłem. Urządzimy teatr, jak się patrzy.

— Mam sprzątnąć kuchnię?

— Raczej rozrzuć jeszcze trochę papierów po podłodze. Wiadoma rzecz, że gdzie dzieci, tam i nieporządek. Niech myślą, żeśmy nie spodziewali się rewizji.

Ledwieśmy się uporali z robieniem nieporządku, ledwie wziąłem kleszczkę do ręki, Agnieszka, wyglądająca co chwila zza firanki, oznajmiła:

— Zajechało auto.

Wysiadło z niego trzech umundurowanych drabów. W korytarzu zadudniły ciężkie buty. Gospodyni niby to z ciekawości uchyliła drzwi.

— ■ Mąż w domu? — komendant powiatowej policji wkroczył do przestronnej kuchni.

— W domu — cofnęła się i stanąwszy przy piecu zaczęła szybko mieszać chochlą kaszę w garnku.

Spojrzeli na czwórkę sieciarzy, wybałuszyli oczy na polskie obrazy.

— Co to za portrety? — zapytał Molier.

Agnieszka dmuchnęła do garnka, zdjęła go z ognia.

— Ojciec Goethego — wskazała chochlą wizerunek Piotra Skargi.

— A ten gruby z wąsami? — rzucił okiem na Sobieskiego.

— Zięc kurfirsta.

— Jakiego kurfirsta?

— Tego, co miał długie włosy.

Komendant ruszył pod przeciwległą ścianę. Wisiał tam Hołd pruski.

— Matejko — zaczął sylabizować litery napisane kiedyś przez samego gospodarza.

— Co to za napis?

— To już nie nasz obrazek. Komornik go zajął i coś tam napisał.

— Kiedy?

— O, jeszcze przed wojną. Ale dotychczas po niego nie przyszedł.

— I nigdy nie przyjdzie! Powiedźcie, co to malowidło przedstawia.

— Nie wiem. Dostaliśmy je od teścia, lecz i on nie wiedział, tylko ten lekarz wojskowy, co zapisał mi krople na żołądek. Kupiłam je w Pucku i pomogły mi. Dałam mu za to łososia, bo co miałam lepszego dać? Pieniądzy nie chciał...

— Pytam, co jest na tym obrazie!

— No przecież mówię. Ten lekarz był w cywilu pastorem. Mądry człowiek! Gadał, że tak wyglądało Tabaks- kollegium u jednego wielkiego króla.

— Nareszcie się dowiedziałem!

— Lepiej późno niż wcale — odezwałem się nie przestając wiązać sieci.

Komendant z obu podwładnymi podszedł do stołu.

— Wiesz, kto ja jestem?

— Żołnierz! Ci dwaj też wojskowi. Znam się na tym.

— A o żandarmach słyszałeś?

— Nie tylko słyszałem! Widziałem ich za młodu. Jeździli w błyszczących pikelhaubach. Jak wjechali

na pięknych gniadych koniach do naszej wioski, to chłopaki zaraz w nogi, aż pięty im grzechotały.

— I ty masz zwinnych chłopców — znudzony Molier zaczął przypatrywać się moim synom. — Bardzo zgrabnie robią sieci. Miło patrzeć na taką robotę.

—! Robią, bo muszą — wzruszyłem ramionami. — Fesz- majster chce, żebyśmy łowili dużo łososia. Sam nie nadążę wiązać sieci. Dobrze, że mamy we wsi dobrego nauczyciela. Patrzy przez palce, jak chłopaków zatrzymam w domu do pracy. Dam mu też za to dobrego łososia. To będzie dla niego niespodzianka.

— Czemu te sieci mają takie duże oczka? — zdziwił się po chwili. — Przecież przez -nie uciekną ryby.

— Łososie? To duże sztuki! Nie widziałeś nigdy łososia?

— Podobno mają dobre mięso?

— Palce lizać! Żeby się tylko połowy udały, dałbym ci jednego, bo rozmowny z ciebie człowiek, a ja też lubię dużo gadać!

— Zdążyłem się przekonać, że nie masz leniwego języka. Chyba przychodzi do ciebie na pogawędki dużo ludzi, skoro się tak nauczyłeś gadać. I to po niemiecku!

— Przychodzi wielu. Najwięcej to żołnierzy. Wszystkim łososi dać nie mogę. Jakbym za wiele wyniósł z portu, to by Lachmund wziął mi kartę rybacką. Ty go nie znasz! Nie wiesz, co to za człowiek!

— A rybacy cię odwiedzają?

— Wiadomo. Smutno nam tu nie jest.

— I o czym tak sobie gadacie?

— Różnie bywa. Zależy z kim! Żelk, ten przychodzi, nim jeszcze bliżej zapalą. Zaprze krzept w ciepły piec i opowiada stare dzieje. Nieraz takie dziwy prawi o duchach, aż się chłopcy boją. Styn? Ten znów nie nakopał zawczasu torfu. Myślał, że w zimie dostanie węgla, a tu masz. Węgla nie ma! Więc też się u nas przy piecu grzeje. A jak przyjdzie Glembin, to żona postawi im pod piec stół i grają w karty do północy, a ja z chłopakami robię sieci.

— Nie chodzi mi o tych graczy. Powiedz mi, czy czasem w nocy ktoś nie zapukał do twych drzwi, by się

o coś zapytać?

— W nocy? — podrapałem się za uchem. — A jakże. Raz z wieczora dmuchnął wiatr od morza. Położyłem się spokojnie do łóżka, bo wiedziałem, że rano nie wypłyniemy. Zasnąłem jak kamień. Aż tu mnie o północy zacznie żona szturchać w bok: “Słyszysz? Ktoś dobija się do drzwi”. Skoczyłem na

równe nogi. Otworzyłem drzwi

i zobaczyłem w ciemności jakiegoś drągala. “Kto to?” — przestraszyłem się. “To ja z moją maszoperią” — odezwał się ten wysoki i dopiero poznałem, że to Juliusz Jeka z kilkoma rybakami.

— Czego chcieli o tej późnej porze?

— “Drehu, pilnujemy naszych żaków — rzekł. — Morze ich tak szybko nie wyrzuci, bo fala wzrasta powoli. Do domu mamy daleko, tedy u ciebie się zagrzejemy...”

— Nie chodzi nam o rybaków, tylko o to, czy nie zachodzą do ciebie w nocy bandyci z lasu!

— Bandyci? Słyszałem i o bandytach.

— Od kogo?

— Od mojej babci. Powiadała mi, że zbóje zabili kupca, co jechał przez las. Zabrali mu pieniądze, które miał w rzemieniach. Trupa zagrzebali w liściach, ale go znaleziono. Potem się okazało, że to nie byli bandyci, tylko szmacciarz. Kupił sobie dwa piękne siwki i to go wydało. Był wtedy w Pucku mądry żandarm. Wsadził pikelhaubę, siadł na konia i pojechał do szmacciarza. Przywiązał mordercę do końskiego ogona, jego babę też. Zawiózł ich do Wejherowa. Jak ich ścięli, wyszło na jaw, że szmacciarzka była gorsza jak jej chłop, bo jego głowa leżała spokojnie, a jej skakała po ziemi.

— Nie pleć mi bajek — zniecierpliwił się Niemiec. — Odpowiadaj na pytania jedynie “tak” lub “nie”. Skradł wam kiedy kto kurę?

—■ Skradł — wiązałem sieć, jakby to badanie nic mnie nie obchodziło.

— Kto był tym złodziejem?

— Lis.

Pokręcił głową i karcąco popatrzał na podwładnych, którzy walczyli z ochotą do śmiechu.

— Wiesz, gdzie tu w pobliżu są bunkry? — zapytał mnie wprost, bez dalszego kołowania.

— Wiem — uśmiechnąłem się beztrósco. — Pewne, że wiem.

— Możesz nam je pokazać?

— Mogę.

— Nareszcie się dogadaliśmy. Chodź z nami!

— Gdzie moje pantofle? — rozejrzałem się dokoła. — Szukajcie, chłopacy! W “łaczkach” przecież nie mogę iść. Śnieg pada na dworze.

— Tu ich nic ma — Agnieszka uklękała i zaglądała pod łóżko. — Nic nie widzę.

— Muszą być! — upierałem się. — Wleźcie tam, dzieci. Na pewno ktoś pchnął je pod ścianę.

Kazik, Janek i Zych wsunęli się pod siennik jak ścigane lisy do dziury. Gospodyni wygarniała miotłą śmieci spod szafy. Ja przerzucałem sieci pod stołem.

— Przepadły jak kamień w wodzie — mamrotałem. — Może w drugiej izbie?

Białka rzuciła miotłę, poszła do sypialni. Za nią ruszyłem ja, a za mną trzech żandarmów. Klękli każdy z innej strony i zaglądali pod łóżka.

— Ani śladu — rzekła moja żona.

— Tu też nie — podniosłem się z klęczek i spostrzegłem, że komendant otwiera nocny stolik, a żandarmi przerzucają ubrania w szafie. Zawołałem: — Tam przecież nie znajdziesz moich pantofli! Powariowaliście? Starzy żołnierze a tacy głupi!

— Mogłyby tu stać trzewiki — tłumaczył Molier.

— Na trzewiki nie wystarczy mi punktów, Dzieci za wiele drą. Skorznie zostawiłem na kutrze. Muszę znaleźć te pantofle!

— Zobaczymy w sieciach — zaproponowała gospodyni.

— Nie ibyłem tam dzisiaj, bo zimno jak w psiarni, ale zajrzeć nie zawadzi — poczłapałem do pokoju Kubiczka i zacząłem grzebać w sieciach.

— Lachs? — komendant idący krok w krok za mną wlepił oczy w srebrnego łososa na ławie.

— Chciałem go dać szkolnemu z Chłapowa.

— Mnie by się bardziej przydał — zauważył półgębkiem mój towarzysz.

— Tak mówisz? — potarłem kark. — No to weź go sobie! Mamy dopiero początek łososiowej pory. Dla nauczyciela chyba jeszcze złowię innego. Tylko tym dwom nic nie mów! Jak oczy nie widzą, to serce nie boli. Wychodźmy stąd, nim tu przyjdą. Ja wam pokażę te bunkry, a tymczasem żona ci go zapakuje.

— Gut — poklepał mnie po ramieniu i wróciliśmy do kuchni.

Poszeptałem na stronie z Agnieszką. Żandarmi podejrzliwie na to patrzeli, ale komendant śmiał się w duchu pewny, że owinął mnie dokoła palca.

— Zejdę teraz do piwnicy — oświadczyłem. Zdaje się, że tam będą moje pantofle.

— Ja jeszcze tu okiem rzucę — powiedziała żona.

— A ja pójde z wami — rzekł Niemiec.

W ciemnawej piwnicy stała beczka z kilkoma śledziami na dnie. Molier przechylił ją na bok. Zabulgotała laka.

— Co tu przechowujesz?

— Śledzie. Miałem ich pełną beczkę dla mojej rodziny, ale wiesz, jak to jest! Co dzień prawie żołnierze do mnie przychodzą. Rozdałem im, bo każdy chce coś posłać do domu.

— Znalazłam — białka rzuciła mi na dół parę drewniaków.

Tocząc się po schodach łomotały głucho.

— Gdzie były? :— podniosłem zgubę.

— Za piecem! Suszyłeś je tam. Nie wiesz, chłopie, że żyjesz. Kiedyś zapomnisz jeszcze, jak się nazywasz!

— Pójdziemy — wsunąłem stopy w niezgrabne obuwie.

Wyszedszy na dwór spojrzałem na niebo.

—» Wiatr wykręcił do ostu. Będzie mróz.

— Prowadź do bunkrów — porucznik tupnął lakierowanym butem. — I nie krzycz tak, do licha!

— Szumi wiatr, ryczy presk. Trzeba głośno mówić. Chodźcie, chodźcie ipredko. — Dróżką przez młody zagajnik poprowadziłem ich ku skarpie wysokiego brzegu, oddalonej o sto metrów od naszego domu.

Śnieg wciąż prószył. Huczały fale.

— Daleko te bunkry? — szepnął komendant, gdy wyszliśmy z lasu.

— Tu, gdzie to zwałisko — wskazałem palcem w bok.

Wyciągnął i odbezpieczył rewolwer. Żandarmi zrobili

to samo. Z bronią w ręku ruszyli naprzód. Podeszli do bunkra cicho; jakby chcieli chwycić wróbla. Na krawędzi starego okopu zgarbili się, wymierzili lufy. Ostrożnie zajrzeli do zawalonego schronu i jak na komendę odwrócili zdziwione twarze w stronę zwierzchnika.

— Pusto!

Tłumiąc śmiech patrzyłem w przeciwną stronę, na morze, gdzie jakiś kuter walczył z falami.

— Donnerwetter! — rozzłościł się Molier. — Tu nie ma żywej duszy! Gdzieś nas zaprowadził?

Szukamy takich bunkrów, w których siedzą ludzie!

— Tutaj też czasem siedzą — obejrzałem się z flegmą. — Żebyście przyjechali jesienią, byłoby ich pełno w tej dziurze.

— Jesienią? Kto gdzieździł się jesienią w tym bunkrze?

— Rybacy pilnując żaków kryli się tu witenczas przed wiatrem. Teraz w zimie nikogo tu nie widziałem.

— Nie warto głupiego pytać o drogę. — Porucznik zwrócił się do podkomendnych. — Ten potrafi tylko łososie łowić, o innych sprawach nie ma pojęcia. Wracajcie do samochodu. Ja wstąpię jeszcze do niego. Muszę załatwić ostatnią formalność.

W kuchni skwapliwie dopełnił tej formalności: zabrał opakowanego łososia.

— Heil Hitler — podniósł na pożegnanie żandarmską łapę i aż do końca wojny, ku radości ukrywających się chłapowian, których liczba wzrosła do dwudziestu pięciu, już się więcej w naszej wiosce nie pokazał.

— Szkolny Hermann bił dziś naszego Kazika — za- szlochała jedenastoletnia Wanduszka wróciwszy w listopadzie 1943 roku z chłapowiskiej szkoły. — Bił na zabicie! Wszystkie dzieci płakały.

Żona moja zbladła jak płótno.

— Za co go tak katował?

— Kazik podobno nauczył -dzieci jednej polskiej piosenki, więc go zbił, a potem zamknął w klasie.

— Jezus Maria! Skąd się o tym Hermann dowiedział?

— Wielżeński szkolny złapał Wacka Adasa i Franka Licowa, gdy podczas przerwy śpiewali tę piosenkę. Ze strachu wydali Kazika. Wtedy zatelefonował do gestapo. Gestapowcy nakazali nauczycielowi przytrzymać chłopców, aż po nich przyjadą.

— Przecież już półtora roku mieszkamy w Chłapowie i Kazik tu chodzi do szkoły.

— To było jeszcze w czterdziestym roku, zanim się tu przenieśliśmy z Wielkiej Wsi.

— Co to za piosenka?

— Śpiewają ją teraz w całej okolicy — powiedziała córka i zanuciła cichutko:

Kiedy ranne wstają zorze,

Hitler zabrał nam Pomorze, odebrał nam Kongresówkę, wypędził nas na wędrowną...

— Przyznał się Kazik, że to on jej nauczył wielżeńskie dzieci? — zapytałem.

— Nie — szepnęła Wanda. — Dlatego Hermann bił go i kopał, aż krew mu poszła z ust, z nosa. Krzyczał nad nim, że będzie powieszony.

— Taki pracowity, zdolny, posłuszny chłopiec... — lamentowała Agnieszka. — Zapowiadał się na dobrego rybaka, a teraz nam zginie. Idź do Hermanna. Uproś go, żeby puścił naszego syna.

— Ten przeklęty hitlerowiec nie da się uprosić! — pokręciłem smutnie głową. — Pójdę poradzić się rybaków. Może po drodze wpadnę na jakiś szczęśliwy pomysł.

Kiedy szedłem w stronę Chłapowskiej szkoły oddalonej

0 półtora kilometra od naszego domu, niebem ciężko płynęły ołowiane chmury, a sfalowane morze groźnie szumiało. Żadna z myśli przychodzących mi do głowy, nie nadawała się do urzeczywistnienia. Spotkani Kaszubi również nie umieli mi nic trafnego doradzić. Tuż przed wsią natknąłem się na starego rybaka Andrzeja Wrosza. Miał już ósmy krzyżyk na plecach, ale za młodu był człowiekiem rosnym, silnym, wygadany i nikomu nie pozwalał pluć sobie w kaszę.

—■ Idę akurat do ciebie — powiedział. — Ten grom Hermann morduje ci chłopaka. Bije go bez miłosierdzia. Przed chwilą przechodząc koło szkoły słyszałem płacz

1 wołanie o pomoc, o ratunek.

Ze złości raz po raz zażywał tabakę i podnosił w garści róg, jakby chciał nim lunąć szkolnego w łeb.

— Masz ten nóż — lewą ręką wyciągnął z kieszeni sztylet. — Wsadź go znienacka w piersi temu komturo- wi. Klinga jak brzytew, Hermann nawet nie chrapnie! Zabij go póki czas. Inaczej czarni porwą ci syna, a łatwiej diabłu wyrwać duszę niż im niewinne dziecko.

— Łatwo się to mówi: zabić, ale co potem?

— Uciekniesz z chłopakiem do Bielawskiej Puszczy. W bunkry. Tam cię nie znajdą, jak i wielu innych nie znaleźli. Boisz się? Szkoda, że ja taki stary. Załatwiłbym się z tym gromem. Mój Kuba poszedłby z tobą, ale dopiero wieczorem wróci do domu. Razem zakatrupicie kwekra.

— Za taką rzecz Niemcy mogą wymordować całą okolicę — powiedziałem zatrzymując się, bo zobaczyłem Józefa Boldę, który razem ze mną wypływał na połowy. —

Mają w Wielkiej Wsi sporo policji, straży wybrzeża i wojska. Zajadą samochodami, zrobią obławę, wystrzelają ludzi jak w Piaśnicy.

— To prawda, drehu — rzekł Wrosz — ale bez ryzyka ten chłopaczek zginie! Zawsze gdy mnie spotkał, pozdrowiał mnie grzecznie. Chętnie z nim rozmawiałem. Mówił o połowach jak stary rybak. Trzeba go ratować!

— Trzeba, byle nie tak jak chcecie — wtrącił Bolda, — Za Wilusia pobiliście żandarma i czmychnęli, a reszta chłaiłowiczów miała spokój. Teraz inne czasy i inaczej trzeba postępować. Czarni zajechawszy po Kazika z pewnością wiStąpią do ciebie. Pokaż im łososa i języki zaczną im się kręcić w odwrotną stronę.

— Żeby to, bracie, miał łososa! — westchnąłem.

— Przyniosę ci dwie połówki — przyrzekł Bolda i doradził mi, co mam z tym fantem zrobić.

Plan jego, sprytnie obmyślony w każdym szczególe, uznałem za doskonały. Obawiałem się jedynie, że gestapowcy zajadą wpierw do Hermanna, który nastawi ich do mnie wrogo i wyolbrzymi “przestępstwo” mego syna.

— Mieszkam za wsią, nim do mnie trafiają, sprawa może wziąć zły obrót — zmartwiłem się nie na żarty.

— I na to znajdzie się sposób — uśmiechnął się Józef. — Przyniosę ci dwie połówki łososa, a potem pójdę szoisą do Wielkiej Wisi, naprzeciw tym diabłom. Jak zapytają mnie o drogę, skieruję ich prosto do ciebie zamiast do szkoły.

— Byłeś nie zaszedł zbyt daleko, bo przegapisz ich auto.

— Będę na nie czekał przy Starniowym Żłobie.

Rozeszliśmy się każdy w swoją stronę, tylko stary

Wrosz został na drodze i zażywając tabaki pomstował, że szkoda dla purtków bałtyckiego króla ryb.

W domu powiedziałem żonie, cośmy uradzili. Niebawem Józef przyniósł w karzni dwie paczki i odszedł na “posterunek” przy Starniowym Żłobie. Widzieliśmy z okna, że siadł na skarpie nasypu autostrady i wypatrywał nadjeżdżającego samochodu piekielników. Siadłem przy stole, otworzyłem butelkę z atramentem. Zacząłem na jednej z paczek pisać wymyślony adres: An Herm Dr. Kurt Lehmann, Obersturmbannfilhrer, Berlin S/W. Zos- sner Strasse 5...

Taką pułapkę polecił mi zastawić mój mądry maszop. Gestapowcy zobaczą, że wysyłam paczkę do jakiejś grubej ryby. Oby tylko nie sprawdzali, czy pod tym adresem mieszka w Berlinie jakiś doktor Lehmann. Wyszłoby bowiem wtedy szydło z worka.

— Nie widać ich? — podszedłem do Agnieszki czuwającej przy oknie. Właśnie na szosie ukazał się samochód.

Józef jak duch wysunął się na drogę. Ręce głęboko wsunął w kieszenie kurtki i ruszył w kierunku władysła- ■yowskiego portu.

— Żeby się tylko przy nim zatrzymali — szepnąłem do żony.

— Zwalniają — ścisnęła mi dłoń.

Zobaczyliśmy, że ktoś wytknął głowę z auta, a Józef wdał się z nim w rozmowę i zaczął machać ręką w kierunku naszego domu.

— Udało się! — mruknąłem z zadowoleniem.

Rozwinąłem “na przynętę” jeden z Józefowych pakunków, wziąłem pióro, stanąłem przy drugiej paczce, zabrałem się do pisania nadawcy.

— Eeil Hitlerl — do izby weszło dwóch cywilów.

Skrobałem piórem nie zwracając na nich uwagi. Podeszli do stołu. Przeczytali adres.

— Co macie w tej paczce? — zainteresował się jeden.

— Połówkę łososa — odrzekłem.

— Któż to jest ten doktor Lehmann? — zapytał drugi.

— Wielki pan, ale dobry człowiek.

— Gdzieście go poznali?

— Przyjechał z wujkiem na urodziny mojego najstarszego syna. Wujek jest jego chrzestnym ojcem.

— A gdzie wasz syn?

— Jeszcze dziś nie wrócił ze szkoły, a czekam go niecierpliwie, bo miał tę paczkę zanieść na pocztę.

— Nie wiecie, co się stało? |

— Może panu nauczycielowi krowę pasie.

— Kim jest wasz wuj?

— ■ Majorem. *

— W jakiej formacji?

— Komenderuje berlińskimi żandarmami.

— Od dawna służy w żandarmerii?

— Ze czterdzieści już lat. Moja matka opowiadała, że został żandarmem w tym roku, kiedy ja się urodziłem.

Z początku nie miał wysokiej rangi. Dopiero führer zrobił go majorem. Bo hakenkrojc dawno już nosił.

— Also ein alter Kämpfer? — A więc stary wojak? — zakrzuszył się, jakby połknął żywego jeża. :—
Macie nie byle jakich krewniaków.

— Popatrz, żonko, czy syn ze szkoły nie wraca — poprosiłem Agnieszkę. — Zdaje się, że ktoś idzie.

— To nie on — pokręciła głową. — Co też tam może robić tak długo?

Gestapowcy porozumieli się wzrokiem. Starszy przełknął ślinkę:

— Co zrobicie z drugą połową łososia?

— W Wielkiej Wsi kwateruje jeden Oberleutnant. Dawno już przyrzekłem mu kawał łososia. Dzisiaj akurat mam rybę, więc dotrzymam obietnicy.

— Z tym się nie pali — wtrąciła białka. — Wyjechał na urlop w rodzinne strony. Był tu, żeby się z tobą pożegnać, ale cię nie zastał.

— Skąd on pochodzi? — rzucił jeden z cywilów.

— Mówił mi, ale zapomniałem — zmarszczyłem czoło w namyśle. — W życiu dalej niż w Pucku nie byłem.

— Nie zostawił wam adresu, żebyście mu ten delikates przesłali do domu?

— Nie, a szkoda. Nie miałbym teraz kłopotu, co z tą połówką zrobić.

— Daj ją tym panom — poradziła Agnieszka. — Niech mają pamiątkę po odwiedzinach u rybaka.

— Dobry pomysł! Zapakuj go. Ja muszę iść na pocztę, bo naszego chłopaka jakoś nie widać —
zabrałem paczkę i ruszyłem do drzwi.

— Poczekajcie — zatrzymali mnie. — Jesteśmy z Geheime Staatspolizei. Przyjechaliśmy po waszego syna.

— Chcecie mi chłopca wziąć na arbeitsamt? — staną

łem niby to zaskoczony nowiną. — Za młody jeszcze na to, żeby go posłać do roboty.

— Ale na tyle rozgarnięty, żeby uczyć w szkole śpiewu?

— Od uczenia jest nauczyciel.

— Chodzi o to, że wasz syn uczył kolegów śpiewać po polsku.

— Przecież teraz u nas szkoli się dzieci tylko po niemiecku.

— Ciężko rozumiecie, choć macie wuja majora w policji. Posłuchajcie — wyjął notes i zaczął czytać, kalecząc polski język: — Kiedy ranne wstają zorze, Hitler zabrał nam Pomorze...

— Znam tę piosenkę — roześmiałem się kiwając głową. — Słyszałem już dawno temu, jak śpiewał ją z chłopakami, kiedyśmy po połowie śledzia opróżniali sieci. Było wtenczas śledzi co niemiara.

— W jakim roku?

— Pamiętam, że fihrer zajął wtedy Sudetenland. Wszystkie gazety trąbiły o tym zwycięstwie.

— A więc to zwykły Kinderstreich — orzekł Niemiec i polecił koledze, by przywiózł Kazika do domu, a nauczyciela upomniał za wywołanie niepotrzebnego zamieszania z powodu dziecięcego figla.

Potem coś długo pisał w notesie. Zapakowałem tymczasem łososia. Żona zaś z okna kuchni, skąd widać było Chłapowo, niespokojnie wypatrywała auta, którym syn miał wrócić.

— Czy wuj z Berlina jeszcze was kiedyś odwiedzi? — zapytał gestapowiec.

— W lipcu lub sierpniu — skłamałem jak z nut. — Lubi się latem kąpać w morzu. Szkoda, że wtenczas nie będzie łososi. Ale pewnie zaczniemy łowić węgorze.

Za szybą zawarczał samochód. Nie obejrzałem się ku oknu. Udawałem, że “błaha” sprawa mego chłopca wcale mnie nie przejmuje.

— Przyjechał wasz syn — nieproszony gość podał mi rękę, wziął paczkę pod pachę i wyszedł.

Odjechali.

— Takiś blady! — Zapłakana Agnieszka uściskała i wycalowała odzyskanego chłopca. — Żebyś mi się tylko nie rozchorował! Co z tobą robił ten szkolny?

— Zbił mnie do krwi — powiedział Kazik — ale ten co po mnie przyjechał, bardzo go za to skrzyczał i kazał mu, żeby mnie natychmiast umył. Nie płaczcie, mamó. Nic mi nie będzie.

Otarła łzy i spojrzała na mnie:

— Chyba nie będą sprawdzać tego, coś im nakłamał?

— Cała sprawa wywietrzeje im z głów, skoro tylko zjedzą naszego łososia — uśmiechnąłem się.

Wieczorem zasiedliśmy z Boldą i Wroszem do stołu, na którym znalazła się herbata, chleb, druga połówka łososia i butelka z wódką.

— Niemiec jest głupi, tak na zimku jak w jesieni. — Józef trącił się ze mną kieliszkiem. — Hermann spuścił nos na kwintę. Daliśmy szkolnemu nauczkę!

A stary Andrzej życzył Niemcom z głębi serca:

— Żeby wnet już zjedli ich diachli tak, jak oni zeżrą jutro naszego łososia! Gromy siarczyste! Dla nas wstaną ranne zorze, a dla nich zacznie się pobór do piekła!

Za domem gnał na brzeg fale północny sztorm. Agnieszka układała dzieci do snu.

Czy dobrze trafiłem? — starszy, niewysoki mężczyzna wszedł do kuchni, gdzie patroszyłem okazalego łososia. — Silis, Obergerichtsvollzieher z sądu w Gotenhausen — "przedstawił się otwierając tekę. — Mam tu akta, według których jesteście nam winni cztery tysiące marek.

— To chyba pomyłka — odpowiedziałem. — Nigdy nie zaciągałem długu.

— ■ Sprawa dotyczy pożyczki na dom w Helu.

— Tę wziąłem w gdyńskim Banku Rolnym. Nie zwróciłem jej, bo w trzydziestym dziewiątym roku wysiedlono mnie z mojego domu. Obecnie zarabiam ledwie na życie. Żywię siedmioro dzieci i siedzę na komornym.

— Zgadza się! — podniósł głos, bo zagłuszały go dzieci hałasujące w mieszkaniu. — Szukałem was w Helu. Chciałem ściągnąć należność od waszego następcy, ale oświadczył mi, że nie zapłaci, gdyż nie wiadomo, czy ten dom zatrzyma.

— Nie głupi! Wie, co się święci. Przyszliście tu podobno na tysiąc lat, a już po pięciu zrobiło się wam ślisko — įskinąłem na Agnieszkę, żeby usunęła z izby rozdokazywaną dzieciarnię. — Sądząc po akcencie pochodzi pan ze Szlezwiku?

— Z Rendsburga, znad Kanału Kilońskiego — wyjaśniał coraz uprzejmiej tonem. — Najchętniej wróciłbym tam jeszcze dziś. Choćby pieszo!

— Dlaczego?

— Rosjanie są w Prusach Wschodnich, stoją pod Warszawą, przeszli Wisłę koło Warki. Gdy front się zbliży, tutejsi ludzie mogą nas z zemsty wymordować.

— Wyrządziliście nam wiele krzywd, ale Polacy nie są mściwi.

— Wszystkiemu winien Hitler! — zamruczał. — A teraz Bóg wie, co nas spotka — zerknął na patroszoną rybę. — W miastach już szerzy się głód.

— Zjadłoby się łososia?

— Ba!

— No, to podzielę się z panem.

— Bardzo będę za to wdzięczny, lecz wpierw załatwmy urzędową sprawę. Proszę mi tylko krótko oświadczyć, że pan nic nie posiada.

— Jak to nic? — zaprzeczyłem. — Mam siedmioro dzieci! Te chyba jednak nie mają dla was wielkiej wartości. Do Hitlerjugend nie należą. Gadają po polsku.

— Będzie się im lepiej wkrótce powodzić niż naszym. Ale do rzeczy! Napiszę, że nie znalazłem u was niczego do zajęcia.

— Ani za co, bo nic wam winien nie jestem.

— Szczerze mówiąc, nie. Takie jest moje osobiste zdanie. Ci jednak panowie, którzy w Gotenhafen likwidują Bank Rolny i Bank Gospodarstwa Krajowego, inaczej myślą. Polecono mi ściągnąć wszystkie zależności od dawnych dłużników.

— Musi się pan bardzo spieszyć, bo czasu mało. Napije się pan herbaty? Moja żona zaraz poda do stołu.

— Dziękuję — zamknął tekę. — Czas mi ruszyć w dalszą drogę.

— Dokąd? — wręczyłem mu ćwiartkę łososia.

— Niejaki Johann Selke winien jest cztery tysiące marek — powiedział biorąc łapówkę bez zmrużenia oka.

— Żelk — poprawiłem. — Dostał te pieniądze w Banku Gospodarstwa Krajowego z kredytu dla rybaków.

— Jest pan dobrze poinformowany. Czy jest nadzieja, że uda mi się odebrać tę kwotę? Jak się przedstawia stan majątkowy tego dłużnika?

— Ho, ho! Z pewnością bogatszy jest ode mnie. Ja mam tylko siedmioro dzieci, a on aż trzynaścioro. Najstarsze z nich to już całkiem ładne podlotki. Niech je pan obejrzy i otaksuje. Nic innego pan u Żelka nie zdobędzie.

— Daleko stąd mieszka?

— Chodźcie no tutaj — poprosiłem zaciekawionego do okna. — Widzicie tę przygarbioną checz pod strzechą? Tę, z której komina tak wali dym?

— Zakopcił pół wioski.

— U biedaka zawsze komin kopci. Żelk pali gałązkami żarnowca. Na inny opał go nie stać. Pracuje od rana do nocy, ale trudno mu wyżywić liczną rodzinę.

— Gdyby był Niemcem, dostałby wsparcie. — Silis patrzył na zadymione Chłapowo i wahał się. — Iść do tego Żelka, czy nie? Komornik też człowiek. ^

— A każdy człowiek lubi łososie — wpadłem mu w słowo. — Dam panu jeszcze ćwiartkę, ale proszę nie chodzić do Żelków. Tam nałyka się pan tylko śmierdzącego dymu. Szkoda czasu i drogi.

— Załatwione — wpakował podarunek do teki. — Uznam i ten dług za nieściągalny.

— ‘ Teraz możemy z czystym sumieniem sięść do herbaty.

Spojrzał na zegarek.

— O której godzinie odchodzi pociąg do Kuźnicy?

— Kogo znów tam zamierza pan odwiedzić?

— Niejakiego Nemroda — przekręcił nazwisko kuźni- czanina Niemuda.

Skorzystałem z tej jego pomyłki, by zażartować:

— W Kuźnicy nigdy taki nie mieszkał. Nemrod od dawna już nie żyje. Na szczęście dla siebie, bo był Se- mitą i zginąłby teraz w kacecie.

— Nie rozumiem — zdziwił się egzekutor. — Semita? Uważałem go za kaszubskiego rybaka. W moich papierach napisano czarno na białym, że Nemrod pożyczył w Banku Gospodarstwa Krajowego dwadzieścia tysięcy złotych na kutrowy motor.

— Za jego czasów o motorach nikomu się nie śniło — zaśmiałem się cicho. — Zresztą nie był rybakiem, tylko myśliwym. Ciekawe, w jaki sposób to nazwisko mogło się znaleźć na waszej liście? Możecie go szukać do sądneho dnia. Wtedy może go znajdziecie, ale w dolinie Jozafata. Na półwyspie mieszkają sami Konkole, Konkowie, Budzisz...

— Powiedzieliście Konka — znów zaczął przekładać kartki. — Mam tu (jedną sprawę do Antona Konki z Helu, zamieszkałego teraz w Jastarni.

— Spotkał go taki sam los jak mnie — kiwnąłem głową. — Pańscy rodacy wypędzili go z domu.

— Nie czuję się Niemcem — zapewnił pospiesznie. — Moi przodkowie byli Duńczykami. Chyba z tego powodu tak żywo współczuję prześladowanym Polakom — zakłopotał się i zmienił temat. — Więc kategorycznie stwierdza pan, że Nemroda w Kuźnicy nie znajdę? A do tego Konki opłaci się zajechać?

— Domu już nie ma, lecz pozostało mu jeszcze dziewięcioro małych dzieci — odpowiedziałem. — To cały jego majątek.

— Będę więc musiał zająć mu w centrali rybnej wypłaty za przyszłe połowy — zdecydował.

— Nic z tego! Słyszał pan dziś w nocy alarm? Anglicy minowali morze. Połowów już chyba do końca wojny nie będzie. Śmierć czyha na łowiskach. Wy też nic nie ułowicie ani tu, ani w Jastarni. Najlepiej na tym Nemro- dzie i Końce postawcie krzyżyki.

— Zmarnowałem tyle czasu na darmo.

— Nie całkiem. Podaruję wam resztę łososia, żebyście nie żalowali dzisiejszej podróży. Potem wypijemy sobie po jednym i wykreślicie dłużników z listy. Innego wyjścia nie widzę.

Zgodził się na moją propozycję. Wypił dwa kieliszki, wykreślił dwa nazwiska i z wypchaną teczką ruszył na stację.

— Ledwie nie pękła ze śmiechu, gdyś gadał o tym Nemrodzie — zaśmiała się Agnieszka po wyjściu komornika. — Co to był za chłop?

— Jeden taki ze Starego Testamentu — wyjaśniłem. — W rzeczywistości chodziło o Ryszarda Niemuda z Kuźnicy, ale chyba pan Bibrowicz, zatrudniony w likwidowanym Banku Rolnym, umyślnie przekręcił to nazwisko, żeby Niemcom narobić bigosu.

— Czy to prawda, że do końca wojny nie będzie już połowów?

— Skąd? Anglicy minują tylko płytkie wody Zatoki Gdańskiej.

— Jak się ten dzekutnik o tym dowie, gotów znów przyjechać po drugiego łososia.

— Generał von Kluge też miał taki zamiar, ale Hitler mu przeszkodził.

— Jak to Hitler?

— Kazał go sprzątnąć za udział w generalskim puczu. Pamiętasz, jak ten nieborak szukał pieniędzy po kieszeniach?

— Dwunastu marek nie miał przy duszy przypomniała sobie. — Musiał pożyczyć od adiutanta.

— Tanio mu sprzedaliśmy tamtego łososia — kiwnąłem głową. — A wiesz, ile za swego zapłacił pan Silis? Ponad trzydzieści tysięcy!

Dnia szóstego maja 1944 roku Chowenców Jank, czyli Jan Ciskowski, rybak z Chłapowa otrzymał powołanie do wojska.

— Masz czegoś chciał — żaliła się jego żona Berta. — Żebyś nie przyjął grupy, nie musiałbyś teraz nadstawiać swych suchych pleców za zwariowanego gefrajtra. Ubiorą cię w mundur, przypną ci rozkraczoną wronę! Będiesz wyglądać jak wysuszony dorsz. Byłeś chłop jak róża. Dziś dać ci tylko kosę i możesz zatrudnić się jako śmierć. Roboty ci nie zabraknie. Na froncie żniwo w pełni.

— Nie dokuczaj mi, białko — bronił się Kaszuba. — Sama wiesz, jak było. Kto nie podpisał listy, tego wywieźli na poniewierkę do Niemiec.

— Przez cztery lata odmawiałam co dzień cząstkę różańca, żeby Hitlera diabli wzięli, a ty będziesz walczył za tego antychrysta.

— Ciężej mi niżli skazanemu na śmierć. Szukaj, białko, jakiejś rady.

— Rady? Musisz umierać!

— Mam zginąć, zostawić ciebie, synka, nasz nowy dom? Chcesz być wdową? Żartujesz chyba?

— Umierać nie znaczy umrzeć! — wciąż jeszcze zła na cały świat zaczęła mężowi tłumaczyć: — Położysz się, chłopie, do łóżka i będziesz stękać. Na krześle przy twojej głowie postawię gromnicę, kropidło i talerz ze święconą wodą.

— Maria Józef — przeżegnał się ze strachem.

— Czego się boisz? Wolisz zmykać przed ruskimi czołgami? Lepiej zrób, co ci radzę. Legnij na śmiertelnym posłaniu, ja pojedę do Pucka po lekarza. Powiem mu, że umierasz. Przyjedzie, obejrzy cię, wystawi zaświadczenie, że nie możesz opuszczać łóżka. Grunt to papierek! Szurnę z nim do Wejherowa i wręcę go majorowi z Be- zirkskommando.

— A jak doktor się pozna, że tylko udaję chorego?

— Wprowadzę go do izby przez kuchnię, a tam będzie leżał na stole wędzony łosoś. Skoro go zobaczy, uwierzy we wszystko!

— Jesteś, Berta, najlepszą i najmądrzejszą białką na świecie! — uradował się.

— Dobrze, dobrze — zniecierpliwiała się. — Teraz marsz do łóżka! Na szóstą wieczór muszę zdążyć do Wejherowa. Każda minuta droga.

Po chwili kandydat na nieboszczyka nakryty pierzyną przebierał już paciorek różańca za paciorkiem w intencji, aby udał się podstęp zaradnej Berty, której zawsze ślepo słuchał.

Wróciła tuż po południu.

— Przyniosłam od szwagra łososa. Doktor Hoffer przyjedzie około drugiej. Połakomi się na rybkę, bo sam wygląda jak zdechła krowa.

Zabrała się do ostatnich przygotowań. Gromnica, kropidło i święcona woda były pod ręką.

— Upudruję ci twarz — przyjrzała się mężowi. — Na umarlaka masz za zdrową cerę. Przed wejściem lekarza pokropię cię zimną wodą. Jak położysz ci rękę na czoło, poczuje śmiertelny pot.

—¹ Nie boisz się, że zmierzy mi gorączkę? — zaniepokoił się Jank.

— Konającemu nie mierzy się febry — machnęła ręką. — Zresztą z pewnością zbyt się tobą nie będzie przejmował. Weźmie łososa, pieniądze i odjedzie.

— Znasz pomoc na każdą niemoc!

— Znam Niemców! Co tam dla nich znaczy życie polskiego pacjenta? Kiedy na froncie co dzień giną tysiące ich żołnierzy, a całe miasta wałą się w gruzy. Hoffer

o to się tylko martwi, żeby miał czym napchać burczący z głodu kałdun. — Wyglądziła pościel, popatrzała w ok

no. — Idzie — bryznęła wodą na rybaka. — Zaczynaj stękać! Dłoń trzymaj na plecach, jakby tam cię bolało.

Wyszła do sionki, by przyjąć lekarza.

— Lebt noch? Żyje jeszcze? — zapytał.

— Ledwie dycha — wprowadziła Niemca do kuchni.

Zaświeciły mu się oczy na widok łososia.

Pacjent, zgięty w pałąk, trzymał jedną rękę na krzyżach, drugą przebierał różaniec.

— To dla was, Herr Doktor, tylko ratujcie mi chłopca — zaszlochała wchodząc z Hofferem do izby.

— Pracował w puckiej stoczni, a teraz nie może drgnąć!

Lekarz podszedł do łóżka. Szarpnął chorego. Ciskowski krzyknął, jakby ktoś dotknął go rozżarzoną żelazem. Niemiec położył mu dłoń na czole, było mokre od zimnego potu.

— Hexenschuss — postawił diagnozę. — Postrzał. Przez tydzień nie może opuścić łóżka. Dla stoczni napiszę zaświadczenie.

Wyjął bloczek, stempel, wieczne pióro, siadł do stołu, a Berta wróciła do kuchni, żeby zapakować rybę.

Skończyła się lekarska wizyta.

— Niech mąż nie waży się wstać przed upływem tygodnia — wręczył gospodyni zaświadczenie.

Wypisał kwit za honorarium, zabrał paczkę i poszedł do samochodu. Zawarczał motor. Ciskowska przybiegła podzielić się z mężem radosną wieścią:

— Masz zwolnienie na siedem dni. Nabazgrał, że jesteś obłożnie chory. Nie bardzo mogę przeczytać jego pismo.

— Jest podpis i pieczętka?

— Jest, ale nie wiem, czy czasem nie napisał, że to dla stoczni.

— Daj no mi ten papierek. — Jank wyskoczył z łóżka. — Pójdę do sąsiada. Przeczyta, co kweker nasmarował.

Wszystko okazało się w najlepszym porządku. Późnym wieczorem Berta wróciwszy z Wejherowa mogła oznajmić mężowi:

— Załatwiłam jak należy. Tylko major, gdy wręczałam mu zaświadczenie, tak na mnie patrzył, jakby się dziwił, że w drugiej ręce nie trzymam dla niego paczki.

Gorące lato 1944 roku obfitowało w pomyślne wydarzenia: inwazja aliantów na zachodzie, Monte Cassino, wyzwolenie lubelskiego, zamach na Hitlera...

— Wylizal się czort — Jan drapał się w głowę. — Ale jego dni policzone. Nie zdążą mnie chyba zaciągnąć.

— Nie pójdziesz do wojska, choćbym cię miała wędzić w kominie.

— Mogliby tam mnie znaleźć.

— To znajdź sobie sam lepszą radę. Hofferowi zakazali wystawiać jakiegokolwiek zaświadczenia. Kogo powołają, ten musi się stawić w wojsku choćby z głową pod pachą.

— Niemcy też już tracą głowę.

— Ale nim stracą ją całkiem, mogą ci jeszcze zalać sadła za skórę.

W sierpniu, kiedy londyńskie radio zaczęło “krzepić” warszawskich powstańców nadawaniem chorału Z dymem pożarów, spełniła się przepowiednia Berty. Listowy przyniósł Jankowi nowe powołanie.

— Mam znowu umierać? — zapytał zaradnej białki.

— Teraz by ci to tyle pomogło, co umarłemu kadzidło— rzekła. — Na szczęście są jeszcze inne sposoby. Weź trzy lub cztery wędzone węgorze, zapakuj je starannie i staw się w terminie do Wejherowa. Jak zjawi się major z obwodowej komendy, dasz mu paczkę i poprosisz, żeby odroczył twe zaciągnięcie na kilka dni, bo musisz sprzątnąć sześć hektarów owsa z pola.

— Rzeknę mu, że deszcze nie pozwoliły mi dotąd owsa zwieźć — zgodził się chlapowic. — Boję się tylko, że uzna węgorze za łapówkę i każe mnie zamknąć.

— To by było nawet nieźle! W więzieniu bezpiecznie przeżyjesz ostatnie dni wojny. Ale do tego chyba nie dojdzie! Dogadasz się ze smokiem.

— Po niemiecku źle mówię.

— Sąsiad nauczy cię na pamięć tych dwóch czy trzech potrzebnych zdań.

— I myślisz, że ode mnie weźmie tę paczkę przy tyłu poborowych?

— Wyśle cię do jakiejś kancelarii i tam za tobą przyjdzie. Wiesz, kto to jest? Dziedzic z Rekowa. Łapczywy kweker! Ludzie mówią, że zawsze lubił sobie dobrze podjąć.

W komendzie przy wejherowskim dworcu pełno było kandydatów na “armatnie mięso”.

— Mam wam zawierzyć na piękne oczy? — komendant wysłuchawszy prośby rybaka zmierzył go od stóp do głowy.

Chowenców Jank przełożył paczkę z ręki do ręki.

— Dwadzieścia cztery morgi... — powtarzał wyuczone słowa — owies... zgnije na polu...

— Zbadam waszą sprawę — grubas bacznie spojrział na zatłuszczoną paczkę. — Osobiście się tym zajmę. Idźcie do sekretariatu. Za chwilę przyjdę. Pogadamy.

Chlapowic wyszedł z gwarnej, rojnej sali. Idąc mrocznym korytarzem gapił się na wszystkie drzwi, aż odnalazł kancelarię. Nacisnął klamkę. Pokój zamknięty był na klucz. Jank stanął w progu. Serce pukało mu jak armaty na wschodnim froncie. Nagle zaskrzypiały kroki. Nadszedł stary major i odebrał paczkę z rąk Kaszuby.

— Możecie iść do domu — powiedział. — Póki ja będę tutejszym komendantem, nie oblekę was w mundur. Możecie w spokoju kosić i zwozić swój owies.

Przeszło lato, minęła sztormista jesień, Ciskowski siedział w domu jak mysz pod miotłą, żeby sobie o nim Niemcy nie przypomnieli. Zimą oswobodzono Warszawę, Łódź, Bydgoszcz.

— Walki toczą się pod Malborkiem — powtarzano w rybackich checzach, gdy tłumy uciekinierów i rozbitków zaczęły zmykać przez śnieg na zachód.

Esesmani wieszali dezertersów na gałęziach przydrożnych drzew. Czarnych, brunatnych, zielonych “panów świata” porwał prąd tych dni grozy i jak rwąca woda niósł na helską mierzeję. Którejś nocy hitlerowcy zaczęli tuż przy domu Janka ryc głębokie okopy. Nad Wejherowem i Żarnowieckim Jeziorem zadudniły działa. Chlapowic znów się znalazł w opałach. Groziło mu, że mimo wszystko znajdzie się na linii frontu zapędzony do kopania rowów i padnie od kuli. Ale i tym razem mądra białka uchroniła go od śmierci.

— Uciekajmy! — w mroku nocy wyszła wraz z mężem

i synem ze swego domu i na przełaj po rozmokłych polach, wymijając kolumny Wehrmachtu, podążyła do Mie- Toszyna zajętego już przez Rosjan.

Przewaliła się wojenna nawałnica. Zniknął chudy doktor z Pucka i gruby major z Wejherowa. Ciskowscy wszakże wspominają ich za każdym razem, kiedy zagości na ich półmisku pachnący łosoś czy tłusty, wędzony węgorz.

Partyzanci znad rzeki Czarnej zapisali piękną kartę w okupacyjnych dziejach wybrzeża. Królestwem ich były torfowiska, łąki i pustkowia Bielaw, nad którymi patrolują czujne żurawie. Tam właśnie w Czarnowskim Młynie, na wiosnę 1942 roku, kiedy zaczęły się aresztowania, wywłaszczenia i wywózki związane z akcją tak zwanego Eindeutschung, włączania na narodowe listy niemieckie, powstał samorzutnie ruch oporu.

— Nie podpiszę diabelskiego cyrografu, choćbym miał skryć się pod ziemię — powiedział Leon Stencel do gospodarzy, którzy zeszli się u jego ojca, by się naradzić jak postąpić z przysłanymi wezwaniem.

— Ani ja nie będę należał do tych bojaźliwych, co się ugną i złożą podpisy na deklaracjach volkslisty — uderzył pięścią w stół Stanisław Lewicki, szwagier Leona. — Nie myślę iść do niemieckiego wojska.

— Jeśli walczyć, to za Polskę — dodał dwudziestoletni Feliks Adrian.

Rezultat tej rozmowy był taki, iż w Czarnowskim Młynie i okolicy zaczęto budować pierwsze bunkry. Kopano je pod stajniami zagród, w ostrowskim lesie, na Bielawskich Błotach. Długie korytarze wiodące pod ziemią ze schronów w gęste zarośla gwarantowały uciekinierom możliwość ucieczki. Prócz wymienionych już naszych znajomych do tych “podziemnych ludzi” należeli: Jan Stencel z Ostrowa, Józef Ratzenau ze Strzelna, Józef i Wojciech Borkowscy i Jan Płocki z Mieroszyna, Krański oraz wielu

innych Kaszubów z Krokowizny, Starzyna, Chłapowa. Liczba ich rosła w miarę, jak wzmagały się germanizacyjne zapędy okupanta. Powoli zaopatrywali się w broń. Miejscowa ludność dostarczała im żywności i ostrzegała przed wężącymi po okolicy patrolami. Urządzane obławy nie dawały wyniku.

Dopiero w 1943 roku Niemcom wydało się, że wpadli na trop. Prowadził on na Bielawy, do checzy samotnego starca Jana Bratki. Stary pasał owce na odludziu i słuchał, jak w głębi pustkowia eksplodują pociski próbnych baterii Wehrmachtu ustawionych w Cetniewie i Wielkiej Wsi. Nie przeszkadzały mu te ćwiczenia “nowej broni”, choć huk wystrzałów niepokoił ptactwo na mokradłach

1 płoszył wełniste stado. Nieraz Bratka musiał zaganiać rozproszoną beczącą trzodę. Kiedyś jednak porzucił ją na pastwę losu ujrawszy rankiem tyralierę nadciągającą od Mieroszyna.

— Obława — pobiegł do lasu ostrzec braci z zamaskowanych bunkrów.

Akcja zakrojona była na większą skalę niż którakolwiek

2 dotychczasowych. Wróg zaciskał wielki pierścień, przez który — jak sądził — nawet mysz nie mogła się przedostać. Myśliwi szli od Czarnowskiego Młyna, Parzkowa, Sulic w stronę ostrowskiego lasu. Szowinista Hanemann, który przed wojną prowadził na Kaszubach krecią robotę, przez lornetę przypatrywał się z obserwacyjnej wieży wielkiemu natarciu. Niemcy pędzili przed sobą uzbrojonych w bosaki jeńców rosyjskich i jugosłowiańskich, zabranych z okolicznych folwarków.

— Musimy się wycofać — rzekł Leon do Józefa Lachsa i Alfonsa Jęki z Tupadeł, którzy wraz z nim śledzili z ukrycia ruchy nieprzyjaciela. — Nie będziemy przecież strzelać do jeńców.

Zabrali się do odwrotu.

O jedenastej Niemcy otworzyli ogień. Samotna chata owczarza stanęła w płomieniach. Zgorzała jak zapalka. Niemcy podeszli do zgliszczy. Kazali jeńcom wygrzebać z popiołu zwęglone zwłoki partyzantów.

— Donnerwetter — zaklął Hanemann. — Same spalone barany. Wymknęli się bandyci.

— Poślę mu kulę — syknął Leon do towarzyszy ukrytych w leśnej gęstwinie.

— Za daleko — orzekł Wojciech Borkowski. — Chyba nie trafisz, ale spróbuj.

Huknęło. Przerażony Prusak rzucił się na ziemię. Hitlerowcy poszli za jego przykładem.

— Puśćmy im na postrach serię nad głowami — mruknął Lewicki.

Zaterkotała salwa z automatu. Niemal jednocześnie padło kilka strzałów od Kaczyńca. Niemcy, sądząc że otoczono ich z trzech stron, szybko wycofali się za miero- szańskie wzgórza i na dłuższy czas zostawili nieuchwytnych przeciwników w spokoju.

Wiosną 1944 roku “czamomłyńscy” połączyli się z kolegami z Sulic i Chłapowa w jedną organizację, którą nazwali Związek Bojowników o Niepodległą Polskę. Na przywódców wybrano Feliksa Hilarskiego i Władysława Szewczuka. Jedno ze spotkań związkowców miało się odbyć z początkiem maja w stodole Alojzego Stencła. O północy na wyznaczonym miejscu stawił się Leon, syn Alojzego, z dwoma towarzyszami. Kolację zjedli spokojnie, ale później przed wierzejami zagrody zauważono dwóch podejrzanych osobników. Józef Myszka ze Strzelna i jakiś jego równie zniemczony kamrat z Łebcza stali na czatach, jakby czekając nadejścia partyzantów. Należało się ich wystrzeżać, bo znali każdy kąt w tych stronach. Wkrótce Leon zobaczył żandarmów zbliżających się do młyna.

—* Pułapka — szepnął do druhów.

Nie starczyło czasu, żeby ostrzec siedmiu zbiegów kryjących się w bunkrze koło zabudowań gospodarczych. Trzej przybysze czym prędzej sprzątnęli miski, okryli się ciemnym kocem i niespostrzeżenie doczołgali się do rzeki oddalonej o jakieś sto metrów od domu.

— Na moście czyha ten purtk Hanemann. — Jeka zauważył mroczną sylwetkę dziedzica.

— Musimy pełznąć dalej w górę rzeki Czarnej — zdecydował Stencel. — Za zakrętem wsuniemy się do wody.

Wkrótce jeden za drugim zsunęli się do uregulowanej, dość głębokiej rzeczulki, pokrytej u brzegów półcenty- metrową warstwą lodu. Drżeli z zimna, paznokcie im zsiniały, lecz na wschodzie różowiła się już zorza i widoczność się polepszała, nie mogli więc wyjść z mroźnego nurtu. Skręcili

w prawo w boczny kanał. Jak trzy węgorze dotarli kanałem do ostrowskiego boru. Zziębnięci, mokrzy, oblepieni torfem znaleźli się w bezpiecznym bunkrze wśród towarzyszy niedoli.

— Najgorsze niemieckie diabły się na nas sprzysięgły tej nocy — powiedział im Leon. — Hanemann stał na moście. Widziałem też z daleka Walpera. Prowadził żandarmów do naszej zagrody. Na pewno uknuł coś złego.

Walpera sprowadził podczas okupacji z Prus Wschodnich jego stryj Walpucki, który przed pierwszą wojną miał w Pucku bazar. Ten mimo polskiego nazwiska słówka nie umiał po polsku, toteż Kaszubi woleli robić zakupy u swego ziomka Antoniego Miotka. Wobec takiej konkurencji zgermanizowany kupiec odsprzedał sklep i osiadł w Czarnowskim Młynie na zasobnym gospodarstwie należącym ongi, za polskich królów, do młynarza Hadasa. Na starość przekazał je bratankowi, zaciekłemu polakożercy. Leon słusznie się go obawiał. Podczas rewizji w chacie Alojzego Stencła on właśnie zwrócił uwagę po~ lizeimeistra Hibolta z Władysławowa na wielką ilość pieczywa...

— Co kilka dni piecze pięćdziesiąt bochenków dla tych polskich bandytów — zapewniał gorąco. — Roi się u niego od dezterterów i zdrajców.

— Jeśli tu znajdziemy choć jednego, każę starucha powiesić — ryknął policjant.

Na szczęście tym razem nie znaleziono nikogo. Kiedy żandarmi zaczęli szpikulcami kłuć ziemię dokoła budynków, któreś z ostrzy przeszło co prawda między żerdziami do kryjówki, ale jeden z jej lokatorów, Paweł Radke, podsunął zwiniętą marynarkę. Żelazo nie trafiło w próżnię. Józef Mudlaf przytrzymał je ręką i żandarm nie zgadł, że był o pół kroku od celu poszukiwań. Bez rezultatu też stu dwudziestu poszukiwaczy pilnie przetrzęsło okoliczne krzaki i wrzosowiska osnute porannymi mgłami. Jedyne w pobliżu pogorzeliska chaty owczarza Bratki spłoszyli stado saren. Innych sukcesów zabrakło.

— Himmelkreuz Donnerwetter — kłął zawiedziony rot- * mistrz Hanemann, a Walper pluł sobie w brodę, że zaplanowana przez niego akcja skończyła się fiaskiem.

Nie dał wszakże za wygraną. Po kilku dniach trzech żandarmów aresztowało Alojzego Stencła. Stary Kaszuba, żywiciel partyzantów, zginął w Stutthofie. Ze zaś równocześnie uwięziono Leona Żelka z Ostrowa i Jana Cej-

nową z Wielkiej Wsi, ludzie z bunkrów zaczęli nocami patrolować po drogach i szosach, aby nie dopuścić do dalszych aresztowań. Deptał im po piętach zagorzały hitlerowiec Pykron, którego gospodarstwo stało opodal Kłanina na skraju bielawskich pustaci. Wałęsał się z dwoma jeszcze Niemcami po łągach i zagajach. Węszył jak gończy pies. Postanowili więc się z nim rozprawić. Ciemnym wieczorem złożyło mu nieoczekiwaną wizytę czterech zbrojnych pod wodzą Feliksa Adriana.

Dobry wieczór — powiedział dowódca wkroczywszy do izby.

Pykronowie, siedzący przy wieczerzy, zerwali się od stołu. Gospodyni zaczęła krzyczeć.

— Cicho! — nakazał Adrian. — Marsz pod ścianę! Tam, pod obraz waszego fihrera. Pomódlcie się do niego, żeby wam pomógł!

Stanęli twarzami do wizerunku “genialnego wodza”.

— Gdzie broń? — zapytano gospodarza.

— Nie mam broni — zapewnił.

Rewizja dała jednak inny wynik. Józef Mudlaf podniósł poduszkę w łóżku. Znalazł nabity pistolet wojskowy i pięćdziesiąt naboí.

— Nie zabijajcie mnie, dobrzy ludzie — błagał Niemiec. — Nienawidzę Hitlera jak zarazy.

— Skoro tak, to zdejmij jego portret ze ściany — Mudlaf potrząsnął zdobytym pistoletem.

Hitlerowiec drżącymi rękami zdjął wizerunek “proroka”.

— Połóż go na podłogę — rozkazał Adrian. — A teraz włącz na niego i skacz!

Pykron podnosił stopę jak leniwy koń kopyto,

— Prędzej! — ponaglano go.

Jak pajac zaczął skakać po brunatnym wodzu, aż pryskało szkło z ramek. Jego żona i dzieci także musiały w ślad za głową rodziny podeptać “opatrnościowego męża” Trzeciej Rzeszy.

— Nastraszyliśmy kwekra — zameldował Adrian po powrocie do bunkra urządzonego w Kaczyńcu pod domem jednego z tamtejszych gospodarzy. — Przysiągł, że więcej nosa z chałupy nie wyściubi. Odechce mu się szpiegować.

— Przydałoby się jeszcze najść leśniczówkę pod Kro- kowem — rzekł Borkowski. — Tamtejszy leśny też na-

9 — Łosoś wszechwładny

szych śledzi. Warto by mu też zabrać strzelby, proch, kule.

— Przybyło do nas kilku nowych zbiegów — dodał Kilarski. — Zaprzysiągłem ich. Czekają na broń. Przynieśli niedobre nowiny. Niemcy zbroją przeciwko nam specjalne oddziały. Fangtruppen! Z Tupadeł ostatnio wywieziono rodziny Żaczków i Lachsów. Zabrano też żonę Augusta Konki z Jastrzębiej Góry, tego, co nie chciał żandarmom z Wielkiej Wsi wskazać leśnych bunkrów, choć żgali go bagnetami i strzelali mu koło uszu.

Do leśniczego wyruszyli dwaj tupadlanie: Stanisław Jeka o przydomku “Ceglarz” i Paweł Radke.

Nie wrócili z wyprawy pod Krokowo. Kiedy bowiem szarą godziną wyszli już w pobliżu celu na polankę, otworzono do nich znienacka ogień i obrzucono ręcznymi granatami. Ostrzeliwali się jakiś czas, lecz w końcu obaj polegli.

— Pomścimy ich — złożyli ślub partyzanci.

Niełatwo go było dopełnić, ponieważ w okolicach Krokowa zakwaterował się właśnie oddział konnicy Własowa. Kiedy jednak dowiedzieli się, że Fryc Reinke, syn tamtejszego gospodarza, świeżo mianowany oficerem, zaprosił kilku kolegów z gdańskich koszar oraz paru miejscowych esesmanów, postanowili dokonać wypadu do Minkowic.

— Zabierzemy im broń i mundury — zacierali ręce Kaszubi maszerując przez egipskie ciemności w stronę podkrokowskiej wioski. — Potrzeba nam pistoletów, karabinów, amunicji. Ruscycy za Wisłą. Zbliża się ostateczna rozprawa.

Noc była chmurna, jesienna. Padał deszcz. U Reinkego zabawa trwała w najlepsze. Dom pełen wesołego gwaru, śpiewów, brzęku kieliszków okazał się nie zamknięty.

— Hände hoch! — Kilarski z druhami wdarł się do pokoju. — Jesteście otoczeni!

Uczujący hitlerowcy na widok luf skierowanych w ich piersi zerwali się z krzeseł i podnieśli ręce. Ani drgnęli, gdy odpinano im pasy. Posłusznie zdjęli uniformy, oddali broń.

— Poskarżcie się własowcom w Krok o wie — poradził stojącym w bieliźnie gościom i gospodarzom dowódca wyprawy opuszczając biesiadną izbę.

Młody Reinke trząsał się ze strachu. Ledwie jednak partyzanci zniknęli w dżdżystym mroku, pobiegnął, jak stał w koszuli i białych kalesonach, do krokowskiego zamku.

W kilkanaście minut później ciszę nocną zamaćił tętent koni. Nadjechali własowcy. Powitała ich huczna palba automatów. Byli to partyzanci, którzy nie uciekali — jak sądzili hitlerowcy — tylko przyczaili się przy szosie. Rozkwiczały się konie. “Dzielni” jeźdźcy, zostawiając rannych na szosie, zawrócili co tchu i uciekli jak zmyci.

Było czym uzbroić nowych kolegów, których przybywało z każdym dniem. Znalazł się wśród nich nawet Niemiec. Niejaki Tylak ze Sławoszyna. Powołano go do Wehrmachtu, lecz nie chciał ginąć za Hitlera, poprosił więc swego znajomka Orła, który zaopatrywał partyzantów w żywność, aby pomógł mu schronić się u ludzi z bunkrów. Orzeł poręczył za niego.

Przyjęto Tylaka, po dwóch jednak tygodniach uciekł i ślad po nim zaginął. Wtenczas zaniepokojona Ty laków a z zemsty żadenuncjowała przyjaciela swego męża. Doniosła kapitanowi wejherowskich Fangtruppen/ że Orzeł utrzymuje kontakt z podziemiem. Kompania esesmanów otoczyła dom Kaszuby. Schwytano chłopca, zagrożono mu śmiercią. Wystraszony przyrzekł, że wskaże ukryte kwatery zbiegów, poprowadził horde pod sulicki bór. Nie miał złych zamiarów. Przez myśl mu nie przeszło zdradzić rodaków, ale chciał ratować własną skórę. Wiedząc, że kilka dni temu opuszczono jeden z tamtejszych bunkrów, postanowił do niego zaprowadzić wrogów. Na skraju lasu,

niedaleko zagrody Drawca, rozgarnął trawę, podniósł przykrywą i struchlał. Okazało się, że kryjówkę świeżo zajęli Stefan Mudlaf ze Strzelna, Leon Wyrwał z Dany, Alfons Jeka i Leon Kreft.

— Wychodzić! — ryknął kapitan.

W odpowiedzi huknęła salwa. Oficer trafiony kulą wpadł do bunkra, kilku Niemców zaścieliło wilgotną trawę. Pozostali cofnęli się, przywarli do ziemi, zaczęli miotać granaty. Raniono śmiertelnie Wyrwałą i Krefta, lecz dwaj ich koledzy nie myśleli się poddać. Strzelali gęsto, celnie. Z pobliskiego bunkra, w którym znajdował się Hilarski, również otworzono ogień, by przyjść obłożonym z pomocą. Po dwóch godzinach rozpaczliwej obrony ciężko rannemu Mudlafowi wypadł z rąk rozgrzany karabin,

a Jeka wyskoczył z ukrycia. Nie miał już ani jednej kuli, zaczął iprzeto kolbą tłuc nieprzyjaciół. Pochyliły się bagnety. Rozgorzała walka wręcz.

— Żywcem go brać — wrzeszczał sierżant, który przejął komendę po zabitym kapitanie.

Esesmani nie zdołali wykonać tego rozkazu. Jeka, z za“ wodu rzeźnik, muskularny siłacz, grzmocił kolbą z całej mocy. Wielu przeciwników nakryło się nogami, nim runął brocząc krwią z ran zadanych pchnięciami bagnetów.

— Za Polskę — szepnął i mrok zasnuł mu oczy.

Strasznie wyglądały zmasakrowane zwłoki Kaszuby,

gdy je chowano na cmentarzu w Strzelnie, ale dzięki jego męstwu Hilarski ze swą grupą, paru kobietami oraz gospodarzem Drawcem zdążył się wycofać i zaszyć w leśnym gąszczu, a hitlerowcy ponieśli takie straty, że nie opłacała się im skórka za wyprawkę. Chwycili się innych sposobów walki: podstępu.

Na początku zimy w Czarnowskim Młynie zjawił się agent gestapo, Press, Niemiec spod Gdyni. Przyszedł do wdowy po Alojzym i przedstawił się jako polski oficer, zbieg z obozu śmierci w Stutthofie.

— Uratowałem życie, lecz mogę je stracić, bo hitlerowcy są na mym tropie — strzelał rozbieganymi oczkami. — Zaprowadźcie mnie do waszego syna Leona. Mówiono mi, że ocalił i ukrył wielu już nieszczęśliwych ludzi. Jestem bogaty. Po wojnie szczerze się wam odwdzięczę.

Nie oszukał Stenclovej. Poznała się na farbowanym lisie. Odpowiedziała bez wahania:

— Leon wstąpił do Organisation Todt i wyjechał na zachód. Nie wiem, gdzie się obraca. Nawet karty, syn marnotrawny nie napisał. Pewnie się ożenił z jakąś Francuzką. O mnie zapomniał. Sama muszę się mordować na tych kilku morgach piachu.

— Chętnie wam pomogę w robocie. Będę orać, młócić, oprzątać świnię. Wszystko za trochę jadła i dach nad głową. Dobrze byśmy sobie razem żyli.

— Mój chłop by się w trumnie przewrócił, jakbym obcego przyjęła do domu.

— Za parobka?

— Nie potrzeba mi takich parobków, jak wy! Chcecie moją niewinną duszę wepchnąć do piekła? Dość już

nieszczęść na mnie spadło. Idź pan swoją drogą, bo powiem Hanemannowi, że się tu kręci taki, co powinien siedzieć za drutami.

— Na Boga! — udał przestach. — Nie wydawajcie mnie Niemcom. Pójdę zaraz, ale zatrzymam się w pobliżu. Odwiedzę was za kilka dni. Może się namyślicie do tego czasu?

— Bioj, le bioj, kusy purtku! — otworzyła na oścież drzwi chałupy. — A wracać tu nie masz po co!

Ruszył w stronę mostu nad mętną tonią Czarnej, skoro jednak gospodyni zamknęła drzwi, zawrócił w stronę zabudowań Walpera. Zauważyła to z okna i postanowiła zawiadomić syna o niezwyklej wizycie.

Następnej nocy partyzanci przeszukali całą okolicę, lecz podejrzanego ptaszka nie znaleźli.

— Nie wiadomo, gdzie się kryje — martwił się Leon odwiedziwszy matkę o zmroku.

— Był znów u Walpera — szepnęła mu. — Przyszedł 7. nim ten sprzedawczyk Szylter. Chyba to on przechowuje przybłędę. Wypłoszcie go stąd, zanim was wysłedzi

i sprowadzi nową obławę.

— Wpadnie w nasze ręce nie dziś, to jutro — zachmurzył się Stencel. — Złapiemy go. Wyśpiewa, czego tu szuka.

Agent wszakże zwąchał niebezpieczeństwo. Ulotnił się w porę. Co zakomunikował swym zwierzchnikom — nie wiadomo. Dość że w kilka dni później przetransportowano w okolice Wejherowa batalion SS.

Mieszkańcy bunkrów gorączkowo okopywali się pod ostrowskim borem. Mroźny styczeń 1945 roku skuł lodem mokradła ułatwiając dostęp do partyzanckich pozycji. Cóż z tego? Nad Wisłą załamał się front. Niemcy pod napoTM rem radzieckiej ofensywy pierzchli jak zające. Śnieżna zamieć przysypywała tysiące wozów porzuconych na drogach. Waliła się Trzecia Rzesza. Esesmanów z Wejherowa ściągnięto do fortyfikowania Gdańska. Nic już jednak nie mogło odwrócić koła historii. Hukowi pękających lodów zawtórowały spod Lęborka groźne katusze.

W tych dniach podwójnej odwilży okupanci, cofając się w popłochu na Swarzewską Kępę i półwysep Hel, wysadzili w powietrze wszystkie prawie mosty na wezbranym nurcie Czarnej, ale jeden z nich ocalała bielawska party

zantka. Nastął dzień zapłaty. Koło Kłanina na granicy wielkich moczarów zginął gbur Pykron i junkier z Sulic, tego ostatniego śmierć zaskoczyła w czarnym fraku, w białym krawacie i z pistoletem w zastygłej dłoni. Chcieli wskazać saperom most nie oznaczony na mapach. Nie zdążyli. Wieczorem ludzie z bunkrów przeprowadzili przez most batalion Armii Czerwonej do Kaczyńca. Dowództwo zakwaterowało się tam w obejściu Augustyna Labudy. Klin nacierających wojsk dotarł pod Leśniewo. Na wzgórzach Mieroszyna zlikwidowano niemiecką obronę, nocą zaś z dwunastego na trzynasty marca dzięki pomocy

i wskazówkom partyzantów przerzucono przez Bielawę tyle artylerii, piechoty i taborów, że czternastego marca można było zająć całą Kępę Swarzewską.

Tak to ukrywający się Kaszubi torowali sprzymierzeńcom drogę do zwycięstwa na naszym brzegu. Losy ich dobrze są znane tutejszej ludności. Mało kto jednak wie, że już na samym niemal początku, w lutym 1943 roku zagroziła im zagłada i wtedy właśnie ocalił ich... łosoś! Warto o tym przypomnieć. Posłuchajcie jak było.

A więc w dopiero co wspomnianym miesiącu Leon Stencel z trzema uzbrojonymi kolegami wybrał się pod mioszzyński las ku Rozewiu. Brodząc w głębokim śniegu doszli do samotnej chaty nauczyciela Aleksandra Borowskiego. Zapukali. Gospodarz wpuścił ośnieżonych nocnych gości. Przy jednym z nie oświetlonych okien postawił synów na warcie, by nikt niepożądany nie zaskoczył przybyłych. Potem powiedział im o rosyjskim zwycięstwie nad Wołgą i nastawił radio na falę "tysiąc sześćset", zegar bowiem wybił godzinę dziesiątą, a o tej porze Niemcy najmniej zagłuszali odbiór.

— Bum, bum, bum, bum — głos tam-tamu obwieścił początek polskiego dziennika.

Borowski wyciągnął z szuflady mapę, by pokazać znajomym drogi odwrotu Niemców znad Tereku i Kubania, a jego żona Anna nakryła stół do wieczery.

— Ludzie z Tupadeł przynieśli dla was moc żywności — uśmiechnęła się. — Ma też nadejść stary Fabisz, obiecał przynieść łososa.

— Łososia! — zdumiał się Leon. — Królewski podarek. Aż dziwne, że woli nam ofiarować tę smaczną rybę, niż sam ją zjeść.

— To zacny człowiek. Patriota! Hitlerowcom pali prawdę prosto w oczy. Bez ustanku straszy ich piekłem, ale że jest taki stary, wszystko mu jakoś uchodzi.

— Uważają go za pomyłonego — wyjaśnił nauczyciel.

Wtem z sąsiedniego pokoju przybiegł czternastoletni

syn gospodarzy z nowiną:

— Jacyś dwaj z psem idą od boru.

Borowski natychmiast zgasił naftową lampę i wyłączył radio.

— Ściągnąć zasłony — zakomenderował.

Stanęli w oknie.

Rozewska bliza omiatała okolicę białą, oślepiającą smugą. Za dwuosobową czołówką wynurzyła się z lasu tyraliera cieni. #

— Tropią po naszych śladach. — Stencel wy dobył broń. — Na ucieczkę za późno. Będziemy się bronić do ostatniego naboju. Innej rady nie ma.

— ■ Strzelać? — jego towarzysze odbezpieczyli pistolety.

— Poczekajcie — szepnęła Borowska. — Ktoś nadchodzi od Rozewia. Zdaje się, że Fabisz. Widzicie go?

— Tamci dwaj stanęli — zmrużył oczy pan Aleksander. — Jeśli mnie wzrok nie myli, to Hibolt, polizeimeister z Wielkiej Wsi, a ten drugi z psem na smyczy...

— Komendant grenwaczy, Muller, — dodała cicho pani Anna. — O, zatrzymali naszego rybaka! Żeby go tylko nie aresztowano.

Tymczasem w dali, na ośnieżonym polu Fabisz zbliżał się do poruszających się cieni. Zaszczekał pies.

— Halt! — huknął komendant straży granicznej ujrawszy nadchodzącego starca. — Ręce do góry!

Aby spełnić rozkaz, Fabisz musiał wpierw położyć łososia na śniegu. Błysła latarka. W snopie jej światła zasrebrzył się król bałtyckich ryb. Komendant złągodniał:

— To ty, Fabisz? Co za spotkanie!

Stary podniósł ramiona:

— Macie waszego niewolnika, polskiego Kaszubę!

Hibolt roześmiał się szyderczo. Usłyszał to powiedzenie już raz, gdy chciał nakłonić Fabisza, by przyjął

t eindeutschung.

— Możesz opuścić ręce! — zezwolił “wielkodusznie”. — Nie spodziewaliśmy się, że w lesie łowisz łososie.

— Rybaczę już sześćdziesiąt pięć lat, tedy wiem, gdzie

i kiedy można złapać łososia — odparł rybak. — Złowiłem już w tym roku cztery, chociaż łososiowy sezon dopiero się rozpocznie.

— Gdzie masz resztę?

— Resztę niosą moi trzej synowie. Każdy po jednym dźwiga, bo bardzo ciężkie. Poszli z nimi do Tupadeł. Po mego bratanka, żeby wziął ode mnie czwartego i zaniósł go, jak każe Lachmund, do feschcentrali w Wielkiej Wsi. Czekałem na nich na szosie, potem zacząłem szukać nie- karańców. Może nie dosłyszałem, co mi gadali? Poszli chyba inną drogą, bo widzę tu ich ślady wydeptane w śniegu. Spłatali mi głupi żart. Porachuję się z nimi, jak wrócą do domu! Powiem im kazanie: “Czcij ojca swego...”

— Ilu macie synów? — zagadnął podstępnie komendant straży.

— Trzech — mruknął Kaszuba. — Szkoda, że spłodziłem takich niewdzięczników! Nie mam z nich żadnej pociechy. Tylko zmartwień mi przysparzają na starość.

— Tu są cztery tropy.

— Zgadza się! Te wielkie stopy to mego Augusta. On ma takie pirackie, długie kroki. Tędy, gdzie są odciski tych nowych butów, szedł Jan. Niezły chłopak, tylko ten starszy go rozpoił.* Ten trzeci to Franc.

— A czwarty?

— Któż by, jeśli nie ten mądrala z Tupadeł? — zrzędził starowina. — Wszystko wie lepiej. Miał z nami wypłynąć na połów, ale mówił, że na łososie jeszcze czas. Dałbym mu i tak part. Skoro jednak teraz nie chciał mi pomóc i sam muszę dźwigać to rybsko aż do portu, nic nie dostanie.

— Nie martw się — zażartował Hibolt, gdy otoczyło ich już ze trzydziestu zbrojnych policjantów i strażników. — Widzisz, że nas niemało. Weźmiemy twego łososia i zaniemiemy do Wielkiej Wsi.

— Bierzcie go i róbcie z nim, co chcecie — machnął ręką. — Ja wracam do domu, a po drodze będę prosić Boga, by zesłał mi rychłą śmierć. W niebie będzie mi lepiej niżli tu na tym padole łąz — przeżegnał się i głośno odmawiając pacierz poczłapał w stronę przylądka, na którym co chwila błyskała morska latarnia.

Hitlerowcy pokładali się ze śmiechu. Zadeptali partyzanckie ślady tupiąc z uciechy buciorami.

— Zabierz, Fryc, tego łososia — rozkazał Hibolt podwładnemu. — Trafiliśmy na fałszywy trop! Nie zajdziemy po nim do gniazda bandytów. Trzeba wracać!

Odeszli w ciemność.

Fabisz, wyciągając stopę z głębokiego śniegu, przystanął i nasłuchiwał skrzypienia oddalających się kroków.

Kiedy ucichły, zawrócił do chaty Borowskiego. Zakola- tał w umówiony sposób. Anna wpuściła go do sionki,

— Są u was nasi?

— Czterech — wprowadziła starca do izby.

— Odgadłem to po śladach — siadł na krześle i opowiedział, jak wyprowadził w pole niemiecki pościg.

Nie golił się chyba już ze trzy miesiące, twarz miał szeroką, zaczerwienioną mrozem. Patrzeli na niego jak na zbawcę.

— Uratowaliście nam życie — powiedział Stencel.

— I całej naszej rodzinie — dodał nauczyciel,

— Śmiały się :ze mnie te głupie purtki, ale zawsze ten górą, kto może śmiać się na ostatku — kiwnął głową. — Tyle ich zysku, że wzięli mi łososia. To nie ja, tylko on was uratował, bo tak się na niego połaszczyli, że chciwość zaślepiła ich jak mgła.

— Bodaj stanął im ością w gardle — zaśmiał się Leon.

I na tym chyba zakończymy już te opowieści o potędze wszechwładnego łososia.